# ZEMSTA

KATARZYNA
MICHALAK

Oboje powinni być martwi, a żyją.
Oboje mają powód, by się mścić.
Czas zapolować na wściekłe psy,
albo…
one zapolują na ciebie.

Katarzyna Michalak

# ZEMSTA

między słowami

Kraków 2016

# PROLOG

Patrzyła prosto w lufę pistoletu. Wielkimi, szeroko otwartymi, błękitnymi jak skrawek nieba oczami. Czy się bała? Nie. Nie po tym, jak ten, kto trzymał broń wymierzoną w głowę dziewczyny, przed chwilą zabił jej ojca i matkę.

No strzelaj! – zakrzyczała w myślach. – Na co czekasz?!

– Ile masz lat? – zapytał nagle.

Zamrugała. Po policzku spłynęła łza.

– Osiemnaście – wydusiła.

– Pieprzyłaś się już?

W pierwszej chwili nie zrozumiała, ale w następnej… Poczuła, że nogi się pod nią uginają, a gardło zaciska spazmatycznie. Więc to jeszcze nie koniec! Ten bydlak najpierw ją zgwałci, a dopiero potem zabije!

– Pytam: rżnęłaś się z facetem? – Palec na spuście drgnął ostrzegawczo.

Zaprzeczyła.

Uśmiechnął się. Wrednie. Obleśnie.

Żółć podeszła jej do gardła.

– Nie mam czasu, żeby cię porządnie rozdziewiczyć – zaczął – ale na szybki numerek jak najbardziej. Odwróć się.

Nawet nie drgnęła. Skoro za chwilę ma zginąć… nie będzie ułatwiać temu bandziorowi i tego.

– Odwróć się i pochyl, ty mała suko! – warknął i strzelił ją otwartą dłonią w twarz. Lekko, ot jak się karci krnąbrnego konia.

Odruchowo przytknęła dłoń do policzka. W oczach znów błysnęły łzy. Nikt nigdy jej nie uderzył. Gdyby tata to zobaczył… Ale on nie żył. Stąd widziała jego zakrwawioną rękę, wyciągniętą ku jej matce. Matce, która próbowała ratować nie siebie, a swoje dziecko…

Przeniosła spojrzenie pociemniałych oczu z ciała matki na jej oprawcę. Jedną ręką trzymał pistolet, nadal wycelowany w dziewczynę, drugą rozpinał spodnie.

– Dasz mi po dobroci, a będziesz żyła; dostałem zlecenie tylko na tych dwoje. Nie dasz, zastrzelę jak sukę, bo nią jesteś, rozumiesz? Jesteś małą, śliczną suczką, która zaraz da dupci swojemu panu…

Uderzył ją, tym razem mocno i celnie. Kantem dłoni w krtań. Zachłysnęła się oddechem. Poleciała w tył. Chwycił ją wpół, odwrócił, jednym szarpnięciem podwinął nocną koszulę, drugim zdarł majteczki i – nadal walczącą o łyk powietrza – przycisnął do siebie. Wbił kolano między uda dziewczyny, dysząc tuż przy jej uchu. Woń krwi, która unosiła się w powietrzu, podniecała go bardziej niż to młode, dziewczęce ciało. Przed chwilą on sam miał swój pierwszy raz: zabił dwoje ludzi i omal się przy tym nie spuścił w spodnie. Teraz, nim zastrzeli tę małą dziwkę, najpierw zrobi dobrze i sobie, i jej.

– Rozchyl nogi! – syknął, nie mogąc trafić między zaciśnięte uda dziewczyny.

Szarpnął ją za włosy. Krzyknęła. Jej ręka natrafiła na pilniczek do paznokci, palce zacisnęły się na nim kurczowo. Dziewczyna zamarła niczym przyczajone do skoku zwierzę. Tamten odsunął się nieco, by ponownie spróbować wedrzeć się między jej nogi, i w tym momencie, w jednym rozpaczliwym geście, skręciła się całym ciałem i ze wszystkich sił wbiła pilniczek w jego udo. Zawył i puścił ją. Skoczyła ku drzwiom.

Poderwał pistolet i strzelił w panice, niemal nie celując. Krzyknęła po raz drugi i runęła na podłogę.

On wyszarpnął pilniczek z rany i klnąc, ruszył ku swej ofierze, ale… nagle znieruchomiał. Gdzieś w oddali, na uśpionej ulicy, rozległ się jęk syreny, narastający z każdą sekundą. Czy było to pogotowie, czy policja, jechali tutaj, czy gdzie indziej, nie chciał tego sprawdzać. Spojrzał w popłochu na nieruchomy kształt zagradzający mu drogę ucieczki, po czym zawrócił ku oknu. Tędy będzie szybciej…

Wyskoczył na zewnątrz, cicho jak kot, mimo rwącego bólu w udzie. Czuł krew wsiąkającą w nogawkę, ale nie zważał na to. Pobiegł, kulejąc mimo woli, do tylnej furtki, otworzył ją i po chwili był na zewnątrz. Na cichej, pogrążonej w ciemnościach uliczce…

I uciekłby, udałoby mu się wszystko, co zaplanował, gdyby nie ktoś, kto czekał na niego na zewnątrz. Przyczajony. Niewidoczny. Ten ktoś wycelował powoli i dokładnie, po czym nacisnął spust. Głowa tamtego eksplodowała. Tułów zrobił jeszcze dwa kroki i upadł na jezdnię.

Snajper spokojnie zdjął noktowizor, podniósł łuskę pocisku, włożył karabin do futerału, zapiął go metodycznie na wszystkie klamry i dopiero teraz połączył się z tym, kto zlecił mu tę robotę.

– Wykonano – rzekł krótko i zniknął, jakby go nigdy w tym miejscu nie było.

# ROZDZIAŁ I

Dwóch mężczyzn, dosiadających dwóch czarnych appaloosa, niespiesznie przemierzało spaloną słońcem teksańską prerię. Konie szły krok za krokiem, z przymkniętymi oczami zdawały się drzemać. Ludzie też, ale to były pozory. Tak naprawdę i oni, i zwierzęta zachowali czujność, niezbędną na tych mało gościnnych ziemiach.

Młodszy, smagły i czarnowłosy, odziany w błękitną koszulę, dżinsy, kowbojski kapelusz i chustkę chroniącą przed pyłem, jechał parę kroków za starszym, tak by nikt nie miał wątpliwości, kto tu rządzi. Ale preria była pusta aż po horyzont. Nikogo nie interesowała hierarchia w tym niewielkim stadzie.

Czyżby?

Młodszy z mężczyzn uniósł się naraz w strzemionach, osłaniając dłonią oczy przed ostrym słońcem. Straszy posłał mu przez ramię pytające spojrzenie.

– Mamy gościa – mruknął tamten.

Dopiero w tej chwili drugi mężczyzna dojrzał daleko na horyzoncie obłok kurzu powiększający się z każdą chwilą.

Tak. Ktoś zdążał w kierunku ich domu, a Raul de Luca nie przepadał za nieproszonymi gośćmi…

Uniósł karabin z lunetą, który do tej pory trzymał przy siodle, przyłożył do ramienia, spojrzał w wizjer i wyostrzył. Oto miał na celowniku głowę

tego, kto zmierzał do nich z wizytą.

Zaklął cicho w następnej chwili.

Jego młody towarzysz spojrzał nań pytająco.

– To przyjaciel – rzekł Raul, kładąc karabin na kolanach i pospieszając swojego wierzchowca do biegu. – Przynajmniej gdy widzieliśmy się ostatnio, był jeszcze moim przyjacielem.

Stanley Blackwell, niegdysiejszy szef ochrony VillaRosy, bo to on właśnie nadjeżdżał, zatrzymał jeepa na podjeździe przed rozległym bungalowem, wysiadł, nakładając kapelusz, bo słońce, jak przystało na Teksas, prażyło niemiłosiernie, usiadł na schodkach ganku i czekał. Był pewien, że pan tego domu już wie o jego przybyciu, mógł więc w cieniu odpocząć po długiej podróży.

Zbyt długo się jednak nie naodpoczywał.

Dwa rosłe appaloosa z charakterystycznie pręgowanymi kopytami wpadły na podjazd i zatrzymały się tuż przed Stanleyem. Ten podniósł się powoli, mierząc pierwszego z jeźdźców uważnym spojrzeniem. Jego dawny szef, Raul de Luca, niemal się nie zmienił przez te kilkanaście lat. Może we włosach pojawiło się kilka srebrnych nitek, może przybyło mu kilka zmarszczek na i tak surowej twarzy, ale był równie świetnie zbudowany i umięśniony jak wtedy, gdy kierował cypryjskim kartelem. Teraz zeskoczył lekko na ziemię, niczym rasowy Indianin, i ruszył ku Stanleyowi z wyciągniętą ręką. On uścisnął ją krótko, ale mocno. W następnej chwili objęli się serdecznie, klepnęli po plecach i było po powitaniu.

– Chciałbym powiedzieć, że cieszę się na twój widok, ale jest inaczej – zaczął Raul.

Jeżeli Stanley – jego łącznik z tamtym światem i tamtym życiem – ryzykował osobistym pojawieniem się w rezydencji Raula, musiało

wydarzyć się coś… o czym ten ostatni nie chciał chyba wiedzieć.

Od czasów VillaRosy spotkali się tylko raz, gdy Stanley przywiózł dziecko – osieroconego przed paroma tygodniami synka pewnej Francuzki i ponoć Raula – i zostawił je tutaj, na teksańskim ranczu. Nawet jeżeli de Luca mógł się wyprzeć ojcostwa, bo Francuzkę, owszem, pamiętał, ale nie przypominał sobie, by miał z nią syna, nie uczynił tego. Chłopczyk był sierotą, a Raul żył samotnie pośrodku prerii. I może towarzystwo czterolatka nie było tym, które mógł sobie wymarzyć, jednak przygarnął dziecko, pokochał jak własne i wychował na wspaniałego młodego mężczyznę, z jakiego każdy ojciec mógł być dumny. Jego syn, osiemnaście lat starszy, tkwił teraz nieruchomo na drugim appaloosa, zerkając to na ojca, to na nieznajomego. Nie pamiętał Stanleya. On natomiast pamiętał Tristana…

– Urósł – odezwał się, patrząc na młodego mężczyznę bez uśmiechu. Próbował odwlec to, co nieuniknione, a Raul nie pospieszał go. – Gdy byłeś niewiele większy od tamtego jagnięcia – wskazał zwierzątko biegające nieopodal po niewielkiej zagrodzie – twoja matka przed śmiercią prosiła, bym przywiózł cię tutaj, do twojego ojca. Zrobiłem to. A on cię przyjął bez zbędnych pytań i dociekań.

Chłopak skinął głową. Jego twarz pozostała obojętna. Ojca kochał całym sercem, ale okazywanie uczuć nie było w tych stronach dobrze widziane. Stanley przyglądał mu się tak uważnie, jak jeszcze przed chwilą Raulowi. Tristan był rosły, szczupły i wspaniale umięśniony – zupełnie jak jego ojciec – z przystojną męską twarzą, okoloną czarnymi kędziorami, dużymi oczami barwy ni to szarej, ni to zielonej, w oprawie długich, czarnych rzęs. Był pewnie obiektem westchnień wszystkich panien w

okolicy. O ile na tym bezludziu są jakieś panny… Stanley rozejrzał się, rozpaczliwie próbując zyskać na czasie.

– Spokojnie tu – mruknął ni to do nich, ni do siebie.

– Aż za spokojnie – odezwał się młody mężczyzna, zeskakując z konia na ziemię i sięgając do sprzączek popręgu. Miał głos pasujący do sylwetki: męski i zdecydowany.

– Nudzi ci się? – Raul uniósł brew w udanym zdziwieniu. – Ciesz się wakacjami, bo niedługo wracasz do służby. Jest w BlackFive – dodał nie bez dumy.

Stanley gwizdnął. BlackFive – najsłynniejsza jednostka specjalna w USA – to było nie byle co.

Raul wzruszył lekko ramionami, jakby bagatelizował to osiągnięcie. Jego syn nie poczuł się urażony. Przeciwnie, wydawał się podzielać lekceważący stosunek Raula do wojska, choć może to były pozory.

– Ważniejsze i bardziej przydatne jest to, czego nauczył mnie ojciec – mruknął i jedną ręką ściągnął z grzbietu swojego appaloosa siodło, jakby nic nie ważyło.

– A czegóż takiego Raul de Luca może cię nauczyć? – zakpił Stanley.

Młody mężczyzna spojrzał nań ze zdumieniem, przeniósł wzrok na ojca. De Luca? To nazwisko nieczęsto się tutaj słyszało. Raul uśmiechnął się lekko. Jego syn mógł więc też się uśmiechnąć.

– Tego i owego – odparł enigmatycznie.

– Stanley jest wtajemniczony we wszystko – odezwał się Raul, poważniejąc. – Był moją prawą ręką na Cyprze, uratował mi życie, a potem pozostał przyjacielem. I tak jest do dziś. – Ostatnie zdanie miało wydźwięk pytania. Raul utkwił ostry, pytający wzrok w twarzy Stanleya.

Ten odparł poważnie:

– Tak jest do dziś.

– Z czym więc przybywasz, przyjacielu?

Wreszcie… Padło pytanie, którego Stanley nie chciał słyszeć i na które nie chciał odpowiadać.

Tristan, kładąc siodło na balustradzie ganku, znieruchomiał. Cisza, tak cicha, że aż nienaturalna, zatoczyła krąg między nimi trzema, a oni poczuli, że gdy padnie odpowiedź, nic już nie będzie takie samo.

Stanley spojrzał na Raula, jakby mówił tym spojrzeniem: „Przygotuj się na cios”, i już otwierał usta, by ten cios zadać, gdy nagle, zupełnie jakby się rozmyślił, rzucił do chłopaka:

– Przejedziemy się?

Nie czekając na odpowiedź, ruszył do jeepa. Tristan spojrzał na ojca pytająco. Widział grymas, z jakim Raul zacisnął usta, widział jego pobladłą twarz. Gdy skinął przyzwalająco głową, chłopak, chcąc nie chcąc, wskoczył na miejsce pasażera.

– Daj znać, gdy będziesz gotów na nasz powrót, szefie – mruknął Stanley, przekręcił kluczyk w stacyjce i ruszył.

Raul patrzył za znikającym w chmurze pyłu jeepem, a potem przeniósł wzrok na kopertę, którą Stanley zostawił pośrodku stołu. Jednocześnie wabiła i odrzucała. Niemal słyszał jej szept: „Otwórz mnie, otwórz!”, jak i: „Nie rób tego. Nie chcesz wiedzieć, co jest w środku”.

Zdecydowanym ruchem sięgnął po nią, otworzył, wyjął plik zdjęć.

Spojrzał na pierwsze i…

Cios był druzgocący.

Raul z całej siły zacisnął palce na poręczy ganku, bo to, co ujrzał, dosłownie go złamało. Stracił oddech na kilka sekund, serce zamarło mu w pół uderzenia. Ból niemal pozbawił go przytomności.

Niemal.

Czekał bez ruchu, aż serce zacznie normalnie pracować, choć to było chyba niemożliwe, nie teraz, gdy jego świat właśnie legł w gruzach! Czekał, aż oddech wróci, a łzy, które napłynęły do oczu, wysuszy gorący, preriowy wiatr.

Zaraz obejrzy wszystkie zdjęcia. Powoli i dokładnie. Nauczy się ich na pamięć. Wyryje sobie w mózgu każdy najmniejszy szczegół. Tak, by ten obraz miał przed oczami w chwili, gdy nadejdzie czas zemsty.

# ROZDZIAŁ II

Dlaczego przeżył? Dlatego, że jego brat był za miękki, by dobić go strzałem w głowę. I kiepsko strzelał, bo więcej czasu spędzał w łóżkach kolejnych panienek niż na strzelnicy. Kule przebiły płuco, ale nie serce. Przeżył również dzięki własnemu szczęściu i temu, że VillaRosa była dobrze przygotowana do obrony – snajper już w pierwszej chwili „zdjął" dowódcę atakujących, a kawaleria powietrzna pułkownika Johannesa Smitha przybyła z odsieczą w samą porę.

Dlaczego nieomal zginął z ręki własnego brata? Bo do końca wierzył, iż zdrajcą jest Stanley, nie Vincent. Na tego pierwszego miał w zasięgu ręki gotowy do strzału pistolet. Do brata jednak nie był w stanie strzelić. I nie wierzył, że Vini to zrobi.

Mylił się.

Jego, Raula, ledwo odratowano, ale nie dbał o to. Operacja „Złoty Pył" zakończyła się pełnym sukcesem, a ci, którzy mieli wyjść z matni żywi, wyszli. Sonia i Paweł. Raulowi tylko na tej dwójce zależało. Nic innego nie miało już znaczenia.

Pozwolił, by uwierzyli, że zginął. Pozwolił, by go opłakali, pożegnali na cmentarzu pod Paryżem i odeszli razem. On stanowił dla nich śmiertelne zagrożenie. Gdyby mafia miała choć cień podejrzenia, że Raul de Luca, ten, który orżnął na kilka miliardów euro dwa potężne kartele, żyje… Jego przyjaciel i ukochana kobieta już w Zurychu wpadliby w jej łapy i byliby

torturowani dotąd i dotąd puszczano by w internecie filmy z tych tortur, aż Raul przyszedłby z własnej woli, na kolanach, błagając, by wzięto jego zamiast tamtych dwojga.

Dlatego dla świata – i mafii – zginął z ręki Vincenta dwadzieścia lat temu w VillaRosie. Pokazano jego zwłoki, komu trzeba, ten – wtyka mafii – doniósł szefom, że skurwysyn de Luca zdechł, zaś jego brat – co za pech! – wyleciał w powietrze razem z pięknym nowym jachtem.

Ale Raul przeżył…

Przeżył, by teraz patrzeć na zdjęcia Soni i Pawła. Martwych. Z plamami krwi na piersiach i głowami roztrzaskanymi przez kule. Dwie w serce, trzecia w głowę. Tak jak uczono jego, jak on uczył swego brata i jak uczy się wszystkich płatnych zabójców.

Szloch rozrywał mu krtań, ale zdusił go, chociaż był sam. Zapłacze nad tymi, których kochał, dopiero wtedy, gdy znajdzie ich mordercę i strzeli mu między oczy. Nie wcześniej.

– Soniu, dlaczego tam pojechałaś… – wyszeptał, dotykając opuszką palca jej głowy w miejscu, gdzie weszła kula mordercy. – Paweł, dlaczego jej na to pozwoliłeś? Przecież ostrzegałem cię…

Tak. Ostrzegł go.

Zrobił to w rocznicę swojej śmierci.

Co roku przyjeżdżał w okolice cmentarza, gdzie został „pochowany”, i z bezpiecznej odległości obserwował swój grób. Nie po to, by napawać się jego widokiem, a dlatego, by strzec tych, których kochał…

Rok po „śmierci” ujrzał po raz pierwszy Sonię, jak nie tyle klęka, co upada na kolana. Jak dotyka dłonią chłodnego granitu, jak pięknymi oczami, pełnymi łez, patrzy na jego, Raula, zdjęcie i wykute w kamieniu litery.

**CPT. RAUL DE LUCA**

**(1976–2012)**

**REST IN PEACE**

Serce mało nie pękło mu z bólu, gdy patrzył na cierpienie Soni, ale… tak musiało być. Jej życie i jej bezpieczeństwo ponad wszystko. Dlatego, chociaż wolałby pobiec do ukochanej kobiety, poderwać ją z kolan, zamknąć w ramionach i już nigdy z nich nie wypuścić, z zimnym wyrachowaniem zrobił zbliżenie i nacisnął migawkę.

Dopilnował, by zdjęcie trafiło do rąk Pawła, a ten – choć nie znał nadawcy – powinien był zrozumieć: „Nigdy więcej tu nie przychodźcie! Grób Raula może stać się waszym grobem!”. I Paweł zrozumiał, ale Sonia… Ona wróciła. Piętnaście lat później. Tylko ten jeden jedyny raz, ale o jeden raz za dużo.

Ktoś musiał obserwować cmentarz tak jak Raul, rokrocznie. I cierpliwie czekał. Dotąd, aż Sonia pojawiła się przy grobie Raula powtórnie. Potem ten, kto na nią polował, pozwolił nieświadomej zagrożenia kobiecie odjechać, bo przecież nią samą by się nie zadowolił, a ona doprowadziła go wprost do swojej kryjówki… Z miłości do Raula Sonia popełniła błąd, za który oboje, ona i Paweł, zapłacili życiem.

Ponownie podniósł plik zdjęć do oczu, piekących od łez.

Paweł, zmasakrowany, zakrwawiony, leżący w poprzek łóżka… Morderca musiał wejść przez okno. Jakim cudem?! Paweł, dlaczego nie zabezpieczyłeś okien?! Sonia, zabita w progu sypialni…

– Soniu, dlaczego tam pojechałaś? Paweł, dlaczego jej nie upilnowałeś? – wyszeptał, gładząc opuszką palca roztrzaskaną pociskiem głowę ukochanej kobiety. Minęło niemal dwadzieścia lat od ich rozstania, a on nadal kochał ją tak, jak wtedy, gdy oddała mu się tamtej nocy…

Drugie i trzecie zdjęcie przedstawiało zbliżenia na twarze tych dwojga. Nie mógł na to patrzeć. Jeszcze nie.

Czwarte zaś… ponownie odebrało mu oddech. Młoda, kilkunastoletnia dziewczyna z plamą krwi na nocnej koszuli była tak podobna do rodziców, że Raul nie miał żadnych wątpliwości: to córka Soni i Pawła. Bandzior, nasłany przez mafię, zabił także ich dziecko…

Raz w życiu Raul czuł taką pustkę jak w tej chwili: wtedy, gdy oglądał film z gwałtu i tortur RoseMarie, swojej pierwszej miłości. Dziś koszmar wrócił i uderzył po trzykroć.

RoseMarie pomścił, posyłając każdemu z jej oprawców kulę między oczy. Czy mordercom Soni, Pawła i ich córki mógłby odpuścić?

Wstał.

Podszedł do szafki nocnej, w której szufladzie trzymał niezawodnego sig sauera. Jednym płynnym ruchem odbezpieczył broń, przeładował i wycelował, a ręka mu przy tym nawet nie drgnęła.

Znaleźć tego, kto dokonał egzekucji. Znaleźć zleceniodawców. I strzelić im między oczy. Jak poprzednio.

Spokojne życie Rogera Latimera dobiegło końca. Raul de Luca wraca do gry, by zakończyć ją raz na zawsze…

Wyszedł przed dom, uniósł pistolet i dwukrotnie nacisnął spust. Dwa głośne wystrzały spłoszyły kojota, który podkradał się do zagrody z drobiem. Konie w stajni zarżały, przestraszone. Spokój tej hacjendy został zburzony raz na zawsze. I być może już nigdy nie wróci.

Raul stał w podcieniu ganku, czekając, aż jeep Stanleya wróci pod dom. Tristan wyskoczył z wozu pierwszy. W paru krokach był przed ojcem, przyglądał mu się w napięciu, badawczo. Stanley powiedział chłopakowi,

co zawiera koperta. Zdjęcia egzekucji jego dwojga przyjaciół. Teraz Tristan chciał wiedzieć, co zamierza ojciec.

Jemu ci dwoje – Sonia i Paweł – byli zupełnie obojętni. Nie znał ich, a ojciec nie dzielił się zbyt wylewnie wspomnieniami. Tristan wiedział tylko, że Raul był niegdyś agentem specjalnym, rozpracowującym mafię północnocypryjską. Niemal zginął z ręki zdrajcy. Niemal. Za informację, że przeżył, mafia zapłaciłaby każde pieniądze… To też powiedział synowi Raul, uświadamiając mu między wierszami, że nie powinien o tym gadać. „Masz od tej chwili moje życie w swoich rękach” – Tristan zrozumiał to bez słów. Teraz patrzył w napięciu na ściągniętą bólem i wściekłością twarz Raula de Luki, człowieka, którego podziwiał i szanował najbardziej na świecie, i… czuł, że od tej pory nic już nie będzie takie samo.

Nie bał się. Przynajmniej nie o siebie. Bał się o niego. O ojca, bo w jego czarnych, lekko zmrużonych oczach widział śmierć. I już wiedział, że Raul zdecydował się powrócić do gry. Sam. Bez wsparcia agencji, dla której wówczas pracował, ma zamiar wytropić morderców Pawła i Soni i pomścić ich śmierć. To było jasne również dla Stanleya.

– Ojcze, co robimy? – zapytał chłopak, a Stanley spojrzał nań z mimowolnym podziwem.

Ten dwudziestodwuletni chłopak wiedział, że staną do walki z całym mafijnym światem, bo cios, jaki Raul zadał dwóm potężnym kartelom, był policzkiem dla wszystkich, a za to jest tylko jedna kara: śmierć, poprzedzona długimi i wymyślnymi torturami. Mimo to bez wahania stawał u jego boku. Pytanie brzmiało bowiem: „Co robimy?”, a nie: „Co zamierzasz?”… Raul wychował syna na prawdziwego mężczyznę. Takiego, jakim był on sam.

– Co robimy, Raul? – Stanley powtórzył niczym echo, stając u boku ojca i syna.

– Na początek powiesz mi wszystko, co wiesz – odezwał się de Luca głosem, w którym brzmiał już tylko gniew. Nie, nie gniew, a zimna, mordercza furia. Po rozpaczy nie zostało ani śladu. – Potem… złożę wizytę mojemu zwierzchnikowi i podziękuję mu uprzejmie za opiekę, jaką roztoczył nad Sonią, Pawłem i ich córką.

– Chyba nie masz zamiaru odstrzelić Smitha? – zaniepokoił się Stanley. Wojna z amerykańskim rządem i CIA nie była Raulowi do szczęścia potrzebna.

– Nie jestem głupi – odmruknął de Luca. – Chociaż…

Przerwał mu dzwonek komórki.

Stanley przeprosił spojrzeniem, wyjął telefon z kieszeni dżinsów, spojrzał, kto dzwoni, i… uniósł brwi w niemym zdumieniu.

– O wilku mowa – rzekł, pokazując wyświetlacz Raulowi.

„JS” widniało na ekranie.

– To bezpieczne połączenie?

– ATP.

– No, no, Johannes zainwestował w ATP? – Była to najnowsza technika kodowania rozmów telefonicznych. Jeszcze nie do złamania przez chętnych do inwigilacji. – Daj mi go – mruknął Raul, wyciągając rękę gestem nieznoszącym sprzeciwu. Stanley, podając mu telefon, pomyślał, że za takim Raulem gotów jest ruszać do akcji. Ten sprzed kwadransa – złamany tragedią – zniknął bez śladu.

Raul nacisnął zieloną słuchawkę i zaczął:

– Pułkowniku Smith…

Ale pierwsze słowa rozmówcy sprawiły, że nie dokończył pełnego gniewu pytania o to, jak rząd Stanów Zjednoczonych chronił jego bliskich.

– Dziewczyna zniknęła.

Raul nie zapytał: „Jaka dziewczyna?” – to było jasne. Niejasne było jedynie, czy zniknęła ona sama, czy jej zwłoki. Bo jeśli to pierwsze…

– Pułkowniku, chce mi pan powiedzieć, że córka Soni i Pawła przeżyła masakrę?

– Tak. Przeżyła – przerwał mu zniecierpliwionym tonem rozmówca. – Żyła, gdy ją znaleziono, żyła, gdy zabierano do szpitala. Zanim jednak przybyli moi ludzie, by ją chronić, ona… zniknęła.

Raul milczał przez chwilę, jak zresztą i pułkownik. Ten pierwszy próbował się opanować, bo naprawdę ogarnęły go mordercze uczucia, ten drugi czuł po prostu wstyd. Ponownie nawalił. Po raz drugi zawiódł.

– Słuchaj, Raul, nikt jej w tym zniknięciu nie pomagał. Nikt podejrzany. Nikt z naszych też nie. Wyszła z pokoju, w którym spędziła noc po zabiegu, i po prostu przepadła.

– Ciężko ranna dziewczyna ot tak wychodzi ze szpitala i rozpływa się w mroku nocy? I ja mam w to uwierzyć?! – prychnął Raul niemal z pogardą. A na pewno z wściekłością.

– Nie była ciężko ranna. Krew na koszuli była krwią jej matki. Ona dostała w ramię. Powierzchownie. Nałożyli jej kilka szwów, dali środki przeciwbólowe i byli skłonni ją wypisać, ale Sûreté nie wydała zgody…

– I całe szczęście! Bo rozumiem, że zniknęłaby wcześniej!?

– Raul, rozumiem twoje wzburzenie…

– Gówno rozumiesz! – syknął de Luca. – Przed chwilą dowiedziałem się, że Sonia i Paweł nie żyją, bo ty nie potrafiłeś zapewnić im bezpieczeństwa. Straciłeś kiedyś przez jakiegoś rządowego partacza dwoje

najbliższych ci ludzi? Nie. Więc nie pieprz o zrozumieniu. Masz odnaleźć tę dziewczynę, zanim inny partacz, który załatwił jej ojca i matkę, zorientuje się, że jego trzecia ofiara przeżyła. Zanim ten bandzior wróci, by ją dobić. To chyba potrafisz zrobić, Smith? Odnaleźć ranną, przerażoną kilkunastoletnią dziewczynę?

– Potrafię – odmruknął tamten.

– Gdy przyjadę do Francji, będę chciał z nią porozmawiać…

– Nie możesz teraz przyjechać! To byłoby dla ciebie jak wyrok śmierci!

Raul zaśmiał się krótko, a w tym śmiechu nie było za grosz wesołości.

– Liczę, że twoi komandosi zapewnią mi ochronę.

Cios był celny. Naprawdę zabolał. Jednak nie tak, jak śmierć Soni i Pawła zabolała Raula. Smith musiał zmilczeć i tę obelgę.

– Masz jakiekolwiek przypuszczenia, gdzie ta dziewczyna może teraz być?

– Jeszcze nie. Dowiedziałem się o jej ucieczce przed chwilą. Wiesz, jaką drogę musi czasami przebyć najprostsza informacja…

Raul wiedział. I musiał tutaj przyznać Johannesowi rację: córka Soni i Pawła – trzeba zapytać o jej imię – nie była w żaden sposób powiązana z wydziałem antynarkotykowym CIA. Smitha nie powinna w ogóle interesować ani ona, ani jej rodzina.

– Szukaj jej. Byle dyskretnie. Ten, kto zlecił zabójstwo Soni i Pawła, na pewno i ją chciał sprzątnąć.

– Myślę, Raul, że on poluje na kogoś innego… – pułkownik zawiesił głos. Nie musiał dodawać, kto jest głównym celem w tej grze.

– Tylko wtedy, gdyby podejrzewał, że żyję – zauważył de Luca.

– Widzisz… – zaczął niepewnie pułkownik. – Nie wiązaliśmy tego incydentu z tobą…

Incydentu?! Jakiego incydentu?! – Raul, Stanley i Tristan słuchający tych słów spojrzeli na siebie.

– Jakiś czas temu na cmentarzu, na którym zostałeś rzekomo pochowany, grasował wandal. Uszkodził kilka nagrobków, rozkopał kilka grobów, ukradł świeże wieńce i znicze, ale wydawało się, że to nic poważnego. To się zdarza. Teraz już wiemy, że była to zasłona dymna. Ktoś sprawdzał twój grób. Musiał pobrać materiał genetyczny ze zwłok, które pochowaliśmy zamiast ciebie, i zorientował się, że to nie ty…

– Zaraz, zaraz… – Raul przerwał mu takim tonem, że Smith umilkł. – Mafia dowiedziała się, że żyję, a ty mówisz mi o tym dopiero dzisiaj?! Gdy dwie najbliższe mi osoby zostały zamordowane?!

– Moim zdaniem te dwie sprawy nie mają ze sobą związku – odparł ostrożnie Johannes i już był gotów na nowy stek wyzwisk, ale Raul powiedział tylko:

– A to ciekawe. Ot, zbieg okoliczności. Możesz wyjaśnić, dlaczego tak uważasz?

– Gdyby ten, kto wie, że żyjesz, chciał cię wywabić z kryjówki, porwałby Sonię i czekał, aż po nią przyjdziesz. Jej śmierć nie daje mu takiej gwarancji. Myślę, że to zbieg okoliczności: twoi wrogowie w końcu się na tobie ostatecznie zemścili, ale ktoś inny dopiero zaczyna cię szukać. Na twoim miejscu, Raul…

– Nie jesteś na moim miejscu i nie chcę słuchać twoich dobrych rad typu: siedź, gdzie siedzisz, i nie wychylaj się – odparł zimno de Luca. – Szukaj tej dziewczyny, a gdy ją znajdziesz, zamknij w Langley, Pentagonie, gdziekolwiek, byle była bezpieczna. To chyba możesz zrobić dla kogoś, kto oddał wszystko temu pieprzonemu krajowi?

– Mogę. Jest jeszcze coś, o czym powinieneś wiedzieć… – zaczął z wahaniem, a Raul zacisnął zęby, czekając na kolejny cios. – Tego też nie wiązaliśmy do tej pory z tobą, ale w świetle ostatnich wydarzeń…

– Mów.

– Jakiś czas temu ci skurwiele z Wikileaks włamali się do departamentu finansów i podpieprzyli rachunki z ostatnich pięciu lat. Na jednym z nich było twoje nazwisko.

– Ty chyba żartujesz – odezwał się Raul niemal szeptem, zaciskając palce na nieszczęsnym telefonie tak silnie, jakby to było gardło pułkownika.

– Chciałbym żartować, ale nie do śmiechu mi teraz, bo… słuchaj… wyjaśniamy to właśnie… dlaczego ten rachunek zamiast na Rogera Latimera był wystawiony na Raula de Lukę.

Stanley i Tristan, słuchający z uwagą każdego słowa, które padło podczas tej rozmowy, teraz spojrzeli z niedowierzaniem na Raula. On zaś… On zmrużył czarne, teraz tak czarne jak piekielna czeluść, oczy, przez chwilę patrzył przed siebie na chylące się ku zachodowi słońce, a potem odpowiedział nienaturalnie spokojnym głosem:

– Tu nie ma czego wyjaśniać, pułkowniku Smith. Któryś z pana ludzi, może pan osobiście, wystawił mnie moim wrogom. Pozostawiam to pana sumieniu, o ile jeszcze coś takiego pan posiada.

I rozłączył się.

Jeszcze przez moment ściskał telefon w dłoni, patrząc tym niewidzącym spojrzeniem na surową teksańską prerię, a potem przeniósł wzrok na dwóch mężczyzn, syna i przyjaciela, którzy do tej pory nigdy go nie zawiedli.

– Ja już jestem martwy – rzekł to tak zwyczajnym tonem, jakby oznajmiał, że jutro będzie upał. – Do was jeszcze nic nie mają. Ty, Stanley,

zawsze byłeś szarą eminencją, zwykłym ochroniarzem, choć Bóg mi świadkiem, że dla mnie pozostaniesz przyjacielem, ty zaś, Tristan, możesz po prostu zniknąć. Zmienić imię, nazwisko, narodowość… Wiesz, gdzie znajdziesz komplet nowych dokumentów…

– Jeżeli myślisz, że ja ucieknę, podczas gdy ty będziesz walczył o życie, to się mylisz – odparł młody mężczyzna takim samym spokojnym, obojętnym tonem jak jego ojciec.

Raul skinął tylko głową i spojrzał na Stanleya. Ten zaczął powoli:

– Szefie, nazwałeś mnie przyjacielem, a przyjaciel to coś więcej niż ładnie brzmiące słowo. Byłem z tobą dwadzieścia lat temu, w VillaRosie, więc teraz również nie zamierzam zostawić cię z tym szajsem. Czuję się współwinny śmierci Soni i Pawła…

– Ty zrobiłeś wszystko, co do ciebie należało. Wytropiłeś ich, choć graniczyło to z cudem, i podrzuciłeś ostrzeżenie. Paweł je zignorował. Oboje ponieśli za to najwyższą karę – przerwał mu cichym głosem Raul. – Teraz trzeba znaleźć ich córkę. Wcześniej, niż zrobią to ludzie Smitha. Nie można im już ufać.

Stanley skinął głową. On do służb specjalnych nigdy nie miał przekonania. Za dużo biurokracji, za dużo dokumentów, a na każdym czyjś podpis i czyjeś nazwisko. Chociażby Raula de Luki.

– Jesteście więc ze mną? – Tym razem głos Raula zabrzmiał silnie i dźwięcznie. Jak zawsze.

Obaj przytaknęli.

– Myślę, że powinniśmy jak najszybciej się stąd ulotnić. To nie jest już bezpieczne miejsce. Tristan, pojedziesz do miasteczka, wynajmiesz kogoś do opieki nad ranczem, nie możemy zostawić zwierząt na pastwę losu. Stanley, ty polecisz do Waszyngtonu, znajdziesz człowieka, którego

potrzebujemy. Ja zaś… muszę wrócić do pewnego pięknego miejsca na Cyprze, w okolicach Kyrenii, gdzie to wszystko się zaczęło.

I gdzie się skończy – coś zaszeptało w jego duszy.

Był pewien, że w VillaRosie znajdzie odpowiedź przynajmniej na jedno z pytań, które nie dawało mu spokoju od chwili, gdy dowiedział się o śmierci Soni i Pawła. Kto nienawidził jego, Raula, tak strasznie, że nadal, po tylu latach, ścigał i niszczył każde o nim wspomnienie? Że nie uwierzył w jego śmierć? A gdy dostał dowody, że została sfingowana, zdecydowany był go odnaleźć i zabić?

– Gotowi?

Jego syn przytaknął bez wahania. Stanley sekundę później.

Uścisnęli sobie dłonie. Silnie, po męsku.

Wszystkim trzem przemknęło w tej chwili przez myśl, że nie jest to gest braterstwa, a pożegnanie.

# ROZDZIAŁ III

Marie skuliła się na wąskim, niewygodnym łóżku i naciągnęła cienką kołdrę aż na głowę. Ciemność i cisza dawały złudne poczucie bezpieczeństwa, które było jej potrzebne choć na tę jedną noc.

Rana postrzałowa rwała trudnym do zniesienia bólem, ale serce cierpiało jeszcze bardziej.

Rodzice nie żyli. Jej wspaniali, kochani rodzice – Paweł i Sonia – zostali zastrzeleni wczoraj w ich domu przez bandytę, który ją, Marie, też próbował zabić. Dziewczyna zacisnęła powieki i wgryzła się w poduszkę, żeby stłumić rozrywający jej pierś szloch. Przerażenie i rozpacz po prostu odbierały jej zmysły.

– Mamusiu… – kwiliła jak umierające szczenię, a potem znów zwijała się z bólu, krzycząc w mokrą od łez poduszkę dotąd, aż traciła głos. – Tatuniu… – łkała, uderzając pięścią w materac, jakby to mogło przynieść ulgę. – Nie przeżyję tego. To niemożliwe, żebym żyła, gdy ich już nie ma… Nie potrafię, nie chcę żyć bez rodziców. Najlepszych rodziców na świecie…

Otępiałą ze zmęczenia, bólu i łez zastał ją świt.

Niebo nad dachami Paryża zaróżowiło się od blasku jutrzenki. Ale Marie wydawało się, że wschodzi słońce bez promieni…

Siedem długich nocy i dni trwała ni to martwa, ni żywa, zanim młody organizm zapragnął żyć dalej. Te dni zabiły w dziewczynie jakąś jej cząstkę

– naiwność i wiarę dziecka, że świat jest bezpieczny, a ludzie dobrzy – ale jednocześnie uratowały jej życie. Bo tym, którzy zlecili zabójstwo rodziny Solay – takie od jakiegoś czasu nosili nazwisko – Marie wyślizgnęła się z rąk. Zniknęła w wielkim, gwarnym mieście, pośród sobie podobnych ptaków bez gniazda, rozpłynęła się w kolorowym tłumie turystów i mieszkańców stolicy Francji i będzie to robiła za każdym razem, gdy tamci wpadną na jej trop.

Uciekaj, Marie! Nie daj się im! To jedyne, co możesz uczynić dla tych, którzy cię kochali: przeżyć. Doczekać chwili, gdy przyjaciele przyjdą ci z pomocą i już nigdy nie będziesz sama…

*

Szczupły mężczyzna o urodzie południowca stanął przed wysokim eleganckim apartamentowcem, zadarł głowę do góry, przyglądając się piątemu piętru, po czym ruszył do drzwi wejściowych.

Znudzony portier poprosił go o prawo jazdy, zerknął przelotnie na zdjęcie, po czym z namaszczeniem, przygryzając dolną wargę, wpisał nazwisko, widniejące na plastikowym prostokącie, do księgi, którą miał rozwartą przed sobą. Mężczyźnie przemknęło przez myśl, że to nie tyle namaszczenie, co po prostu analfabetyzm. Może ochroniarz miał kłopoty z pisaniem? Nie zamierzał się jednak nad tym zastanawiać.

– Pan van der Welt jest w domu? – ponaglił tamtego pytaniem.

– Jest albo i nie jest – odparł bezczelnie ochroniarz.

Dwadzieścia dolarów i pół sekundy później okazało się, że jednak jest.

– Panie Danielu, jakiś ważniak do pana. John… Blackwhite…

– Nic mi to nazwisko nie mówi – odezwał się męski głos przez interkom.

Stanley, bo to on był Johnem Blackwhite’em, wiedział, jakie nazwisko otwierało swego czasu wszystkie drzwi, także te, ale nie mógł się na nie powołać. Nie przy cieciu, który nadstawiał ucha, wcale się z tym nie kryjąc.

– Przychodzę w imieniu przyjaciela. Proszę o chwilę rozmowy w dowolnym miejscu o dowolnej porze – powiedział do mikrofonu, zastanawiając się, co on u licha tu robi. I po co Raulowi jakiś ważniak z CIA. Budynek zamieszkiwali pracownicy tej właśnie instytucji, a Daniel van der Welt był jednym z nich.

Po drugiej stronie interkomu panowała cisza. Wreszcie padła niechętna odpowiedź.

– Będę na dole za parę minut. I lepiej, żeby przyjaciel zawracał mi głowę czymś ważnym. Szczególnie o tej porze. Po cholernym dwudziestoczterogodzinnym dyżurze w Firmie.

Pora była późna. Dochodziła północ, ale Stanley nie miał czasu do stracenia. Każda minuta zwłoki mogła mieć nieobliczalne konsekwencje dla Raula, Tristana albo zaginionej dziewczyny. Skoro szefowi Daniel van der Welt jest potrzebny natychmiast, Stanley prosto z waszyngtońskiego lotniska przyjeżdża tutaj. I wyciąga tamtego z łóżka, jeśli jest taka potrzeba.

Chodził po oszklonym holu apartamentowca niczym wilk w klatce, nie zwracając uwagi na ochroniarza, który wodził za nim niespokojnym wzrokiem. Wreszcie drzwi windy rozsunęły się z cichym sykiem i w kierunku Stanleya ruszył sprężystym, pewnym krokiem przystojny jasnowłosy mężczyzna po czterdziestce. Wyciągnął do nieznajomego dłoń. Stanley uścisnął ją krótko, ale silnie.

– Dziękuję, że zechciał się pan ze mną spotkać – odezwał się.

– Proszę mi mówić po imieniu. Daniel.

W tym momencie Stanley powinien powtórnie się przedstawić i wyjawić nazwisko przyjaciela, na którego się powołał, ale… nie w miejscu, które na pewno jest monitorowane.

– Przejdziemy się? – zapytał zamiast tego.

Daniel spojrzał nań, mrużąc szare oczy. W jego ostrym spojrzeniu nie było już za grosz sympatii, z jaką przed chwilą wyciągał do Stanleya rękę.

– Żona została w domu. Obiecałem, że będę za kilka chwil – odparł powoli, dając intruzowi do zrozumienia, że nigdzie się nie wybiera.

Ten skinął głową, jakby się z nim zgadzał, po czym wyciągnął z portfela złożoną na czworo serwetkę, którą zachował właśnie na tę okoliczność, i napisał na niej trzy słowa: „Raul de Luca”.

Daniel aż cofnął się o krok. To nazwisko przyciągało śmierć! Nieco bledszy niż chwilę wcześniej spojrzał z niedowierzaniem na mężczyznę o południowym typie urody, który mógł być zarówno od niego, Raula, jak i z mafii. Za późno było jednak na przybranie pokerowej twarzy, stwierdzenie: „Nie znam człowieka”, i powrót do bezpiecznego mieszkania.

Stanley pstryknął zapalniczką, podpalił serwetkę, cisnął ją do doniczki z plastikowym kwiatkiem i dopilnował, by został z niej tylko popiół, po czym przeniósł wzrok na van der Welta. Pierwszy szok minął. Wzrok tamtego wyostrzył się. Teraz sprawiał wrażenie przyczajonego drapieżnika, który jeszcze nie zdecydował: atakować czy odpuścić.

– Przejdziemy się? – padło ponownie to pytanie. – Jestem nieuzbrojony.

Daniel prychnął ironicznie. To w niczym nie przeszkadza, by mnie sprzątnąć – pomyślał i skinął głową, jakby w to uwierzył. Ale… mimo wszystko wierzył. Z mafią miał do czynienia w swoim poprzednim życiu nie raz, nie dwa. Wyczuwał typów spod ciemnej gwiazdy jak gończy pies wyczuwa lisa. Tego faceta nie przysłała mafia.

Jeśli zaś nie mafia, to kto?

Bo chyba nie… on?! Nie Raul?!

– Rzeczywiście: przejdźmy się – mruknął, coraz bardziej zaintrygowany. – Masz minutę. Daj mi dobry powód, żebym cię wysłuchał – dodał, gdy znaleźli się na chodniku przed apartamentowcem. Nie zamierzał ruszyć się stąd na krok.

– Spotkaliśmy się, choć nie twarzą w twarz, dwadzieścia lat temu – odezwał się Stanley. – Pomagałeś nam sprzątać bajzel po jego śmierci. Byliśmy wtedy po tej samej stronie. Daniel wzruszył ramionami. Nie przytakując i nie zaprzeczając.

– Czterdzieści sekund.

Stanley sięgnął do kieszeni marynarki i podał mu telefon. Tylko tyle. Van der Welt z wahaniem ujął komórkę, nacisnął słuchawkę i nie spuszczając wzroku z tamtego, czekał na połączenie. Gdy po drugiej stronie usłyszał głos przyjaciela… przyjaciela, którego dwadzieścia lat temu pogrzebał i opłakał… telefon mało nie wypadł mu z ręki.

– Raul, cholerny draniu… – wyszeptał głosem łamiącym się ze wzruszenia. – Ty żyjesz! Niech cię szlag! – wściekł się w następnej chwili.

– Ja też się cieszę, że cię słyszę – zabrzmiała żartobliwa odpowiedź. I natychmiast ten głos spoważniał. – Mam problem, Szakal. Poważny problem.

Skoro nazywał Daniela dawno zapomnianym imieniem, rzeczywiście miał.

– Jakie problemy może mieć ktoś, kto poległ bohaterską śmiercią niemal dwa dziesięciolecia temu? – zakpił van der Welt. – Trumna za ciasna? Robal cię toczy?

– Idiota – prychnął Raul, a Stanley, który słuchał tej rozmowy z rosnącym niedowierzaniem, zmierzył Daniela wzrokiem, który mówił: Czy aby na pewno chcę z tobą pracować, wesołku?

– Słuchaj, Szakal, człowiekowi, którego do ciebie posłałem, ufam jak… jak tobie. Wysłuchaj go i zastanów się, czy możesz mi pomóc, okej? Nie będę naciskał, bo ja nie mam już nic do stracenia, a ty owszem. Po prostu wysłuchaj Stanleya i przemyśl sprawę.

– Okej. To mogę dla ciebie zrobić. Coś jeszcze? Masz pieniądze? Paszport? Prawo jazdy? – Daniel, niegdyś najbardziej poszukiwany haker świata, nie pytał dawnego przyjaciela, czy ten aby ma dziesięć dolców na hamburgera w McDonaldzie i ważne prawo jazdy. On pytał, czy w razie czego Raul poradzi sobie w świecie dużych pieniędzy z bezpiecznymi dokumentami, to jest takimi, które nie podpadną ani policji, ani straży granicznej.

– Mam. Dzięki, że zapytałeś – w głosie Raula zabrzmiała prawdziwa serdeczność.

Dobrze było spotkać ponownie ludzi, którym kiedyś ufał i których kiedyś po prostu szczerze lubił. Daniel van der Welt, cholernie zdolny, młodszy od niego o parę lat facet, który został przydzielony Raulowi jako wsparcie logistyczne z ramienia CIA, okazał się właśnie kimś takim: godnym zaufania przyjacielem, który nie zostawi cię samemu sobie i będzie walczył za wspólną sprawę do końca, a gdy ten koniec nadejdzie, będzie jedną z nielicznych osób na twoim pogrzebie, choćby miało to stanowić śmiertelne zagrożenie.

Rozłączył się bez pożegnania, ale żadne inne słowa nie były potrzebne. Mógł liczyć na Daniela van der Welta, a to naprawdę coś. Szczególnie gdy nie ufał już nikomu poza nim, Stanleyem i własnym synem. Bo tym, kto

mógł sprzedać Pawła i Sonię, a teraz wystawiał mafii jego, Raula, mógł być pułkownik Johannes Smith.

Daniel ze Stanleyem wrócili do holu. Ten pierwszy wahał się przez chwilę, nim zaproponował:

– Wejdź na górę. Moja żona ma dyżur w szpitalu. Jest chirurgiem – w jego głosie zabrzmiała nieudawana miłość i duma. – Mamy więc całą długą noc na spokojne obgadanie paru spraw.

– Mieszkanie jest bezpieczne? – musiał się upewnić Stanley.

Daniel wzruszył ramionami.

– Systematycznie sprawdzane przez chłopaków z Firmy.

– Mogą podkładać własne pluskwy – zauważył Blackwell.

– Masz inny pomysł?

– Byle jaka kafejka internetowa. Macie tutaj jakieś?

– Pewnie tak. Ale mam lepszy pomysł…

Daniel zdecydowanym krokiem ruszył do windy. Stanley za nim. Powoli dochodziło do głosu zmęczenie. Przyleciał z Europy do Stanów, potem złapał lot z przesiadką do Teksasu, bez wytchnienia pognał na północ, na ranczo Raula, stamtąd powrót na lotnisko i lot do Waszyngtonu, podczas którego nie mógł zasnąć – za dużo wydarzyło się przez ostatnie kilka dni, za wiele domysłów i niewiadomych nie pozwalało zmrużyć oka. Przez ostatnich kilkanaście lat odwykł od niebezpieczeństw. Miał spokojną pracę bodyguarda w agencji ochrony VIP-ów, nieźle stał finansowo, a podopieczni nie byli zbyt kłopotliwi. I nagle z cypryjskiego zadupia trafia w sam środek mafijnej wojny o głowę dawnego szefa, legendarnego Raula de Luki…

Marzył o spokojnym śnie w niewielkim, anonimowym hotelu, ale jeszcze nie czas na odpoczynek. Trzeba znaleźć tę, która przeżyła. Zanim

znajdą ją siepacze mafii.

– Poczęstujesz mnie mocną kawą? Mam za sobą ciężki dzień… Jaki dzień, chyba już ze trzy dni… – poprosił Daniela, gdy tylko weszli do niewielkiego, ale przytulnego mieszkania na piątym piętrze, zupełnie niepasującego wystrojem do szkła i aluminium, z którego zbudowany był budynek. Stanleyowi spodobało się to wnętrze. – Ładnie tu, przytulnie – dodał.

– Moja żona jest romantyczką. – Daniel uniósł kącik ust w uśmiechu i podał gościowi kubek z kawą. – Weź go ze sobą. Przejdziemy w miejsce, gdzie nikt nam nie przeszkodzi i na pewno nie ma tam pluskiew.

Zwinął z biurka laptop i skierował się ku drzwiom wyjściowym. Chwilę później wychodzili na dach wieżowca. Wiatr smagnął ich nieprzyjemnie po twarzach, ale już za załomem muru było zaciszniej. Daniel sięgnął za jedną z wyłamanych kratek wentylacyjnych i wyciągnął paczkę papierosów.

– Nie palę – zastrzegł Blackwell.

– Ja też nie, ale musimy mieć alibi. To podniebna palarnia mieszkańców budynku.

Stanley skinął głową i już po chwili obaj zaciągali się camelami, krzywiąc się przy tym niemiłosiernie.

– Jak ludzie mogą wdychać to gówno? – wychrypiał Daniel, dusząc się od dymu. – Chodź, stary, pokażę ci panoramę Waszyngtonu…

Podeszli na skraj dachu, odgrodzony od przepaści solidną barierką, i – nadal z papierosami w dłoniach – oparli się o nią, patrząc w rozjaśnione miejską łuną nocne niebo.

– Dobra. Możesz mówić.

– Nie wiem, na ile jesteś wtajemniczony w poprzednią działalność Raula de Luki… – zaczął Stanley.

– Miałem dostęp do wszystkich dokumentów.

Stanley gwizdnął cicho. W jego oczach błysnęła podejrzliwość. Hakerzy Wikileaks wykradli z centrali rachunki, w tym jeden wystawiony całkiem niedawno na nazwisko Raula. Kto, jeśli nie Daniel van der Welt, mógł to zrobić bez najmniejszego wysiłku?

– Czy dlatego Raul cię przysłał? – padło naraz pytanie. – Żebyś mnie sprawdził?

Stanley nie wiedział, co odpowiedzieć. Prawdę mówiąc, nie miał pojęcia, jaki jest plan Raula. Poprosić Daniela van der Welta o pomoc. W czym? W znalezieniu dziewczyny czy zleceniodawcy zabójstwa? – tego już nie powiedział. Jeżeli van der Welt się zgodzi, padną następne instrukcje.

– To, że tu jestem, znaczy samo przez się, że Raul ci ufa – odparł wymijająco.

– Jakim cudem przeżył? Widziałem raport z jego śmierci, widziałem zdjęcia i zeznania świadków. Pojechałem na jego grób złożyć kwiaty i pożegnać go po raz ostatni. Tymczasem on, niczym jakiś cholerny Łazarz, po dwudziestu latach wraca do żywych i…?

– A widziałeś raport o śmierci Soni i Pawła?

Daniel spojrzał na niego zaskoczony.

– Załatwili ich? Kiedy?

– Dwa dni temu. To ja przekazałem Raulowi tę wiadomość.

– Wszystko, co jest związane z operacją „Złoty Pył”, powinno trafić w moje ręce. Natychmiast. – Daniel wbijał w twarz mężczyzny ostre, uważne spojrzenie. – Jeśli nie trafiło, to znaczy, że mnie odsunęli od tej operacji. Albo…

Umilkł, kręcąc głową.

– Albo…?

– Albo dostałeś fałszywe informacje i ci, którzy je spreparowali, właśnie idą po głowę Raula. Bo rozumiem, że pojechałeś prosto do niego?

– Byłem ostrożny – mruknął Stanley. – A samą wiadomość i zdjęcia otrzymałem od nie byle kogo, a od samego pułkownika Smitha.

Daniel skinął głową. Smith był żołnierzem z krwi i kości. Honor ponad wszystko. Prędzej strzeliłby sobie w łeb, niż wystawił swojego człowieka mafii. Dlaczego Daniel był go tak pewien? Bo mafia załatwiła jedynego syna i ukochaną żonę pułkownika. Smith nie skundliłby się, wchodząc we współpracę z tymi, którzy zniszczyli mu życie. Walka z przestępczością zorganizowaną – to jedyne, co mu pozostało.

– Ja jeden byłem łącznikiem Firmy z Raulem – mówił dalej Stanley. – Nie mam pojęcia, ilu wiedziało, że on żyje, ale wątpię, by ktoś jeszcze znał miejsce, gdzie się ukrywa. Już Raul tego dopilnował.

– Szkoda, że nie dopilnował tamtych dwojga – mruknął Daniel.

– Wiesz, że kilka dni temu było włamanie do archiwum Firmy? Wikileaks podpieprzyło kilka tysięcy dokumentów. Nie doszło do ich upublicznienia, do tego nie dopuszczono, ale te sukinsyny zdążyły sprzedać kopie mafii. W tych dokumentach był rachunek na nazwisko Raula de Luki…

– Żartujesz!? – Danielowi aż papieros wypadł spomiędzy palców. – Raul wystawił komuś rachunek na swoje nazwisko?! Czy on oszalał?! Życie mu zbrzydło?!

– Raul od dwudziestu lat używa różnych innych nazwisk, tylko nie swojego – odparł z naciskiem Blackwell. – Nawet jeżeli jemu zbrzydłoby życie, to dbał o życie Soni i Pawła. Ktoś od was wystawił ten rachunek, a więc wystawił mafii Raula. Chcemy wiedzieć kto.

– Ja też – stwierdził stanowczo van der Welt. – Nie tu i nie teraz, ale zajrzę, gdzie trzeba, i znajdę tego skurwiela. Coś jeszcze? – Daniel najchętniej skończyłby rozmowę w tej chwili, pożegnał się uprzejmie i od razu wszedł do internetu, by rozpocząć polowanie na zdrajcę.

– W tę noc, gdy zginęli Sonia z Pawłem… – zaczął z wahaniem Stanley. Ufał temu mężczyźnie, intuicyjnie wyczuwał w nim sprzymierzeńca, tak samo jak Daniel w Blackwellu, ale… tutaj, w samym sercu Stanów Zjednoczonych, z najlepiej strzeżonego archiwum wykradziono dokumenty, nie pierwszy zresztą raz. Jeżeli ten, kto zlecił zabójstwo, dowie się, że dziewczyna przeżyła, a teraz błąka się samotna, ranna i przerażona po Paryżu, jej godziny będą policzone.

Podjął decyzję: dopiero gdy Daniel znajdzie źródło przecieku i uda się zlikwidować zdrajcę, poproszą go o pomoc w znalezieniu dziewczyny. Chyba że znajdą ją wcześniej albo Raul będzie miał inny pomysł.

– Jest jeszcze coś, co możesz zrobić – zmienił temat. – Trzeba przelać pieniądze, duże pieniądze, z kilku kont na inne konta. Oczywiście tak, by nie wzbudziło to podejrzeń.

Daniel uśmiechnął się. W tym był dobry. Swego czasu za machinacje na kontach bankowych ścigała go policja na całym świecie.

– Legalne czy nielegalne?

– Legalne. Wynagrodzenie Raula za akcję „Złoty Pył”. Jako poległy w boju nie mógł ich podjąć, a skoro zmartwychwstał…

– Wiesz, że podejmowanie pieniędzy z trefnego konta zawsze wiąże się z ryzykiem? – Daniel poczuł się w obowiązku ostrzec Stanleya. – Raul będzie musiał osobiście udać się do banku, a mafia ma wszędzie swoich ludzi. Wystawi się na strzał.

– Może o to właśnie mu chodzi? Wywabić z kryjówki mordercę Soni i Pawła?

– Skoro tak… Z przyjemnością się tym zajmę – uśmiech Daniela stał się jeszcze szerszy, a Blackwell zrozumiał, dlaczego Raul darzy tego mężczyznę taką sympatią i zaufaniem. Byli ulepieni z tej samej gliny. Dwóch twardych facetów pogrywających na cienkiej granicy dzielącej prawo od bezprawia. To się mogło podobać.

– Masz przy sobie te zdjęcia? – zapytał nagle van der Welt, gdy Stanley już miał się żegnać.

Ten drgnął. Na zdjęciach była przecież dziewczyna, o której mu nie wspomniał.

Niechętnie sięgnął za połę marynarki i wyciągnął plik fotografii. Tamten stanął z nimi pod silną lampą oświetlającą wejście na klatkę schodową. Widząc pierwsze, skrzywił się mimowolnie. Widok zastrzelonej kobiety nie był przyjemny. Mimo to przeglądał fotografie z uwagą śledczego.

– Coś chcieliśmy zataić? – odezwał się do Stanleya, unosząc zdjęcie zakrwawionej dziewczyny. – To ich córka? Przeżyła?

– Skąd wiesz, że przeżyła? – w głosie Blackwella znów zabrzmiała podejrzliwość.

– Bo to próbowałeś przede mną ukryć.

Musiał przytaknąć.

– Sûreté zabrała ją tej nocy do szpitala, okazało się, że jest lekko ranna. Nałożyli jej kilka szwów, a ona zaraz po zabiegu zwiała.

– Mam nadzieję, że jest bezpieczna…

– Będzie. Jeśli znajdziemy ją pierwsi.

Daniel uniósł wzrok znad zdjęcia dziewczyny. Już znał prawdziwy powód wizyty tego człowieka. Raul prosił jego, Daniela, nie o pomoc w transferze pieniędzy, nie o namierzenie śpiocha w szeregach CIA, a o znalezienie córki Soni i Pawła. Jedynej istoty, która mu po nich została.

– Macie jakiekolwiek domysły, gdzie ona może teraz być?

Stanley pokręcił głową.

– Dopóki nie popełni błędu i nie zostawi jakiegoś śladu, nie znajdziemy jej. Ale oni również nie.

– Nie znałem Pawła Rodło osobiście – zaczął van der Welt – ale był prawą ręką Raula de Luki, musiał więc mieć głowę na karku. Na pewno dał szkołę przetrwania swojej jedynej córce. Ona, gdziekolwiek teraz jest, da sobie radę.

# ROZDZIAŁ IV

Gotów? – Raul obrzucił syna uważnym spojrzeniem.

Młody mężczyzna miał na sobie nieco bardziej cywilizowane odzienie niż sprane, wypłowiałe dżinsy i takaż koszula, w jakich przemierzał teksańską prerię na grzbiecie swego appaloosa. Sportowa elegancja – biały T-shirt, czarna marynarka i czarne spodnie – tak teraz Tristan postanowił się nosić.

W przewieszonym przez ramię plecaku miał parę ciuchów, dokumenty na czyste, zupełnie niewinne nazwisko Latimer, portfel z pieniędzmi i kartami płatniczymi i właściwie nic więcej. Najcenniejszy przedmiot – telefon z koderem ATP – ukrył w kieszeni marynarki. Taki sam telefon zostawił Raulowi Stanley, bo ten pierwszy do niedawna mógł się obejść bez ostatnich zdobyczy techniki. Teraz jednak niezawodna, bezpieczna komunikacja, nie do namierzenia i rozkodowania, między Raulem, Tristanem, Stanleyem i Danielem była najważniejsza.

– Pamiętasz numer? – upewnił się po raz setny de Luca.

Tristan przewrócił oczami.

– Ojcze, litości… – Pamiętał. I to nie tylko numery wszystkich trzech telefonów, ale i numer skrytki dworcowej, gdzie czekała na niego przesyłka od Stanleya. Co w niej będzie? Młody mężczyzna nie miał pojęcia. Wiedział, co powinno się w niej znaleźć, ale czy jego ojciec zadbał, by we Francji, nękanej przez terrorystów z ISIS, Tristan miał się czym bronić?

– W skrytce masz pieniądze, nową tożsamość i najnowszego sig sauera l-c – odezwał się Raul, zupełnie jakby czytał synowi w myślach.

Ten kiwnął głową z aprobatą. Zdobyć broń nie byłoby pewnie trudno, ale zajęłoby to cenny czas, którego żaden z nich nie miał.

– Strzelałeś już do człowieka? – padło następne pytanie.

Tym razem Tristan się nastroszył. O jego udziale w misji pokojowej w Libii do tej pory nie rozmawiali. Był to temat tabu, tak jak kariera Raula w mafii.

– Mam parę trafień na koncie – odmruknął niechętnie.

– To dobrze. Nie zawahasz się, gdy będzie trzeba zabić.

– I tak bym się nie wahał!

– Mylisz się, synu… – Ten protekcjonalny ton… jak on wkurza…! – Pierwszy raz zawsze jest trudny.

– Jeszcze zapytaj mnie o mój pierwszy raz z dziewczyną – prychnął Tristan, by zmienić temat.

– A właśnie: wiesz, kogo masz odnaleźć i chronić? – Raul pozostał poważny.

– Wiem! Marie Solay! Podejrzewasz, że na demencję zapadłem, czy co?!

– Masz chronić osiemnastoletnią córkę moich przyjaciół – rzekł Raul z naciskiem. – Chronić, a nie ciągnąć ją do łóżka. Jest dla ciebie nietykalna, jak siostra, rozumiesz?

– Rozumiem! Nie mam zamiaru ciągnąć jej do łóżka!

– Trzymam cię za słowo, Tris – nadal brzmiało to poważnie. Chłopak spoważniał więc również. – Jesteś jej nadzieją na przetrwanie. Jeżeli zaczniesz myśleć nie tym narządem, co trzeba, skończy jak Paweł i Sonia. Nie spieprz tego.

Kiwnął tylko głową. Ojciec zapomniał chyba, że on, Tristan, jest żołnierzem. Brał udział w działaniach wojennych i wie, jak odsunąć na bok uczucia, gdy w grę wchodzi czyjeś życie. Zresztą nie zamierzał obdarzać uczuciami rozhisteryzowanej nastolatki. Odnaleźć ją, wywieźć w bezpieczne miejsce i czekać na sygnał, że krucjata Raula zakończyła się powodzeniem, a jej nikt już nie zagrozi. Dać buziaka na pożegnanie, życzyć szczęścia i on też będzie wolny. Wróci na ranczo albo do wojska.

– Jeszcze jedno – odezwał się po raz ostatni Raul, a chłopak tylko westchnął w duchu. – Nikt nie może się dowiedzieć, że jesteś moim synem. Chlapniesz nazwiskiem de Luca i jesteś martwy. A dziewczyna razem z tobą.

– Ty lecisz do Europy właśnie jako de Luca. Raul de Luca – zauważył Tristan. – To tak, jakbyś wymachiwał zabójcy przed nosem chorągiewką: „Tu jestem! Celuj we mnie!” Chcę ocalić tę dziewczynę, ale nie chcę równocześnie stracić ojca. Pozwól mi jechać samemu, a ty zostań tutaj. Proszę…

Raul patrzył na syna w milczeniu. Ten chłopak da sobie radę w życiu. Dostał dobrą szkołę i w domu, i w wojsku. Nie popełni jego błędów. Nie da się wciągnąć do współpracy z rządem, który – gdy zadanie się powiedzie – skreśla swoich ludzi, przeznacza ich na odstrzał. Byle wyszedł żywy z tego bagna. I ocalił Marie Solay…

– Chcę odciągnąć zabójcę od was. Od ciebie i Marie – odrzekł spokojnie. – Gdy tamten zacznie polować na mnie, wy będziecie mieli większe szanse na ucieczkę.

– A ty? Jakie ty będziesz miał szanse? – zapytał cicho Tristan, jakby po raz pierwszy dotarło doń, na co się obaj porywają.

Walka na śmierć i życie z nieznanym przeciwnikiem, który miał nad nimi jedną, za to istotną przewagę: wiedział, kogo szuka, była trudniejsza, po stokroć trudniejsza niż wszystkie misje, w jakich brał udział. Na wojnie też grozi ci śmierć, w każdej chwili ryzykujesz życiem, ale masz po swojej stronie przyjaciół, po drugiej wroga. Teraz zaś i Tristan, i Raul byli pewni jednego: mogli liczyć jedynie na siebie. Na Stanleya również. I może jeszcze na Daniela van der Welta, o ile ten zgodzi się im pomóc. Ale na nikogo więcej.

– Jakie masz szanse z zabójcą, czy raczej zabójcami, bo na pewno jest ich więcej, nasłanymi przez mafię? – powtórzył pytanie, patrząc na Raula spochmurniałymi oczami. On sam nie bał się śmierci, ale myśl, że może stracić ojca, który był jego jedyną rodziną, mimo wszystko ściskała serce.

– Miałem dobre życie, Tris. Kochałem i byłem kochany. Postępowałem z honorem, starałem się być prawym człowiekiem, choć wiem, że w ustach kogoś, kto przez lata całe był szefem mafii, brzmi to dziwnie. Najważniejsze jednak, że spłodziłem i wychowałem wspaniałego człowieka: ciebie. Nic więcej się nie liczy. Kiedy wybije moja godzina, wyjdę śmierci naprzeciw z podniesionym czołem. Wsiadaj do samochodu. Odwiozę cię na lotnisko.

Tristan skinął głową. Wrzucił na tylne siedzenie jeepa plecak – nic więcej ze sobą nie zabierał – i usiadł na miejscu pasażera. Lubił prowadzić, ale gdy jechał z ojcem, zawsze ustępował mu miejsca. Tak już było.

Ruszyli w milczeniu, które do tej pory nigdy im nie przeszkadzało. Wzajemna bliskość od wielu lat sprawiała, że słowa stawały się zbędne. Wystarczyło spojrzenie, półuśmiech czy zmarszczenie brwi, by się rozumieli. Tym razem jednak Tristan potrzebował rozmowy. Ale Raul nie.

Zapadł się we własne myśli, a może wspomnienia, i zbywał chłopaka półsłówkami. Wreszcie ten również zamilkł.

Tristan nie musi wiedzieć, że on, Raul, żegna się z synem w tej właśnie chwili. Był pewien, że tym razem nie uda mu się ujść z życiem. Zabójca był wściekły i zdeterminowany. I bezwzględny. Tego Raulowi zawsze brakowało: bezwzględności. Gdyby ją miał, dwadzieścia lat temu zastrzeliłby brata, a Sonia i Paweł dziś cieszyliby się życiem. I córką. Ale Raul był za miękki, by wycelować między oczy kogoś, kogo kochał, a potem pociągnąć za spust. Omal nie przypłacił swoich skrupułów życiem.

Powiedział synowi: „Nie spieprz tego”, choć tak naprawdę kierował te słowa do siebie. Tristan jeszcze niczego nie spieprzył. On, Raul, owszem…

Samolot do Paryża odlatywał za dwie godziny.

Raul ujął syna za ramiona, chciał coś powiedzieć, dać ostatnią radę, a może po prostu życzyć dobrej podróży, ale… tylko uścisnął go, mocno, tak jak wtedy, gdy Tristan wyruszał na wojnę, po czym wypuścił syna z objęć i pchnął w stronę stanowiska odprawy. Odszedł, nie oglądając się za jedynym dzieckiem, które widział – miał tego pewność – ostatni raz.

Stanął na tarasie widokowym, chcąc odprowadzić samolot Tristana spojrzeniem, po czym uspokoił oddech, oczyścił umysł z wszelkich myśli i sięgnął po telefon. On sam też za dwie godziny wsiądzie na pokład samolotu, ale nikt – nawet Stanley i Tristan – nie powinien wiedzieć którego. Dla mężczyzny, który właśnie odbierał połączenie, wizyta Raula de Luki była śmiertelnym zagrożeniem. Na szczęście z takimi zagrożeniami spotykał się nie raz i nie dwa. Niebezpieczeństwo nie było mu obce.

Odebrał po trzecim sygnale.

Upewnił się, że połączenie jest bezpiecznie. Było. Nowa technologia ATP – audioteleportacji, czyli przenoszenia dźwięku w czasie – sprawiała,

że śledzenie rozmowy przez osoby niepożądane stawało się niemożliwe. Agencje rządowe, inwigilowane przez mafię, wielbiły tę technologię i jednocześnie nienawidziły jej, bo mafia i terroryści natychmiast zaczęli z niej korzystać, choć telefony z ATP były nieprawdopodobnie drogie. Specjaliści rządowi pracowali więc usilnie nad metodą śledzenia rozmów ATP. Na razie bez powodzenia. Te informacje przemknęły przez myśl rozmówcy Raula, gdy sprawdzał, czy dioda ATP na jego telefonie się zapaliła. Zielone światło. Obaj są dobrze chronieni.

– Cieszę się, że znów cię słyszę, przyjacielu – zaczął, uśmiechając się mimo woli. Śmierć Raula, jak się okazuje sfingowana, naprawdę nim wstrząsnęła. – Nasz wspólny znajomy zostawił ciekawą przesyłkę.

– Dzwonię właśnie w jej sprawie – odezwał się Raul. – I, jeśli pozwolisz, pojawię się u ciebie za parę godzin. Jestem pewien, że będziesz miał dla mnie dobre wieści, i chcę je usłyszeć osobiście. Znajdziesz chwilę?

– Dla ciebie, przyjacielu, zawsze. Tylko… uważaj na siebie. Koło mnie zawsze kręcą się podejrzane typy.

Znaczyło to raczej: „Jak przystało na agenta rządowego, jestem pilnowany przez ludzi z Firmy, z którymi nie chciałbyś mieć do czynienia” – i Raul tak to właśnie zrozumiał.

– Dzięki za ostrzeżenie. Gdzie się spotkamy?

– Pod latarnią. Tam jest, jak wiesz, najciemniej – zaśmiali się obaj. Dowcip, choć stary, pasował do sytuacji. Spoważniał po chwili. – Wyjdę po ciebie na lotnisko, jeśli podasz mi numer lotu. Wśród tłumu jest bezpieczniej niż na ulicach City. Znajdziemy spokojne miejsce na rozmowę i wymianę informacji, co ty na to?

– Jestem za. *À propos* bezpieczeństwa: kiedy wpadniesz na pomysł, jak przechwytywać rozmowy ATP?

– Przeceniasz mnie. Na razie możemy gadać bez przeszkód – zaśmiał się i rozłączył.

Do czasu spotkania z Raulem musiał nazbierać jeszcze więcej informacji, wszystkie, które się tamtemu przydadzą. Czekała go pracowita noc…

Raul rzadko opuszczał swe teksańskie ranczo. Spokojne, leniwe życie, jakie wiódł w cichym, zacienionym domu pośrodku bezkresnej prerii, w zupełności mu wystarczało. Towarzystwo syna także. Książki, telewizja, czasem wypad do miasta i wieczór w pubie – niczego więcej po latach spędzonych w szalonym wirze mafijnych knowań i porachunków od losu nie oczekiwał. Ale widać los oczekiwał czegoś od Raula. Jakby jeszcze było mu mało…

Trochę zdziczał na tym dobrowolnym wygnaniu – teraz, na gwarnym lotnisku w Dallas, przyglądał się swojemu odbiciu w wyłożonej marmurem toalecie i… nie pasował do tłumu wyelegantowanych biznesmenów i południowych piękności w obcisłych, modnych sukienkach. On ubrany był wygodnie: czarne dżinsowe spodnie, błękitna koszula, sportowa marynarka przerzucona niedbale przez ramię. Włosy miał nieco za długie, ale fryzjera się na razie nie doczekają. Miał ważniejsze sprawy do załatwienia. Przeczesał je palcami. Ułożyły się w miękkie, lśniąco czarne fale, jak niegdyś, na Cyprze. Gdyby zmienił koszulę na białą albo czarną, niczym by się od tamtego Raula de Luki nie różnił. Lata dodały mu jedynie męskości. Może tylko twarz wydawała się bardziej surowa i oczy pozbawione były tego blasku, co niegdyś, gdy potrafił jeszcze kochać, ale kobietom i tak się podobał. Niejedna strzelała za nim spojrzeniem, niejedna uśmiechała się zalotnie, czy wręcz prowokacyjnie, gdy mijał ją pośród tłumu przystojnych, eleganckich, lecz nieco zniewieściałych mężczyzn… Raul de Luca

roztaczał wokół siebie – zupełnie nieświadomie – aurę stuprocentowego faceta, który wie, czego chce, i po prostu po to sięga.

Właśnie zapowiadali jego lot.

Ruszył do swojej bramki, z przyzwyczajenia omiatając leniwym, z pozoru obojętnym spojrzeniem spieszących we wszystkich kierunkach ludzi. Nagle wzrok mu się wyostrzył. W tłumie mignęła mu twarz człowieka, którego – dałby sobie rękę uciąć – już kiedyś spotkał. Mieszkał w Teksasie od dawna, znajdował się teraz na teksańskim lotnisku, więc nie było w tym nic dziwnego. Może któryś z sąsiadów wybierał się w odwiedziny do znajomych w innym stanie…? Mimo to wszystkie zmysły Raula, i tak napięte do granic, jeszcze się wyostrzyły. Był jak wilk na polowaniu, na którego z kolei poluje inny drapieżnik.

Nieznajomy szybko odwrócił wzrok, napotkawszy wzrok Raula. Ot, przypadek, że spojrzeli na siebie w tym samym momencie. Ale Raul de Luca nie wierzył w przypadki… Skręcił ku toaletom, chociaż parę minut wcześniej z jednej wyszedł. Pozornie stracił tamtego z oczu, ale mógł obserwować jego odbicie w oknach lotniska. Mężczyzna ruszył za Raulem, jednocześnie unosząc dłoń do ucha, gestem tyleż odruchowym, co charakterystycznym dla kogoś, kto komunikuje się przez mikrosłuchawkę. Więcej Raulowi nie było potrzeba. I nie obchodziło go, czy to agent rządowy, który ma go strzec przed niebezpieczeństwem, czy siepacz mafii.

Wszedł do toalety, odkręcił kran przy jednej z umywalek, włożył ręce pod strumień zimnej wody. Drzwi wejściowe miał jak na dłoni w lustrzanym odbiciu. Gdy zaczęły się otwierać, znieruchomiał, gotów do ataku…

Tamten wszedł jak gdyby nigdy nic. Drzwi zamknęły się z cichym stuknięciem. Mężczyzna uniósł dłoń, ale nim zdążył sięgnąć za połę

marynarki… Raul błyskawicznie obrócił się i z wyskoku rąbnął tamtego piętą w krtań. Facet zakrztusił się oddechem, wpadł na drzwi i osunął się po nich, tracąc przytomność, a może i życie. Raul nie zamierzał tego sprawdzać. Już uchylały się drzwi jednej z toalet, już wychylał się ktoś, zaalarmowany nagłym zamieszaniem.

– FBI. Siedź, gdzie siedziałeś! – warknął Raul.

Drzwi toalety zamknęły się z trzaskiem.

On pochylił się nad nieprzytomnym, wsunął rękę za pazuchę jego marynarki. Pistolet, no jakżeby inaczej. W kieszeni na piersi portfel, pewnie z dokumentami, ale niekoniecznie. Potem będzie czas, by to sprawdzić. Raul wrzucił broń do torby, którą miał ze sobą, i już go nie było.

Chwilę później spokojnie zdążał do samolotu, prowadzony przez uśmiechającą się przymilnie stewardesę do pierwszej klasy. Pistolet w niczym mu nie wadził. Przeciwnie: skoro na lotnisku znajdował się ktoś uzbrojony w broń palną – i to dzisiaj, w czasach, gdy ataki terrorystyczne były na porządku dziennym, a służby wychodziły z siebie, by wyłapywać zamachowców, zanim ci wysadzą w powietrze kolejną szkołę, teatr czy samolot – znaczy, że albo był to agent rządowy, albo przekupił kogoś z obsługi lotniska. Jeśli to drugie, należało się dozbroić.

Ten glock na pokładzie samolotu do Waszyngtonu to całkiem niezły pomysł – Raul, zamknąwszy się w swojej kabinie, wyjął broń z torby, przyjrzał się jej, zważył w ręku. Ładna, nowoczesna, niezwykle skuteczna zabawka z celownikiem laser-cut. To samo rozwiązanie, co w telefonach: światło lasera przerzucone w czasie na cel. Ofiara jest naznaczona, ale nie widzi łowcy… Pistolety wyposażone w l-c kosztowały niewiele mniej niż telefony z ATP, mało kto mógł sobie na taką zabawkę pozwolić. Nielicznych wyposażał w nią rząd. Pan Walter Johnson – jak Raul

przeczytał na jego prawie jazdy – musiał być kimś znaczącym w rządowych albo mafijnych strukturach, skoro taką posiadał.

Mniejsza z Walterem Johnsonem. Odpoczywa w toalecie. Jeśli „swoi” go już odnaleźli, odpocznie w szpitalu…

Raul wyciągnął się na fotelu w luksusowej kabinie i zapatrzył w niewielkie, a mimo to większe niż w klasie economy, okno. Słońce zachodziło nad skrzydłem potężnego boeinga. Silniki wodorowe wprawiły maszynę w ledwo wyczuwalne drżenie. Czasy ryczących wściekle diesli dawno odeszły w niepamięć. Dziś samoloty, samochody i wszystko, co jest napędzane energią, były ciche i przyjazne dla środowiska. Czy raczej jego resztek.

Raul przymknął powieki. Od chwili przybycia Stanleya z wiadomością o śmierci Pawła i Soni nie zmrużył oka. Czasu zostało mu niewiele, a tak dużo było do zrobienia. Miał nadzieję na kilka godzin snu podczas lotu.

Płonna była to nadzieja.

W tym samym momencie, w którym wyciągał się na fotelu, komórka cichym piknięciem zakomunikowała połączenie. Raul zaklął i sięgnął do kieszeni marynarki po telefon.

Stanley.

Musiał odebrać.

– Coś ważnego? – odezwał się mimowolnie odpychającym tonem. Był śmiertelnie zmęczony.

– Szefie… nie wiem, jak to powiedzieć, ale dzwonił przed chwilą Smith. Johannes Smith, twój dawny przełożony…

– Wiem, na Boga, kim jest Johannes Smith!

– …podobno sprzątnąłeś mu człowieka.

Raul spojrzał z niedowierzaniem na telefon i nagle… parsknął śmiechem.

– Taaak, jakiś facet napastował mnie w męskiej toalecie – zaczął powoli, wiedząc, że Stanley doceni dowcip. – Nie przyjął do wiadomości grzecznej odmowy, więc cóż… musiałem odmówić nieco bardziej stanowczo.

– Smith nie ma do ciebie o to pretensji – odparł Stanley, z trudem zachowując powagę. – Pyta jedynie, czy nie znalazłeś gdzieś przypadkiem broni tamtego. Musiał ją patałach upuścić. A to droga sprawa. Glock l-c, jakbyś chciał wiedzieć.

Raul gwizdnął przez zęby.

– Sam miałbym na nią ochotę – odparł, patrząc na pistolet, który leżał na stoliku tuż obok. – Przekaż Johannesowi, że niestety nawet się o nią nie otarłem i żeby lepiej pilnował swoich ludzi, bo najwyraźniej opylają służbowe glocki l-c na czarnym rynku, a na dodatek dobierają się do Bogu ducha winnych podróżnych.

– To właśnie mu powiem – zaśmiał się Blackwell. – A tak na marginesie, to gdzie się wybierasz?

– Do Australii – odparł Raul natychmiast. – Dawno nie polowałem na kangury.

– Aaa, to udanych łowów życzę.

– Dzięki, Stan. – Raul spoważniał. – Uważaj na siebie. Johannes ma długie ręce. Nasi „przyjaciele” również. Skoro nasłał na mnie swojego człowieka, człowiek tamtych też może być na pokładzie. Mojego samolotu albo twojego. Oni nie odpuszczą.

– To samo mogę powiedzieć tobie, Raul. To ciebie ścigają, nie mnie.

– Ale ty trzymasz wszystkie smycze w garści. Jesteś dla nich bezcenny. Nie chciałbym dostać twojego oka albo ręki jako zachęty do spotkania.

– Rozumiem, szefie. Będę uważał.

Rozłączył się.

Raul zmrużył lekko oczy, patrząc na leżący niewinnie tuż obok pistolet. Coś mu się w tym wszystkim nie podobało. Cholernie nie podobało. Johannes Smith nie miał żadnego, ale to żadnego powodu, by nasyłać na niego, Raula, człowieka z bronią. Do niedawna stali po tej samej stronie barykady. Który z nich przeszedł na drugą?

Na pewno nie Raul.

Pokręcił głową z niedowierzaniem. Każdy miał swoją cenę. Każdego można było kupić. Albo za pieniądze, duże pieniądze, albo za wysokie stanowisko w rządzie, w końcu za życie żony czy dziecka. Johannes Smith wydawał się ostatnim z ludzi, który sprzedałby się za pieniądze czy stanowisko. Żonę i syna zamordowała mu mafia. Jeżeli i jego ktoś kupił…

Nie będzie teraz o tym myślał. Zna już wroga. Zna przyjaciół. Odnaleźć córkę Soni i Pawła, odnaleźć zleceniodawcę, który zapłacił za ich śmierć, wyeliminować go – trzy cele. Oby nie doszedł do nich czwarty… Tristan był w drodze do Europy. Do samego centrum piekła…

Ciche pukanie do drzwi kabiny przerwało Raulowi te niewesołe rozważania. Wstał z westchnieniem, przekręcił zamek. Stewardesa, która wprowadziła go na pokład, czekała z tacą pełną przekąsek. Za nią, na wózku, w kubełku z lodem chłodził się szampan.

– Czy mogę panu zaproponować…

Obejrzał się przez ramię. Glock nadal leżał na stoliku przy fotelu, a stewardesa właśnie wchodziła do środka. Na widok pistoletu jej brwi uleciały w górę niczym spłoszone jaskółki.

– FBI – mruknął, a ona natychmiast rozpłynęła się w uśmiechu.

– Ach, wy niegrzeczni chłopcy – zagruchała, stając tuż przed Raulem, tak blisko, że poczuł ciepło jej ciała. – Nawet na pokład samolotu zabieracie te swoje zabaweczki. Zupełnie jakby wam było potrzebne takie przedłużenie męskości. Panu nie jest, prawda? – zerknęła figlarnie w dół, a Raul… on poczuł, że się czerwieni. Nie dlatego, że musiał pistoletem przedłużać sobie męskość, bo doprawdy nie miał pod tym względem kompleksów, ale że ta dziewczyna, która mogła być jego córką, tak bezpośrednio o tym mówi! I to gdzie? Na pokładzie samolotu, na którym jest stewardesą!

W następnej chwili musiał zaczerwienić się jeszcze bardziej, bo dziewczyna jak gdyby nigdy nic zamknęła drzwi kabiny, przekręciła smukłą, wymanikiurowaną dłonią zamek, odwróciła się z powrotem do Raula i… osunęła się wdzięcznym ruchem na kolana. Sięgając do jego rozporka – tak! stewardesa! nieee… to się chyba nie dzieje naprawdę… – spojrzała w górę przepięknymi, niebieskimi niczym niezapominajki oczami i zupełnie niewinnie zaczęła:

– Cieszę się, że przydzielono mnie do pana kabiny. Jest pan niezwykle przystojny. Po prostu piękny. I ten akcent… Francuski, prawda? Lubi pan miłość francuską? – To było raczej stwierdzenie niż pytanie. – Czy tak właśnie zaczniemy?

Raul, zupełnie oniemiały, patrzył, jak wdzięcznymi ruchami dłoni rozpina suwak jego spodni, wsuwa rękę pod slipy i…

– Co pani wyprawia?! Proszę natychmiast wstać i wyjść!

Dziewczyna ponownie uniosła nań wzrok. Błękitne oczy pociemniały ze zdumienia. Ale w następnej chwili rozjaśnił je domyślny uśmiech.

– Ach, więc tak będziemy się bawić!? Mam pana uwodzić? Może błagać o chwilę rozkoszy? Proszę powiedzieć, co pan lubi. Szepnąć mi słówko czy dwa, a na pewno sprostam pana wymaganiom.

Nie wstała z kolan. Nie cofnęła dłoni, pod którą – wiedzieli to oboje – jego męskość właśnie się budziła. Czekała, wpatrzona w twarz Raula niczym wierny pies w oczy pana. Przesunęła dłoń odrobinę, w przód i w tył, tak nieznacznie, że nie poczułby tego ruchu. On, Raul, nie! Za to jego członek – jak najbardziej!

– A więc to lubimy… – szepnęła, ponawiając to delikatne muśnięcie. W przód i w tył.

Raul usłyszał własne westchnienie, głębokie, gardłowe, które wydarło mu się z piersi. W następnej chwili zrobił krok w tył, dopiął spodnie i stanowczym gestem podniósł dziewczynę z kolan.

Ta stała pod zamkniętymi drzwiami, przyglądając się chwilę mężczyźnie z uwagą badacza. On patrzył na nią, zupełnie zszokowany. Wreszcie, jakby wpadła na lepszy pomysł, sięgnęła po guziczek bluzeczki, opiętej na ładnych, krągłych piersiach – tego Raul nie mógł nie zauważyć – odpięła go, potem następny i jeszcze jeden…

– Zamówił pan pełen serwis – przechyliła figlarnie głowę, tak że kosmyk włosów opadł jej na policzek. Była śliczna. Młoda, apetyczna i po prostu piękna. – Proszę więc korzystać! – Uśmiechnęła się, jakby właśnie na to miała w tej chwili apetyt: na Raula.

– Pełen serwis? – powtórzył i nagle wszystko zrozumiał.

Coś go chyba ominęło od ostatniego lotu pierwszą klasą. Kiedy to było? Dziesięć lat temu? Dwanaście? Najwyraźniej pełen serwis oznaczał dzisiaj nieco więcej niż miłą obsługę, bezpłatne drinki i trzy posiłki.

Dobrze się domyślał. Dziewczyna odpięła ostatni guziczek, uwalniając wspaniałe piersi, których ciemne sutki już sterczały, gotowe na przyjęcie męskich ust. Ale czy te usta były równie gotowe, by otoczyć językiem dwie ciemnoczerwone wiśnie, przygryźć je lekko, a może mocniej, aż z dziewczyna jęknie w proteście, a potem ssać… ssać dotąd, aż ona ponownie osunie się na kolana, rozepnie suwak jego dżinsów, wyciągnie nabrzmiałe prącie i rzuci się na nie tak zachłannie, jak Raul na jej ciemnoczerwone sutki…?

Zamrugał. Oderwał oczy od piersi dziewczyny, której imienia nawet nie znał. Gloria – miała przypięty do bluzki identyfikator. Gloria… piękne imię. Chwilę smakował je na języku, by dać sobie czas na uspokojenie. Na wyrównanie oddechu, na uciszenie obudzonych nagle jej ręką, głosem i ciałem demonów.

– Przepraszam, dawno nie leciałem pierwszą klasą – odezwał się, gdy był już pewien, że głos go nie zawiedzie. – Nie mogłem przypuszczać, że „pełen serwis” oznacza także usługi seksualne.

– Tylko w liniach American Star – sprostowała z pełnym dumy uśmiechem. – Nie szkodzi, że pan nie wiedział o rozszerzonej usłudze. Teraz, skoro już pan wie, może pan z niej skorzystać! Ja naprawdę – i nie mówię tak z obowiązku – chętnie spełnię pana najskrytsze marzenia. Gwarantując przy tym pełną dyskrecję! Pana żona nigdy się o tym nie dowie. Wyleciałabym z pracy, dobrze płatnej pracy, gdybym rozpowiadała o klientach pierwszej klasy na prawo i lewo.

Raul słuchał dziewczyny, bo… chciał jej słuchać. Boże, jak dawno nie rozmawiał z kobietą! Nie z barmanką w Cincho City, najbliższym miasteczku, nie z ekspedientką w Walmarcie, nie z pielęgniarką w klinice weterynaryjnej, dokąd woził swoje psy, tylko z normalną, radosną, piękną

dziewczyną, flirtującą z nim, podniecającą go, gotową pójść z nim do łóżka, bo po prostu się jej podobał…

Taka była Angelika Herman – poraziło go nagle wspomnienie. – Taka nigdy nie była… Sonia.

Zapomnieć o Soni. Zapomnieć o wielkiej miłości swego życia. Chociaż dziś. Choć w tej chwili, gdy ma na wyciągnięcie ręki tę śliczną, tak pięknie pachnącą Glorię… Przecież nie raz przez te dwadzieścia lat szukał zapomnienia w ramionach kobiet. Szukał i znajdował je. Dlaczego więc nie dziś?

Poczuł łzy pod powiekami. Palące łzy, których ta dziewczyna nie może zobaczyć.

Nie zobaczyła, ale może wyczuła je szóstym zmysłem?

Szybko dopięła bluzkę, a potem objęła go ramionami, wtuliła się weń i wyszeptała:

– Proszę się nie smucić tym, co było wczoraj. To przeszłość, nie mamy już na nią wpływu. Na przyszłość? Może… Ale niewielki. Za to możemy być tu i teraz. Razem albo osobno. Szczęśliwi albo zrozpaczeni. Do nas należy wybór, czym wypełnimy tę krótką chwilę: nasze teraz. Proszę pozwolić, bym wypełniła ją czymś, co będzie pan pięknie wspominał…

Uniosła nań oczy, teraz prawie czarne, niczym wieczorne niebo.

Raul pochylił się i ucałował jej miękkie, pełne, ciepłe, wilgotne usta, wprost stworzone do dawania rozkoszy.

– Wczoraj dostałem wiadomość o śmierci ukochanej kobiety. Zszargałbym jej pamięć, gdybym kochał się dziś z tobą, choć bardzo tego pragnę. Przepraszam.

– To ja przepraszam – odszepnęła i oddała pocałunek. Lekko, delikatnie. Tak, jak tego pragnął i potrzebował.

Pogładziła go po policzku.

– Gdyby mnie pan potrzebował… jednak… albo chciał pan po prostu porozmawiać… proszę mnie wezwać tym przyciskiem. Spróbuję pomóc, jak tylko będę potrafiła. Bardzo chciałabym pana pocieszyć po śmierci przyjaciółki. Tu… – zawahała się, ale sięgnęła do kieszonki – jest moja wizytówka. Prywatna. Po prostu proszę zadzwonić.

– Dziękuję, Glorio.

Uśmiechnęła się raz jeszcze i wyszła, cicho zamykając za sobą drzwi.

Raul opadł na fotel, zupełnie wyprany z sił. Śmierć dwojga przyjaciół, powrót do świata po dwudziestoletnim wygnaniu na własne życzenie, a teraz to… budzące się do życia ciało i piękna młoda kobieta najwyraźniej tego ciała pragnąca… To było za wiele, nawet jak na Raula de Lukę, który kiedyś nie miał problemu z powiedzeniem sobie: nie.

Potarł powieki. Jego wzrok spoczął na przycisku do przywoływania stewardesy. Kusił… kusił ten przycisk, tak jak jeszcze przed chwilą kusiła ona sama. Jej oczy, usta, dłonie, wreszcie te wspaniałe piersi.

– Weź lepiej zimny prysznic – mruknął. – Albo napij się szampana. Tylko kłopotów z kobietami ci teraz potrzeba.

Wypił jednym łykiem kieliszek szampana, a potem… nie wiedząc nawet kiedy, zasnął jak kamień.

Gloria obudziła go dwie i pół godziny później, gdy samolot zniżał się do lądowania. Najpierw musnęła ręką nieco już szorstki od zarostu policzek mężczyzny, a gdy Raul nawet nie drgnął, pocałowała go delikatnie w usta. Obudził się, natychmiast przytomny. Widząc pochylającą się nad nim dziewczynę, próbował uśmiechem ukryć zażenowanie.

– Zasnąłem. Byłem bardzo zmęczony.

– To zrozumiałe. Za pół godziny lądujemy. Przyniosłam panu świeżutki, ciepły posiłek.

– Nie jestem głodny.

– Proszę jednak spróbować. Smutek i głód to nie najlepsze połączenie.

– Jesteś bardzo… miła, Glorio. – Człowieku, na Boga, mógłbyś zdobyć się na coś bardziej oryginalnego! – ofuknął się w myślach. „Jesteś bardzo miła, Glorio” – na takie coś mogłeś sobie pozwolić w liceum, gdy hormony mózg ci zalewały, ale nie dzisiaj!

– Dziękuję, panie de Luca – odrzekła z tym samym pięknym uśmiechem.

Dźwięk tego nazwiska wstrząsnął nim. Od dawna, bardzo dawna go nie słyszał. Zapomniał, jak ono brzmi, zapomniał, czego jest symbolem, zapomniał do czego zdolny był człowiek, który go używał. On sam. Raul de Luca. Gdy powtórnie spojrzał na dziewczynę, zdumiała ją zmiana, jaka zaszła na jego twarzy. Zniknął z niej najmniejszy nawet cień uśmiechu. Rysy wyostrzyły się. Oczy błyszczały zimno niczym u drapieżnika na polowaniu. Do tego mężczyzny nie odważyłaby się dobierać tak bezceremonialnie jak jeszcze dwie i pół godziny wcześniej. Temu mężczyźnie… nie dałaby swej wizytówki.

Pożegnała się pospiesznie, życząc mu smacznego i zapewniając, że wróci tuż przed lądowaniem, po czym umknęła niczym łania na widok przyczajonego wilka.

Raul patrzył na znikającą za drzwiami dziewczynę zupełnie obojętnie. Gdy zamknęły się za nią, sięgnął po telefon. Dla komórek z ATP nie obowiązywał zakaz używania podczas lotu. Sygnał, który właściwie nie pojawiał się w tej rzeczywistości, nie stanowił niebezpieczeństwa dla urządzeń lotniczych ani żadnych innych.

Wybrał ostatni numer, z jakim się łączył. Rozmówca odebrał od razu.

– Lecę AS470. Lądуję za pół godziny.

– Będę.

Połączenie przerwano.

Mógł jeszcze na lotnisku podać numer lotu, ale… wrodzona nieufność kazała Raulowi wstrzymać się niemal do lądowania. Może i rozmowy w technologii audioteleportacji były pewne i bezpieczne, ale równie pewny do niedawna był Johannes Smith. Raul nie ufał już ani tym pierwszym, ani temu drugiemu.

# ROZDZIAŁ V

Szczupły, jasnowłosy, szarooki mężczyzna, kilka lat od Raula młodszy, czekał nań w sali przylotów. Mimo że widzieli się dawno temu, tamten ruszył ku Raulowi w tym samym momencie, w którym on ukazał się w bramce.

– Witaj wśród żywych, draniu – rzekł, miażdżąc rękę de Luki w silnym, serdecznym uścisku. – Wisisz mi stówę za wieniec, jaki złożyłem na twoim grobie.

– Nie ma sprawy. – Raul sięgnął po portfel, gotów natychmiast spłacić dług.

Tamten roześmiał się serdecznie, a przy tym tak seksownie, że kilka kobiet obejrzało się na niego i westchnęło w duchu. Dwóch wysokich, niezwykle przystojnych mężczyzn: jasnowłosy i jasnooki, a obok niego czarnowłosy i czarnooki. Doprawdy, to za wiele, jak na jedno skromne waszyngtońskie lotnisko…

– Znalazłeś spokojne miejsce?

– Jest tu loża dla VIP-ów.

– A coś mniej ostentacyjnego?

– Loży dla byłych mafijnych bossów nie przewidziano.

– Niech będzie ta dla VIP-ów. – Raul machnął ręką z rezygnacją. Daniel van der Welt – bo to z nim chciał się spotkać przed wyjazdem do Europy – znany był z upodobań do wystawnego życia. Może tym rekompensował sobie smutne i biedne dzieciństwo?

– Pamiętasz? Pod latarnią najciemniej. A bardziej wyeksponowany niż w Golden Ligue być nie możesz.

– Masz coś dla mnie?

Wreszcie padło pytanie, którego Daniel od początku oczekiwał.

– Znalazłem ją.

Raul stanął w pół kroku.

– Żartujesz?!

– Nie żartowałbym z tak poważnej sprawy. Znalazłem ją.

– To co ja tu jeszcze robię?! Muszę zadzwonić do Tristana! Natychmiast! On miał się nią…

– Zaczekaj, nie tak szybko. Namierzyłem tę dziewczynę, Marie Solay, parę minut temu. Pracowałem do ostatniej sekundy przed twoim przylotem, tutaj, na lotnisku. Przedzierałem się przez wszystkie cholerne nagrania z paryskich kamer, oczywiście najpierw włamując się do archiwów, a wierz mi, że to niełatwe.

– Wierzę, stary, kontynuuj.

– Krok po kroku, od samego szpitala, musiałem śledzić tę dziewczynę. I wreszcie, bingo! dotarła do jakiegoś motelu i tam się zaszyła.

– Daj mi jego adres – rzucił Raul, sięgając po telefon. Tristan czekał na tę właśnie informację!

– Człowieku, twój syn znajduje się teraz nad Oceanem Atlantyckim! Doprawdy, adres Marie Solay nie sprawi, że samolot przyspieszy.

Racja. Daniel miał rację. Jednak dziewczynie w każdej chwili groziło śmiertelne niebezpieczeństwo. Co mogą zrobić, teraz, natychmiast, żeby mu zapobiec?

– Stanley. Blackwell jest bliżej – odezwał się Raul. – Miał zorganizować bezpieczną kryjówkę w Polsce, ale zawrócę go i wyślę do

Francji, do Marie.

– To brzmi rozsądniej. Dlaczego nie wysłałeś go do Paryża od razu?

Raul nie odpowiedział.

Daniel przyglądał się mu uważnie przez długą chwilę.

– Jemu też nie ufasz? – domyślił się.

– Nikomu nie ufam – rzucił zimno de Luca.

– Będziesz musiał, przyjacielu – tamten klepnął go w plecy. – W pojedynkę nic nie zdziałasz.

– Odkryłeś już, kto wystawił ten rachunek, a więc i mnie?

Daniel ponownie zatopił w twarzy towarzysza to uważne, przenikliwe spojrzenie.

– Podejrzewasz Johannesa Smitha? – odpowiedział pytaniem. – Ja też. Ale nie wyciągajmy pochopnych wniosków, bo możemy pozbyć się sprzymierzeńca, a przeoczyć prawdziwego wroga.

– Racja – zgodził się niechętnie de Luca.

Te puzzle układały się w jeden obraz, a był nim czarno na białym: Johannes Smith.

Nagle wyciągnął zza paska spodni glocka laser-cut i podał go nieco tym skonsternowanemu Danielowi.

– Wiesz, skąd mam tę arcydrogą zabaweczkę?

Van der Welt pokręcił głową. Może był genialnym hakerem, ale nie jasnowidzem.

– Skonfiskowałem ją takiemu jednemu, który chciał mnie zgarnąć albo zabić, kto go tam wie, na lotnisku w Dallas. Okazało się, że to agent z twojej Firmy. A wiesz, kto się o tego glocka upomniał?

– Na pewno nie ja.

– Gdybyś to był ty, już byś nie żył.

Daniel uśmiechnął się lekko, doceniając żart.

– Domyślam się, że nasz były przełożony?

– Dobrze się domyślasz.

– I uważasz, że gdyby grał do bramki przeciwnika, przyznałby się ot tak? Prosząc uprzejmie o zwrot służbowej broni?

– Wie, że i tak bym doszedł do tego, kim był właściciel. Glock jest legalny. Ma numery seryjne. Wolał więc mnie uprzedzić.

– Dlaczego Smith miałby zatrzymywać cię w Stanach? Co chciałby przez to osiągnąć? To się kupy nie trzyma! Gdyby grał do bramki tamtych ścierwojadów, podrzuciłby ci fikcyjny adres Marie Solay, zorganizował tam kocioł, zgarnął Tristana i przysyłając raz w tygodniu a to jego ucho, a to oko, a to inną część ciała, wolę nie myśleć jaką, zmusiłby cię, byś przyszedł na kolanach, bezbronny jak cielę. Dobrze mówię?

– Dobrze – odrzekł de Luca takim tonem, że Daniel umilkł, rzucając mu zdziwione spojrzenie.

– O nie, nie – odezwał się po chwili. – Mnie o współpracę ze skurwielami nie podejrzewaj. Oni wiedzą, że mam ich w dupie, i szanują to, więc ty też uszanuj.

– Gdzie jest twoja żona? Anna Kraska? – zapytał nagle de Luca.

– W szpitalu, a gdzie może być?

– Gdyby ci skurwiele zgarnęli twoją piękną żonę, dobrą, szlachetną doktor Kraskę, i tobie by podsyłali a to jej oko, a to ucho, nie wystawiłbyś mnie im? W zamian za żonę?

Oczy Daniela van der Welta, dotąd jasne i pogodne mimo wszystko, teraz pociemniały. To pytanie zadane spokojnym, beznamiętnym tonem, jakby Raul pytał o pogodę w Waszyngtonie, ugodziło młodszego mężczyznę w sam środek duszy.

Uniósł powoli wzrok, spojrzał Raulowi prosto w twarz i odpowiedział:

– Zrobiłbym to. Odzyskałbym Anię. A potem strzelił sobie w łeb.

Raul kiwnął głową. Lekko, zupełnie niefrasobliwie, jakby się zgadzał, że jutro będzie bezchmurny dzień, po czym zapytał ponownie: – Co, czy raczej kogo, chce odzyskać Johannes Smith?

– Ja zapytam inaczej: co, czy raczej kogo, chce odzyskać Stanley Blackwell, bo to od niego dostałeś obie wiadomości: o zabójstwie Soni i Pawła i o ucieczce ich córki, prawda?

Raul oniemiał. A potem powoli skinął głową. Już nie tak niefrasobliwie jak przed chwilą. Jeśli ktoś chciał go zwabić w pułapkę, a potem oddać mafii, Stanley Blackwell zrobiłby to perfekcyjnie. I tylko on pociągał za wszystkie sznurki. Nikt inny.

– Powiem ci więcej, przyjacielu… – Daniel nie zamierzał oszczędzać de Luki, nie w tak istotnej sprawie, jaką było bezpieczeństwo jego rodziny, życie Raula i Tristana. – Jego Paweł wpuściłby do domu nawet w środku nocy. Skąd wiesz, że to nie on ich kropnął? Marie mu się wymknęła, a że mogłaby go rozpoznać, co robi ten szczwany lis? Posyła za nią najlepszego psa gończego, który stanie się na końcu zwierzyną łowną – Raula de Lukę. Bo tylko ty masz przyjaciół – wskazał na siebie – którzy potrafią ją odnaleźć. Potrafią odnaleźć każdego na tym cholernym świecie. Gdy ci się to uda, za jednym zamachem wystawi mafii dziewczynę, ciebie i twojego syna. Pozamiatane.

Raul milczał długie, bardzo długie chwile. Słowa Daniela były tak proste. Wszystko układało się w jedną spójną całość. Coś jednak tutaj nie grało…

– Stanley od początku, od czasu akcji „Złoty Pył”, wiedział, że żyję. Wiedział, gdzie się ukrywam. Gdyby chciał wystawić mnie mafii, zrobiłby

to setki razy przez te dwadzieścia lat. Wiedział też, gdzie się ukrywają Sonia z Pawłem. Był jedynym łącznikiem między nami. Smith regularnie go prześwietlał. Wariografem również. Dlaczego nagle, po dwóch dekadach, postanowił nas sprzedać?

– Nie dlaczego, a komu. Może dopiero teraz odnalazł go ktoś, komu zależy na twojej głowie? A może dopiero teraz Stanley znalazł kogoś, na kim zależy mu tak bardzo, że gotów jest wystawić ciebie, twojego syna i wszystkich, których kochałeś, byle tego kogoś odzyskać?

– Masz pewność czy zgadujesz? – Raul rzucił to pytanie nieswoim głosem.

Jeżeli podejrzenia van der Welta się sprawdzą, będzie zdruzgotany. Myśl, że Stanley mógł zlecić zabójstwo Soni i Pawła albo własnoręcznie go dokonać, po prostu odbierała rozum. Był gotów lecieć do Europy teraz, natychmiast po skończonej rozmowie z van der Weltem, spotkać się z Blackwellem twarzą w twarz i rzucić to oskarżenie. A potem czytać w jego oczach prawdziwą odpowiedź. I rozerwać go własnymi rękami albo pozwolić się zastrzelić, gdy będzie za późno. Gdy mafia dorwie Marie i Tristana…

– Zgaduję, stary – odparł Daniel, pocierając twarz zmęczonym gestem. – Gdybym miał pewność, chybabym z tobą nie rozmawiał. Wybacz, Raul, ale przyjaźń z kimś, kogo ściga mafia, nie należy do najbezpieczniejszych rozrywek.

– Ciebie swego czasu ścigał Interpol – zauważył sucho de Luca, choć w duchu przyznawał mu rację. Daniel miał żonę, którą kochał ponad wszystko.

– Interpol, kolego. Interpol. To mimo wszystko nieco mniej bezwzględne zbiry niż narkotykowy kartel. Nie kasują wrogów do trzeciego

pokolenia naprzód i wstecz. Powiem ci coś na pocieszenie… Chcesz?

Raul spojrzał na przyjaciela niemal z nienawiścią. Najpierw go zdruzgotał, teraz będzie pocieszał?! Prognozą pogody na jutro?!

– Za cztery i pół godziny, co do minuty, będziemy wiedzieli, czy Stanley jest zdrajcą, czy nie.

– Tristan…! – wydusił Raul i zbladł.

– Tak. Tristan. Jeżeli to Stanley zdradził, już tam na twojego syna czekają.

– Muszę go uprzedzić! – Raul poderwał się na równe nogi, sięgając po telefon, ale van der Welt pociągnął go za rękaw koszuli i zmusił, by usiadł.

– Sam podałeś im syna, ty, osobiście, na srebrnej tacy. Jest zamknięty w metalowej klatce, jakieś dziesięć tysięcy metrów nad Atlantykiem. Gdzie niby ma uciec? Jak? Zgarną go, gdy tylko boeing dotknie kołami płyty lotniska. Pozostaje nam tylko modlitwa, by to nie Stanley okazał się zdrajcą.

Raul przeczesał włosy palcami w pełnym bezradności geście. I nagle… olśniło go. Sięgnął do kieszeni na piersi, wyciągnął wizytówkę, którą kilka kwadransów temu dała mu Gloria. Jeśli ktokolwiek wie, jak uciec z samolotu przed wylądowaniem, to tylko stewardesa. Ale nim zdążył wybrać numer i poprosić śliczną Glorię o spotkanie, Daniel po prostu wyjął mu telefon z ręki i schował do kieszeni.

Raul uniósł brwi. Nie przywykł do tak obcesowego traktowania…

– Nie wiem, do kogo chciałeś dzwonić, i na razie mnie to nie obchodzi – zaczął van der Welt. – Wiem tylko, że jesteś zmęczony i nie myślisz logicznie. Kiedy ostatnio przespałeś całą noc w wygodnym łóżku?

– Jakiś czas temu – odmruknął Raul, czując jak obezwładniające zmęczenie chwyta go w swoje szpony. Daniel miał rację. W takim stanie

mógł funkcjonować jeszcze jedną dobę, może półtorej, ale wkrótce zacznie popełniać błędy, które mogą kosztować czyjeś życie. – Chyba powinienem pójść do hotelu…

– Hotel nie jest dobrym pomysłem – Daniel sprzeciwił się łagodnie. – Na jakie nazwisko masz paszport?

– Mam kilka paszportów na kilka nazwisk. Jakie wybierasz? Latimer? De la Garde? De Luca?

– Tak, szczególnie to ostatnie pasuje do ciebie znakomicie. I w ogóle nie ściągnie ci na głowę kłopotów. Naprawdę masz przy sobie dokumenty na swoje prawdziwe nazwisko?

Raul skinął głową.

– Życie ci się znudziło?

– Znudziło. Zapragnąłem odrobiny rozrywki.

Daniel przyglądał mu się przez parę sekund.

– Chcesz podrzucić im przynętę? Z siebie?

– Domyślny chłopak.

– Nie ma innego sposobu?

– Jeśli jakiś znajdę, nie omieszkam go wykorzystać. Na razie nie wiem nic. Nie wiem, kim są, nie wiem, czego chcą. Czy zadowolą się moją głową, czy chcą wytępić wszystko, co mi drogie, a na końcu, gdy nie zostanie mi nikt, przyjdą po mnie… Dlatego owszem, jeśli będzie trzeba, wystawię im sam siebie.

Daniel słuchał przyjaciela w milczeniu. Oczy mu pociemniały. Nienawidził takich sytuacji: facet poświęca dziesięć lat na walkę z mafią, doprowadza ogromną i arcytrudną operację do końca, niemal płacąc za to własnym życiem, a na koniec świat i tak zalewa fala Złotego Pyłu, dzieciaki i tak ćpają bez opamiętania, a on, Raul, jest ścigany niczym wściekły pies…

– Słuchaj, bracie, nie zostawię cię z tym gównem – odezwał się stanowczo. – Pojedziemy do mnie, ty się położysz, a ja spróbuję ugryźć to z innej strony. Okej?

Raul potarł oczy i kiwnął głową.

– Obudzisz mnie za cztery godziny? Zanim Tristan wyląduje? – musiał się jeszcze upewnić. Alarmu w komórce mógł po prostu nie usłyszeć.

– Jeżeli będzie taka konieczność, obudzę cię.

– Już jest taka konieczność!

– Raul… Tristana trzeba uprzedzić, że w Paryżu, na lotnisku, może go czekać przykra niespodzianka, ale… – Daniel zawahał się, szukając odpowiednich słów. – To może być dobra okazja do zdemaskowania Stanleya.

– Kpisz czy mówisz serio? Mam ryzykować życiem syna?

– Dopóki nie dorwali ciebie, Tristan jest bezpieczny.

– Genialnie! – Raul poderwał się wzburzony, zwracając tym uwagę innych podróżnych. – Ja będę siedział bezpiecznie ukryty w Waszyngtonie, u mego przyjaciela Daniela van der Welta, a oni, kimkolwiek te skurwysyny są, będą mi co jakiś czas podrzucali kawałek mojego syna! Może podsuniemy im doktor Kraskę? Twoją żonę? I razem, ramię w ramię, popijając tequilę, będziemy czekać na przesyłki?!

Daniel wysłuchał go do końca. Poczekał, aż Raul usiądzie i ochłonie, po czym rzekł:

– Jedziemy do mnie. Ty idziesz spać, ja siadam do komputera. Za cztery godziny może będę wiedział coś więcej. Wtedy zdecydujemy.

Sen nie chciał przyjść. Raul, mimo zmęczenia, rzucał się z boku na bok, próbując zasnąć, ale setki myśli, planów, pytań i odpowiedzi rozrywały mu czaszkę. Wreszcie wstał, narzucił na ramiona koszulę i wyszedł z gościnnej

sypialni apartamentu van der Weltów. W kuchni paliło się światło, dobiegały stamtąd strzępki cichej rozmowy. Raul ruszył w tamtą stronę i zatrzymał się pośrodku korytarza.

– Nie muszę wiedzieć, kim jest nasz gość – mówiła kobieta. – Ufam ci. Mówisz, że to twój przyjaciel, jest więc i moim przyjacielem.

– Wiesz, że… miewałem różnych przyjaciół…

– Taaak… to samo mogę powiedzieć o sobie. Swego czasu przygarnęłam pod swój dach hakera poszukiwanego przez Interpol – kobieta zaśmiała się miłym, serdecznym śmiechem i Raul już wiedział, że to Ania Kraska, żona Daniela. Zrobił krok, by się ujawnić – nie wypadało stać w korytarzu i podsłuchiwać – ale zatrzymały go następne słowa Daniela.

– Jeżeli będę musiał wyjechać bez uprzedzenia… na jakiś czas. Nie będziesz miała mi tego za złe?

Wyjechać? A dokąd to się wybierasz, przyjacielu? – przemknęło Raulowi przez myśl podejrzliwe pytanie. Naprawdę nie wierzył już nikomu…

– Nie, Danielku. Zrobisz to, co będziesz musiał, a ja będę tutaj na ciebie czekała. Powiesz mi tylko, kiedy to miałoby nastąpić?

– Być może już jutro. Nasz gość może potrzebować pomocy. Jeżeli mnie o nią poprosi, nie będę mógł odmówić.

– Rozumiem – odparła cicho Ania, a Raul zacisnął powieki, czując palący wstyd. On podejrzewał przed chwilą Daniela o zdradę, tymczasem Daniel wybierał się z nim do Europy…

Stanął w drzwiach jasno oświetlonej kuchni.

– Przepraszam za najście – odezwał się, patrząc na śliczną rudowłosą, zielonooką kobietę, doktor Kraskę. Zaprosiła go skinieniem dłoni do

środka. Podszedł bliżej, ujął jej smukłą, ciepłą dłoń i uniósł do ust. – Jestem Raul de Luca.

Ania posłała mężowi spłoszone spojrzenie. Swego czasu było głośno o kapitanie Raulu de Luce, który rozbił dwa potężne kartele narkotykowe… Czyżby miała go przed sobą? Daniel przytaknął.

– To dla nas zaszczyt gościć pana…

– Raul. Po prostu Raul. I nie tyle zaszczyt, co kłopot. Znajomość ze mną może się okazać niebezpieczna.

Ania uśmiechnęła się.

– To dla mnie nic nowego. Mam szczęście do niegrzecznych chłopców.

Raul też musiał się uśmiechnąć. Ta kobieta była po prostu zniewalająca. Szczęściarz z tego van der Welta.

Nagle… uśmiech znikł. Musi chronić tych dwoje, ich rodzinę, ich miłość nawet wbrew im samym. Nie zabierze Daniela ze sobą do Europy, on musi zostać tutaj, bezpieczny, u boku swej ślicznej, dobrej, kochanej żony. Nie wolno ryzykować życiem Daniela. Błyszczących radością życia, zielonych niczym wiosenny liść oczu Ani nie może zgasić rozpacz…

– Napijesz się kawy albo herbaty? A może zaparzyć ci ziół, żebyś mógł się zdrzemnąć choć parę godzin? – zaproponowała Ania, nie domyślając się decyzji, jaką Raul przed chwilą podjął.

– Poproszę o kawę. Skoro nie mogę zasnąć, muszę się obudzić.

– Mam coś dla ciebie – odezwał się nagle Daniel, dotąd przysłuchujący się tym dwojgu w milczeniu. – Przejdźmy do mojego gabinetu. Aniu, kochanie, zrobisz kawę i dla mnie?

Kobieta przytaknęła, wstawiając wodę.

– Masz piękną żonę – zaczął Raul niby bez związku, gdy usiedli przy dużym, dębowym biurku w pokoju na samym końcu korytarza. – Bije z niej

dobro i szlachetność. Mam nadzieję, że wiesz, jakim jesteś szczęściarzem?

– A co? Zamierzasz mi ją odbić? – odrzekł zaczepnie Daniel. – Próbuj…

Raul pokręcił tylko głową. Ostatnim, czego teraz pragnął, było uwodzenie żony przyjaciela.

– Chciałem przez to powiedzieć, że takie kobiety trzeba chronić przed złem tego świata. Za wszelką cenę.

– Wiem – uciął Daniel. – Właśnie to staram się robić od dwudziestu lat. Jak myślisz, po co tkwię całymi dniami pod ziemią, przekopując się przez tysiące stron, wiadomości, informacji, doniesień? Właśnie po to, by chronić Anię, Tristana, Marie, również ciebie, przed tym bagnem, które nas otacza.

Dlaczego więc chcesz w to bagno wejść? – zapytał w duchu Raul, ale na głos się nie odezwał. Znał ludzi pokroju Daniela van der Welta: jeśli im czegoś zabronisz, jeżeli się im sprzeciwisz, oni zrobią to tym bardziej, na przekór tobie, sobie i reszcie świata…

– Podobno miałeś coś dla mnie – zmienił temat.

– Taaak – odparł Daniel, siadając do komputera.

Nie był to mały, zgrabny laptop, jakiego można się spodziewać po wielbicielu elektronicznych gadżetów, a duża, nieprawdopodobnie szybka maszyna, potrafiąca analizować miriady informacji w ułamkach sekundy.

– Mówiłem ci jeszcze na lotnisku, że spróbuję ugryźć problem od innej strony…

– Mówiłeś.

– Zastanowił mnie ten rachunek. Z mojej Firmy na twoje nazwisko.

Raul wyprostował się. Jemu też nie dawało to spokoju.

– Trochę poszperałem… złamałem kilka zabezpieczeń, na szczęście do wielu miałem dostęp, i… mówi ci coś nazwa: Asinare Bank of

Lichtenstein?

– Nieee, a powinna?

– Powinna, bo twoje wynagrodzenie za „property security” zostało przelane właśnie na konto banku w Lichtensteinie.

– Ciekawe… – Raul pochylił się ku ekranowi komputera, po którym przemykały kolumny liczb zupełnie nic mu niemówiące. Domyślił się, że to kody dostępu, a może program do ich łamania, bo po chwili ekran rozświetlił się stroną Asinare Bank. Dokładniej rzecz biorąc, stroną użytkownika o imieniu Raul de Luca.

Oniemiał.

– Włamałeś się na to konto?! Moje konto?! Ot tak, w ciągu paru sekund?! – spojrzał z nieudawanym podziwem na siedzącego obok z rękami splecionymi za głową, zadowolonego z siebie van der Welta. Ten wzruszył ramionami i odrzekł, uśmiechając się szelmowsko: – Mówiłeś, że nic nie wiesz o tym koncie.

Raul przyglądał się przez chwilę operacjom na rachunku. Kwota – dziesięć tysięcy dolarów – nie była imponująca. Swego czasu zarabiał o wiele więcej. Ale to, że ktoś posłużył się nim, Raulem, by zakładać konto i przelewać na nie jakiekolwiek pieniądze… wkurzało niepomiernie.

– Chcesz wyśledzić, na co została wydana ta forsa? – zapytał po chwili.

Daniel pokręcił głową.

– Zupełnie mnie to nie interesuje. Ja chcę wiedzieć, kto przygarnął twoją tożsamość i w jakim celu.

Raul spojrzał na mężczyznę i… uśmiechnął się.

– Dlaczego mam niejasne przeczucie, że już to wiesz?

– Bo trochę mnie znasz? – Daniel odpowiedział takim samym uśmiechem.

– Okej, więc…?

– Mówi ci coś nazwisko Lionel Slim?

– Kompletnie nic.

– To może niedługo ci coś powie. Jedziemy. – Daniel nagle poderwał się z krzesła. Filiżanka wypełniona pięknie pachnącą kawą zaprotestowała brzęknięciem. – To niedaleko – dodał, wypijając kawę jednym łykiem. Raul uczynił to samo, czując, jak wstępuje weń nowe życie. Nareszcie miał jakiś punkt zaczepienia. Wreszcie nie gonił za cieniem, a za konkretnym człowiekiem: Lionelem Slimem, niech go szlag!

Van der Welt cmoknął żonę w policzek, obiecując, że niedługo będzie z powrotem, i po chwili obaj ruszali do drzwi. W progu zatrzymał się jednak.

– Masz broń? – rzucił przez ramię do Raula.

– Mam. Spodziewasz się kłopotów?

Tamten pokręcił głową.

– Spodziewam się opornego klienta, ale nie kłopotów. W razie czego potrafisz wymusić odpowiedzi na trudne pytania?

Oczy de Luki błysnęły w ciemności korytarza niczym u wilka.

– Potrafię – padła krótka odpowiedź.

# ROZDZIAŁ VI

Podjechali pod niewysoką kamienicę, wołającą o gruntowny remont, zaparkowali w wąskiej bocznej uliczce. Daniel zgasił silnik i spojrzał na Raula.

– To jeden z podrzędnych urzędników, jakich pełno w Firmie. Ma dostęp do poziomu zero i nic więcej. Dział księgowości. Dwadzieścia siedem lat. Niekarany. Jakiś czas temu rozstał się ze swoim chłopakiem.

Raul słuchał tego krótkiego sprawozdania w milczeniu. Gdy Daniel skończył, skinął głową i wysiadł z samochodu. Spojrzał w ciemne okna budynku. Późna godzina jak na odwiedziny przyjaciół. Tylko że oni nie byli przyjaciółmi Lionela Slima.

Chwilę później stali na korytarzu pod drzwiami jednego z kilku mieszkań na tym piętrze.

– Pukamy czy wchodzimy? – zapytał półgłosem Daniel.

– Wchodzimy – mruknął Raul. Wystarczyło mu kilkanaście sekund – wcale nie musiał sięgać po zdobyczny pistolet – by zamek puścił i drzwi odskoczyły z cichym stuknięciem. – Nieźle chronicie swoich ludzi – prychnął.

– To podwykonawca, nie pracownik – Daniel poczuł się w obowiązku bronić Firmy.

Raul cicho jak cień przemknął przez przedpokój, trzymając broń w pogotowiu. Rzucił okiem do kuchni, potem do niewielkiego salonu, by stanąć pod drzwiami sypialni. Nacisnął klamkę – ustąpiła bez oporu. Kto

inny po prostu wszedłby do środka, będąc pewnym, że właściciel mieszkania śpi, ale instynkt kazał Raulowi zatrzymać się na chwilę. Pchnął drzwi sypialni. Otworzyły się powoli. Raul zrzucił z ramion czarną marynarkę i cisnął ją do środka.

Wtedy padł strzał.

Obaj z Danielem odskoczyli odruchowo, wtulając się w ścianę.

Ani drgnij! – Raul nakazał przyjacielowi ostrym spojrzeniem.

– Wzywam policję! – z sypialni dobiegł ich piskliwy głos. – Jeśli to ty, Bert, wzywam policję!

– My jesteśmy z policji – odezwał się Daniel.

– Akurat! Wynoście się stąd albo…

– Wiem, wiem, wzywasz policję. Uważaj, rzucam ci moją blachę.

Daniel wyciągnął opatrzoną godłem legitymację CIA i cisnął ją do środka pokoju. Na to tylko czekał Raul. Drzwi, potraktowane potężnym kopnięciem, zbiły z nóg Lionela, który pochylał się nad legitymacją. Zawył, rąbnięty w głowę. Raul doskoczył do niego i jednym uderzeniem pięści wysłał go w niebyt.

– Bierzemy go – rzucił do Daniela. – Tu zaraz zacznie się kocioł. Marynarka na łeb i zabieramy gnoja do samochodu.

Zarzucił sobie bezwładne ciało na ramię i ruszył w kierunku wyjścia.

– Weź broń. Ubezpieczaj. – Podał glocka Danielowi, a ten poszedł przodem.

Równie cicho jak tu weszli, rozpłynęli się w mroku nocy…

Dawny warsztat samochodowy, teraz straszący zagraconymi pomieszczeniami i oknami bez szyb, znakomicie nadawał się na salę tortur. O ile te będą potrzebne.

Wysiedli z samochodu, otworzyli bagażnik. Z wnętrza spozierały na nich wytrzeszczone z przerażenia oczy chudego, zarośniętego chłopaczka. Na dwadzieścia siedem lat to on nie wyglądał. Miał na sobie infantylną piżamę w misie. Tylko kciuka w buzi brakowało. Niestety, usta miał zaklejone kawałkiem srebrnej taśmy. Dłonie związane w nadgarstkach i nogi w kostkach również.

Raul wziął go bez słowa pod pachy. Spod taśmy dobiegło pełne strachu piśnięcie, nic więcej. Obaj z Danielem przeciągnęli Lionela na rozchwiane krzesło, porządnie przywiązali do oparcia i… Co teraz? Daniel spojrzał na Raula pytająco. On patrzył na więźnia.

– Masz jedną jedyną szansę, gnoju, poprawnie odpowiedzieć na jedno jedyne pytanie – odezwał się nagle takim tonem, że nawet jego przyjaciel poczuł zimny dreszcz spływający wzdłuż kręgosłupa. Brzmiała w nim zapowiedź bólu… – I nie. Nie jesteśmy z CIA, jak zdążyłeś się już domyślić. Wręcz przeciwnie.

Tamten skulił się tylko.

Raul brutalnie zerwał mu taśmę z ust.

– Jedno pytanie – powtórzył. – Odpowiesz, może będziesz żył. Skłamiesz, może również będziesz żył, ale z przestrzelonym kolanem. Kim jest Raul de Luca?

Chłopak wytrzeszczył oczy. Nagle wszystko zrozumiał. Ktoś odkrył jego maleńkie źródło dochodów! Co robić?! Co robić?! Rozejrzał się w panice, na chwilę spuszczając tego strasznego faceta z oczu i…

Wtedy padł strzał.

Lionel zawył z bólu, patrząc z niedowierzaniem i szokiem na krew tryskającą z przestrzelonego kolana.

– Strzeliłeś do mnie, skurwysynu! Naprawdę to zrobiłeś! – wrzasnął, patrząc na Raula z nienawiścią, a potem… rozpłakał się jak dziecko.

– Kim jest Raul de Luca – powtórzył Raul zgłoska po zgłosce.

Glock w jego dłoni zaczął się powoli unosić. Teraz celował już nie w kolano jeńca, a między jego oczy. Ten zaczął wyrzucać z siebie potok słów:

– Nie wiem! Był… nie wiem, kim był! Był na naszej liście płac dwadzieścia lat temu! Jakiś bandzior z mafii albo co! Zdechł, niech mu ziemia ciężką będzie, zaraz po wpadce z narkotykami! Pożyczyłem sobie jego tożsamość, by uszczknąć nieco grosza z rządowej kasy! Facet nie żyje od lat, rozumiesz, skurwielu?! Niepotrzebna mu forsa, to trochę jej sobie wziąłem! To są nasze pieniądze! Porządnych amerykańskich obywateli! Nasze, a więc i moje! I co, zabijesz mnie za tych parę tysiaków?!

Zasmarkany, zapłakany, próbujący zatamować krew cieknącą z kolana związanymi rękoma, sprawiał godne politowania wrażenie, ale… Raul nie zamierzał się litować nad parszywym złodziejem. Morderca Soni i Pawła nie miał litości.

– Drugie pytanie – zaczął tym samym tonem. Tamten znieruchomiał. Oczy niemal wyszły mu z orbit. – Kim jest Stanley Blackwell?

– Nie mam pojęcia! Nie znam żadnego pierdolonego Stanleya Blackwella!

– Zdjęcie – rzucił Raul do Daniela.

Ten podetknął chłopakowi pod nos fotografię Stanleya.

– Nie znam dziada! – powtórzył z uporem, a widząc, że Raul znów unosi pistolet, zaczął wrzeszczeć jak opętany: – Nie znam go, nie znam, nie znam!!!

Mimo to Raul strzelił. Tamten zawył powtórnie. Drugie kolano poszło w drzazgi. Daniel skrzywił się lekko, odwrócił i wyszedł.

– Nie znam go! Powiedziałbym ci, skurwysynu! Wszystko bym ci powiedział, ale nie znam żadnego Blackwella! – wył Lionel.

– Pułkownik Johannes Smith. Dostawałeś od niego rozkazy?

Następne zdjęcie.

– Nie znam żadnego pułkownika! Jestem nikim, rozumiesz, bydlaku?! Zupełnie nikim w tej zasranej CIA! Nikim… – Roztarł przedramieniem smarki na twarzy.

Ręka z glockiem zaczęła unosić się ku jego głowie. Umilkł raptownie. Szloch zamarł mu w gardle. Patrzył bliskim obłędu wzrokiem prosto w lufę pistoletu. Nagle na podłogę popłynęła struga moczu. Raul zrobił tylko krok w tył. I opuścił pistolet.

Ten parszywy gnojek nic więcej nie wiedział. Brzmiało to niewiarygodnie, ale sypnął Raula zupełnie przez przypadek. Potrzebował martwej duszy, która kiedyś pracowała dla Firmy, by wystawiać rachunki i wypłacać sobie dodatkową forsę – Raul był pewnie nie pierwszą i nie ostatnią ofiarą tego śliskiego gówniarza – ale poza złodziejskim procederem Lionel Slim był czysty. No, teraz zaszczany, zakrwawiony i zasmarkany, ale czysty.

– Wezwij karetkę – rzucił Raul do van der Welta, wychodząc z pomieszczenia, skąd dobiegało łkanie Slima. Zatrzymał się, spojrzał na przyjaciela. – Takiś delikatny? – zakpił, widząc grymas na jego twarzy. – Ja przestrzeliłem temu gadowi tylko kolana. Sonia i Paweł nie mieli tyle szczęścia. Jeżeli przyszłoby ci do głowy litować się nad Slimem, przyjrzyj się jeszcze raz zdjęciom z ich egzekucji. Po dwa strzały w serce, dobici kulą w głowę. Masz jeszcze jakieś obiekcje co do moich metod przesłuchania?

Daniel pokręcił głową.

– Żadnych. Po prostu… nigdy tego nie robiłem. Nigdy w czymś takim nie uczestniczyłem. Ale… jestem za. Twoja metoda okazała się szybka i skuteczna.

Przekręcił kluczyk w stacyjce hondy, włączył silnik, samochód ruszył niemal bezszelestnie.

– Co najważniejsze, Stanley i Johannes Smith są czyści – dodał Raul.

– Myślę, że pozwolimy Tristanowi spokojnie wylądować. Na lotnisku de Gaulle’a nie powinna go czekać żadna niespodzianka – zauważył van der Welt.

Raul skinął głową. Jego młodszy przyjaciel nie zdawał sobie sprawy, jaką czuł ulgę po tym przesłuchaniu. Myśl, że został zdradzony przez najbliższych współpracowników, którym tyle lat ufał, była nie do zniesienia.

– Tak – odparł cicho. – Tristan jest bezpieczny. Mam nadzieję, że Marie też.

Była. Na razie była.

Ocknęła się, dręczona sennymi koszmarami, późnym popołudniem.

Przez chwilę wpatrywała się w sufit, zaskoczona jego burą barwą – gdzie się podziała biel ścian jej własnego pokoju w rodzinnym domu? – po czym resztki snu prysnęły, a bolesna rzeczywistość powtórnie uderzyła z całą mocą, aż dziewczynie zabrakło oddechu, a serce ścisnęło się z rozpaczy i żalu.

Jeszcze chciała płakać, jeszcze potrzebowała tej rozpaczy, ale jej organizm po raz pierwszy od wielu dni zaczął domagać się swoich praw. Była głodna. Do tej pory wystarczyło napić się wody z kranu i pogrążyć z powrotem w letargu, w tej chwili jednak Marie czuła wilczy głód.

Zwlekła się z łóżka, nadal nakrytego brudną, śmierdzącą kapą, jak w dniu, w którym tu przybyła. Ostrożnie stawiając stopy i przytrzymując się ściany, bo w głowie kręciło się jej niemiłosiernie z osłabienia i gorączki, ruszyła do łazienki. Włączyła światło. Karaluchy pierzchły na wszystkie strony, ale Marie nie zwróciła na nie uwagi. Spoglądała w lustro. Na dziewczynę, której nie poznawała. Wielkie, podkrążone oczy o przerażonym, niemal obłąkanym spojrzeniu, już nie szczupła, a po prostu wychudzona twarz, okolona brudnymi, zwisającymi w smętnych strąkach włosami, o które kiedyś tak dbała, spierzchnięte usta, w których kąciku nadal były ślady krwi… To nie była ta śliczna, pszenicznowłosa, błękitnooka dziewczyna, za którą chłopcy w szkole wodzili zachwyconym spojrzeniem.

Odkręciła kran, nabrała w dłonie wody i chlusnęła nią sobie w twarz. W następnej chwili pochyliła głowę. Łzy popłynęły po zapadniętych policzkach.

– Nie dam rady – wyszeptała.

Wróciła do pokoju i z powrotem zwinęła się w kłębek na łóżku.

Walenie do drzwi poderwało ją na równe nogi.

Serce stanęło w pół uderzenia. Panika zdławiła gardło.

– Hej, żyjesz, laluniu?! – usłyszała męski, zachrypnięty głos. – Albo płacisz za następny tydzień, albo się wynosisz! Taka była umowa!

To konsjerż… Ulga była obezwładniająca.

– Zapłacę – wyszeptała, bo głos odmówił jej posłuszeństwa, ale w następnej chwili zawołała: – Zaraz zapłacę!

– Ja myślę, że zapłacisz! – tamten jeszcze raz rąbnął pięścią w drzwi.

Marie słuchała jego ciężkich kroków oddalających się korytarzem. Gdy umilkły, wróciła do łazienki i znów spojrzała w lustro. Musi doprowadzić

się do porządku, wyjść z pokoju i zdobyć pieniądze na życie i na mieszkanie. Niemal wszystkie, jakie miała w kieszeni kurtki, wydała na ten najpodlejszy, najtańszy pokój w najohydniejszym motelu.

Za każdym razem, gdy rodzice razem z nią przenosili się do innego miasta – a czynili to średnio co pół roku – ojciec ukrywał torbę z kosztownościami i pieniędzmi, tak przynajmniej mówił córce, w skrytce bagażowej na największym dworcu kolejowym w okolicy. Marie nie miała pojęcia, dlaczego tak czyni, ale nie pytała go o to. Znała tylko takie życie: domy, piękne, wystawne i wygodne, wynajmowane na kilka miesięcy i porzucane bez słowa wyjaśnienia. Wciąż nowe szkoły, nowi koledzy i koleżanki, z którymi nie zdążyła się prawdziwie zaprzyjaźnić, a już trzeba się było żegnać. Nie, nie żegnać, bo o przeprowadzce dowiadywała się z dnia na dzień, nie pozostawiano jej czasu na pożegnania i wymianę adresów.

– Przenosimy się – tata wymawiał te dwa znienawidzone słowa ot tak, jakby mówił o pogodzie.

Mama rzucała mu pytające spojrzenie, po czym bez słowa, nie czekając na wyjaśnienie, które być może znała, zaczynała pakować ich własny, skromny dobytek. Dwa pudła pamiątek, parę ciuchów, książki i już ich van, nowy, którego Marie przedtem nie widziała, był gotów do drogi.

Ona sama zbuntowała się na samym początku, gdy miała kilka lat i po raz pierwszy musiała opuścić przedszkole, które wprost pokochała. Do tego czasu ciągłe przenosiny były wpisane w jej zwykły rozkład dnia. Ale wtedy postawiła się ojcu z typowym dla pięciolatki wrzaskiem, płaczem i ciskaniem zabawkami. Rodzice – pamięta to do dziś – pozwolili jej protestować przez kilka minut, po czym ojciec wziął ją na kolana, mama

uklękła obok i oboje poważni, tak poważni, że nawet do pięciolatki to dotarło, opowiedzieli jej o złych ludziach, którzy ścigają ich rodzinę.

– Musimy uciekać, córeńko. Teraz. Właśnie dziś. Dopóki **tamci** nas nie znaleźli.

Tamci – to słowo było niczym fatum wiszące nad Marie przez wszystkie te lata.

Na początku była przerażona. Budziła się w nocy w krzykiem, szukając ręki mamy albo taty, by upewnić się, że Tamci, źli ludzie, jeszcze ich nie znaleźli. Potem przywykła do przeprowadzek, a po paru latach zaczęła podejrzewać, że rodzice „złymi ludźmi" tłumaczyli swoją cygańską naturę. Może lubili przenosić się z miejsca na miejsce i żeby raz na zawsze uciąć protesty córki, wymyślili taką oto legendę? Wprawdzie nigdy ojca ani matki nie przyłapała na kłamstwie, ale…

To było rok temu, gdy domek z kart, jakim było bezpieczne, spokojne życie Marie – no, oprócz ciągłych przeprowadzek – rozsypał się ot tak, po prostu.

Tego dnia wróciły z mamą ze szkoły – mimo że Marie miała siedemnaście lat, nadal któreś z rodziców – co za obciach! – odwoziło ją i przywoziło. Tata, ku jej zdumieniu, czekał na nie w domu, choć powinien być w szpitalu, jak każdy szanujący się chirurg. Mama, widząc jego poważną, surową twarz, zbladła i przytknęła dłoń do ust, jakby chciała powstrzymać krzyk.

– Znaleźli nas?! – wyszeptała.

Marie zaś… zrozumiała w tej jednej chwili, że to nie była żadna legenda, że **tamci** naprawdę ścigają ją i jej rodziców i właśnie ich znaleźli. Nim zdążyła się przerazić, tak jak mama, ojciec odparł:

– Nie. Jeszcze nie. Ale… – Podał mamie zdjęcie. Ona wzięła je w dwa palce, spojrzała na to, co przedstawia, i jęknęła.

– Przepraszam, Pawełku, przepraszam! – wyszeptała błagalnie, wyciągając ku niemu ręce, ale on stał nieporuszony. Na jego twarzy, ściągniętej gniewem, nie drgnął ani jeden mięsień.

Marie nigdy nie słyszała takiego tonu u matki. Zwykle to ojciec o coś ją błagał, to on zabiegał o jej uczucia. On się starał, przynosił kwiaty i prezenciki, by dostać w nagrodę jeden jej uśmiech, jedno ciepłe spojrzenie. Ale nie dziś.

Co takiego matka uczyniła, że ojciec nie otworzy ramion i nie zamknie w nich żony, szepcząc, że wybacza, że kocha, że już nic, już wszystko dobrze? Marie poczuła, że zaraz się rozpłacze. Już wiedziała, co jest na tym zdjęciu! Nie była przecież dzieckiem! Matka z innym mężczyzną! Tata przyłapał ją na zdradzie i teraz wezmą rozwód, a ona, Marie, nie dość, że będzie się przeprowadzać co pół roku, to jeszcze mieszkać a to z jednym, a to z drugim!

– Jak mogłaś być tak nieostrożna? – odezwał się ojciec suchym, obcym tonem. – Narażasz siebie, narażasz RoseMarie, nie mówiąc już o mnie, a to wszystko dla jednej chwili przy jego grobie?

Grobie?! Marie już nic nie rozumiała. Matka poszła na czyjś grób, a ojciec tak się o to wścieka?! To chyba lepiej, że poszła na grób, a nie do żyjącego! Kimkolwiek ten ktoś był!

– Musiałam, Pawełku, naprawdę musiałam – wyjęczała Sonia.

Ojciec spojrzał na nią… tak… że Marie – i nie tylko ona – poczuła to jak uderzenie. W jego dobrych, kochających oczach była pogarda.

– Powiedz to swojej córce, gdy porwą ją i zaczną torturować, powiedz, że naraziłaś ją na śmierć z powodu kogoś, kto nie żyje od osiemnastu lat.

Powiedz to RoseMarie, gdy w końcu władują jej dwie kule w serce, jedną w łeb.

– Paweł, błagam… Nie przy RoseMarie…!

– Jest prawie dorosła. Musi zdawać sobie sprawę z niebezpieczeństwa, na jakie ją naraziłaś.

Ojciec odwrócił wzrok od matki i spojrzał na Marie, która stała blada i śmiertelnie przerażona w korytarzu ich ślicznego, jasnego domku na przedmieściach Neapolu. W jego oczach nie było już pogardy, a miłość, przemieszana ze strachem o jedyne dziecko, które kochał całym sercem. Sonia nigdy nie pozwoliła mu na taką miłość do siebie. On zawsze był dla niej namiastką Raula. Pogodził się z tym. Żył z tą świadomością. Znosił jej chłód bez słowa skargi. Aż do dziś.

Tego dnia Marie, a właściwie RoseMarie – takie imię dostała na chrzcie i tak z uporem godnym lepszej sprawy mówili do niej rodzice – poszła za ojcem do jego gabinetu, matce zamknął drzwi przed nosem, usiadła w głębokim fotelu, tak jak kazał, a on sam uklęknął przed nią, ujął jej zimne, drżące dłonie we własne i opowiedział całą historię, straszną historię ich rodziny.

Tego dnia po raz pierwszy i ostatni usłyszała to imię: Raul de Luca. Padły słowa: mafia, Cypr, narkotyki, broń, miliardy euro. Wreszcie: śmierć i bohater. Choć dla niej ów Raul pozostał nie bohaterem, a kimś, kto przed chwilą o mało nie rozbił ich rodziny. Kimś, przez kogo muszą uciekać i będą uciekać aż do śmierci. Wreszcie kimś, dla kogo matka ryzykowała życiem jej, swojej córki.

– Musiała go bardzo kochać… – Marie usłyszała swoje słowa, nim zdążyła ugryźć się w język.

Oczy Pawła pociemniały.

– Przepraszam, tatusiu, ja nie chciałam…

– Tak. Bardzo go kochała. Ja też. Ale bardziej kocham ciebie, RoseMarie. Musisz mnie teraz uważnie wysłuchać.

Kiwnęła głową. Była gotowa uczynić wszystko, by przegnać cień z jego jasnych, kochających oczu.

– Gdy oni nas znajdą, a może tak się stać, musisz…

Te słowa, wypowiedziane cichym, ale stanowczym głosem rok temu, wracały do dziewczyny właśnie w tej chwili, gdy po nałożeniu ciemnobrązowej peruki i okularów, kupionych po drodze, i naciągnięciu na czoło czapki z daszkiem – „musisz się zmienić nie do poznania, to po pierwsze” – wychodziła z obskurnego pokoju, najpierw upewniwszy się, że korytarz jest pusty, przemykała po schodach na dół, a potem, udając spokój i obojętność, szła przez hol, mijała konsjerża, który rzucał za nią: – Albo płacisz, albo się wynosisz, laleczko! Chociaż za jedną noc możesz zapłacić dupcią! – i wychodziła na paryską ulicę, skąpaną w promieniach zachodzącego słońca.

# ROZDZIAŁ VII

Tristana obudziła krzątanina na pokładzie samolotu. Widać zbliżali się do Europy, bo stewardesy śmigały tam i z powrotem, roznosząc gorące posiłki i napoje. Jedna z nich pochyliła się ku niemu, ukazując bez skrępowania apetyczny rowek między bujnymi piersiami, i przyjęła zamówienie.

Potarł twarz zmęczonym gestem. Wprawdzie zdrzemnął się godzinę, może dwie, ale taki sen nie przyniósł odprężenia. Chłopak czuł każdy mięsień w napiętym do granic możliwości ciele. To była normalna reakcja przed niebezpiecznym zadaniem: organizm szykował się na największy wysiłek, a Tristan przynajmniej miał pewność, że nie zawiedzie samego siebie, ale komfortowe to nie było.

Wstał i przeszedł do łazienki, by odświeżyć się przed lądowaniem. W tym momencie zadzwonił telefon. Tristan rzucił okiem na wyświetlacz. Wprawdzie dziś hitem były holofony, które wyświetlały hologram rozmówcy w czasie rzeczywistym przed tobą lub na ekranie, ale te zabaweczki mógł namierzyć każdy, kto dysponował odpowiednim sprzętem. Dawne telefony komórkowe, szczególnie wyposażone w koder ATP, były niezbędne tym, którzy nie chcieli być śledzeni i podsłuchiwani. Takim jak R, który wyświetlił się teraz Tristanowi. R jak Raul. Skoro ojciec dzwoni podczas lotu, znaczy, że to coś pilnego. Odebrał natychmiast.

– Słuchaj, Tris – zaczął Raul – mieliśmy tu pewien problem. Razem z Danielem podejrzewaliśmy, że nasz przyjaciel albo mój przełożony maczali

ręce w całym tym zamieszaniu…

Zamieszanie? To doprawdy spore niedomówienie – pomyślał Tristan, ale rozumiał ojca. Mimo zabezpieczeń obaj nie do końca wierzyli, że technologia ATP rzeczywiście chroni ich rozmowę w stu procentach.

– Na szczęście znaleźliśmy szczura, który wystawił lipną fakturę. Można powiedzieć, że był to nieszczęśliwy zbieg okoliczności: faktura, śmierć naszych przyjaciół i zaginięcie pewnej dziewczyny, ale… te trzy fakty coś łączy.

No pewnie, że łączy. I to nie coś, a ktoś: ty, tato – domyślił się Tristan, ale nie odezwał ani słowem. On miał słuchać, a nie wymądrzać się.

– Dziewczynę udało się odnaleźć…

– Znaleźliście Marie?! – wykrzyknął, nim zdążył palnąć się w usta.

– Owszem. Mój przyjaciel jest nieoceniony. Wiemy, gdzie przebywa w tej chwili, i będziemy pilnować każdego jej kroku. Znasz Paryż…

Tak, Tristan spędził w tym mieście upojne trzy lata college’u. Uśmiechnął się mimowolnie do wspomnień… Piękna pogoda, pełne życia miasto i urocze, zawsze gotowe na flirt Francuzki…

– Prosto z lotniska udasz się do Montrouge. Dokładny adres dostaniesz później. Nie muszę ci przypominać, że liczy się dosłownie każda sekunda?

Tristan przewrócił tylko oczami. Nie, ojciec nie musiał mu ciągle tego powtarzać. To zrozumiałe, że dziewczyna była w śmiertelnym niebezpieczeństwie i w każdej chwili mógł ją dopaść bandzior z mafii.

– Spokojnie. Pojadę wprost pod jej dom – mruknął. – Mam łapać taksówkę czy stać nas na wynajęcie samochodu? – zażartował.

W pieniądze był dobrze zaopatrzony. Wystarczyłoby na kilka miesięcy wystawnego życia. Szkoda, że ojciec nie był tak hojny, gdy wysyłał

Tristana na studia. Wtedy dopiero by zabalował. Teraz jest na służbie i cieszyć się luksusami raczej nie będzie.

– Rób, co chcesz, byle nie tracić bez sensu czasu. Po drodze do naszej zguby musisz zahaczyć o pewne miejsce, gdzie zostawiono dla ciebie przesyłkę. Będzie w niej coś, co lubisz.

Tristan uśmiechnął się. Broń. Dobra, niezawodna broń. Sig sauer l-c, taki sam jak ojca? We Francji na pewno się przyda. I nie chodziło tu o mafię, która poluje na dziewczynę. Francja była toczona przez raka zwanego terroryzmem. Nie było dnia bez brutalnego zamachu, w którym ginęli przypadkowi ludzie. Paryż był tak obstawiony kamerami, że w centrum antyterroryści wyłapali już chyba wszystkich oszołomów, ale osiągnęli tylko tyle, że ISIS przeniosło się na przedmieścia i do mniejszych miejscowości. Cały kraj był sparaliżowany strachem. Tristanowi było jednak w to graj. Im większy chaos, tym łatwiej zwiać. Nawet z nastoletnią, spanikowaną dziewczyną u boku…

– Uważaj na siebie. Uważaj na nią – dokończył Raul i rozłączył się.

Samolot zaczął łagodnie zniżać lot.

*

Marie zatrzymała się na progu motelu, oszołomiona światłem, gwarem i pośpiechem mijających ją ludzi. Przymknęła na chwilę oczy, pozwalając zachodzącemu słońcu łagodnie pieścić jej twarz. Ile dni spędziła w ciemnej brudnej norze na drugim piętrze? Nie miała pojęcia. Słońce i świeże powietrze oszołomiło ją na parę sekund. Ale nie miała czasu, by rozkoszować się letnim paryskim wieczorem. Odgarnęła włosy, w których zatańczył zbłąkany wiatr, po czym wyszła na ulicę, by natychmiast zniknąć w tłumie przechodniów i turystów.

Ostry dźwięk ożywiłby trupa. Honda, prowadzona do tej pory pewną ręką Daniela van der Welta, zatańczyła na jezdni. Raul spojrzał na przyjaciela zdumiony, bo ten, zamiast prowadzić samochód, szukał czegoś po kieszeniach. Wreszcie wyciągnął miniaturowy komunikator. To ten przedmiot wydawał z siebie wściekłe piski.

– Cholera. Wiedziałem, że tak będzie – warknął van der Welt. – Twoja zguba właśnie wyszła z motelu, gdzie siedziała do tej pory przez ładny tydzień.

– Mówisz o Marie Solay?

– Właśnie o niej. Ustawiłem sprzęt na rozpoznawanie twarzy. Komputer przesyła sygnał i obraz do komunikatora, jeśli tylko wykryje obiekt. I przed chwilą wykrył. Marie wyszła z motelu i idzie… Nie wiem, dokąd idzie, bo zniknęła z pola widzenia tej kamery.

Raul zaklął.

– Tristan jeszcze nie wylądował.

– Miałem odwieźć cię na lotnisko, ale lepiej będzie, jeśli natychmiast wrócimy do domu. Nie chcę jej stracić ponownie. Odszukanie tej dziewczyny zajęło mi niemal cały dzień.

– Nie możemy pozwolić sobie na stratę choćby minuty. Jedziemy do ciebie. Jeżeli mogę jakoś pomóc…

– Jeżeli ją zgubię, owszem, będę potrzebował twojej pomocy. Jeżeli nie, ja będę jej pilnował, ty zaczniesz naprowadzać Tristana.

– Deal.

– Myślisz, że tylko my ją namierzamy? – Daniel spojrzał na Raula pytająco.

Ten pokręcił głową.

– Nie mam takich złudzeń.

*

Człowiek Bez Twarzy – tak o nim mówiono, zawsze zniżając przy tym głos. Gdyby usłyszał od kogoś to określenie, ten ktoś zaliczyłby natychmiast kulę w łeb. O sobie mówił „Cojon” i to była jego oficjalna ksywka. Nawet policja nie znała jego prawdziwego imienia i nazwiska. Za to doskonale wiedziała, czym się ten bandzior zajmuje, a było tego sporo… Narkotyki? Proszę bardzo. Broń? Rzadko, to go nie rajcowało. Sieć burdeli? Jak najbardziej. Handel ludzkimi narządami? Jeszcze lepiej. Ludzie znikali ot tak, porywani w biały dzień, czasem ze swoich domów. Odnajdowano potem ich zmasakrowane, okaleczone zwłoki w odludnych miejscach, wypływały na powierzchnię rzeki czy jeziora, ale najczęściej zrozpaczone rodziny nie dostawały i tego.

Jednak Cojon specjalizował się w czym innym, w czymś tak odrażającym, że tylko nieliczni decydowali się z nim konkurować. Dziecięca prostytucja, dostarczanie towaru największym dewiantom, burdele dla zboczeńców, nekrofilów, sadystów – oto, co było oczkiem w głowie tej kreatury.

Był niekwestionowanym królem brudnego sutenerstwa. Mafia specjalnie się w ten rynek nie angażowała, bo sprzedawanie dzieci do burdeli nie było dobrze widziane. Tych, którzy na danym terenie byli przed nim, Cojon bezwzględnie eliminował, a nowi poszukiwacze łatwych pieniędzy omijali jego terytorium szerokim łukiem. Zła sława, jaką się cieszył w najniższych kręgach piekieł, skutecznie odstraszała potencjalnych konkurentów.

Policja nie miała nań żadnych haków. Wszyscy wiedzieli, czym się zajmuje, nikt nie był w stanie mu tego udowodnić. Był bogatym rentierem, wynajmował lokale agencjom towarzyskim. Tylko tyle. Prawo tego nie

zabraniało. A że w tych lokalach najobleśniejszych zboczeńców obsługiwały porwane z ulic Rio de Janeiro, Bangkoku czy Moskwy dzieci… Nikt nigdy nikogo za rękę nie złapał. Cojon miał swoich ludzi, dobrze opłacanych ludzi, wszędzie. Także w policji. Dostawał cynk o nalocie na jakiś lokal dostatecznie wcześnie, by pozbyć się niewygodnego towaru. Gdy inspektorzy wchodzili do środka, witały ich uprzejme, szczęśliwe, dobrze traktowane, a przede wszystkim pełnoletnie dziwki. Dzieci i prostytutki trzymane tam pod przymusem znikały bez śladu.

Ten właśnie człowiek dostał kilka dni temu informację, że na jego terenie pojawiła się świeża krew. Samotna, zagubiona, a co najważniejsze bardzo piękna – tak zapewniał hotelowy cieć. Podrzucił Cojonowi nawet jej zdjęcie, ściągnięte z nagrania hotelowego monitoringu. Ten spojrzał przelotnie na fotkę, po czym ujął ją w dwa palce, uniósł bliżej ukrytych pod kapturem oczu. Przyglądał się chwilę smutnej twarzy dziewczyny, zagubionemu spojrzeniu niebieskich oczu, długim, jasnym włosom, a potem rzekł obojętnie, zniekształconym przez krtaniowy komunikator głosem:

– Może być. Zgarniemy ją.

– Tylko nie z mojej firmy! Ktoś może się po nią zgłosić i co wtedy? Wyrzucą mnie z roboty – zaczął skomleć płaczliwym głosem konsjerż obskurnego motelu w jednej z parszywszych dzielnic Paryża.

– Zdejmiemy ją z ulicy. Daj mi znać, gdy się ruszy.

Cieć niemal ucałował dłoń Człowieka Bez Twarzy. Niemal, bo ten ręce zawsze chował w długich rękawach szytych na zamówienie szat. Nie ubrań, nie koszul, nie marynarek, a właśnie szat. Mówiono, że całe jego ciało jest straszliwie zniekształcone, że czaszkę ma posklejaną niczym potwór Frankensteina – tak go czasem potajemnie też nazywano. Mówiono też, że

jego twarz jest równie odrażająca co proceder, którym się trudni. Ale nikt jej nie widział. Podobno przy dziewczynach, które brał do siebie co jakiś czas, zrzucał te swoje szaty rodem z opowieści o wampirach, podobno tylko im pokazywał to, co zostało z jego twarzy – po wypadku? postrzale? – nikt tego nie wiedział, ale one – jak wchodziły do wspaniałego apartamentu na ostatnim piętrze wieżowca w centrum Paryża, tak żywych nikt ich już nie oglądał. Zasilały zapewne bazę organów dla bogaczy, którzy potrzebowali nowej nerki czy wątroby.

Ten właśnie człowiek zainteresował się Marie Solay.

I on właśnie wysłał swoich ludzi, by ją upolowali…

Marie kluczyła po mieście do późnego wieczoru. Pamiętała słowa ojca:

„Czy jesteś śledzona, czy nie, zawsze próbuj zgubić pościg”.

Oglądała się za siebie, zmieniała nagle kierunek marszu albo znienacka przebiegała przez ulicę. Wreszcie pewna, że nikt za nią nie idzie, ruszyła w stronę dworca Montparnasse. To tam, w jednej ze skrytek, której numer Paweł zdradził córce i żonie, gdy tylko przenieśli się do Paryża, znajdowała się torba z cenną zapewne zawartością. Co nią było? Tego już nie powiedział. Marie za chwilę się przekona. To, co Paweł zostawił córce, może ocalić jej życie. Albo wprost przeciwnie…

*

Samolot dotknął kołami płyty lotniska. Potężna maszyna podskoczyła na pasie raz i drugi, wreszcie zaczęła hamować. Tristan był jednym z pierwszych, którzy opuścili klasę biznes. Szybkim krokiem skierował się ku stanowisku odprawy. Chwilę zastanawiał się, którym z kilku paszportów ma się posłużyć, wreszcie wyjął francuski. Obywatele tego kraju cieszyli się kilkoma przywilejami, których nie miał nikt inny. Bez przeszkód przeszedł kontrolę. Teraz jeszcze wypożyczalnia samochodów i…

Telefon rozbrzmiał ponownie. Ojciec.

– Tristan, pospiesz się – czyżby w jego spokojnym zazwyczaj, opanowanym głosie można było wyczuć ton paniki?

– Idę właśnie do stanowiska Hertza.

– Daj spokój z Hertzem! Łap taksówkę i jedź tam! Natychmiast!

– Tam to znaczy gdzie?

– Prawdopodobnie dworzec Montparnasse.

– Okej, mogę…

Nie zdążył zapytać, czy może po drodze przejąć przesyłkę, która czekała nań w Paryżu, bo Raul po prostu się rozłączył.

Marie szybkim krokiem, jak zresztą wszyscy dookoła, zmierzała ku hali głównej dworca Montparnasse. Drzwi rozsunęły się przed nią i znalazła się w tłumie spieszących we wszystkie strony ludzi.

Dwóch mężczyzn wbiegło bocznymi drzwiami w tym samym momencie. Wiedzieli, kogo szukają, więc zauważyli ją natychmiast. Ona ich nie. Ruszyła prosto w kierunku siepaczy Cojona.

Tristan wysiadł z taksówki, gdy tylko zahamowała przed dworcem. W słuchawce rozbrzmiewał coraz bardziej zaniepokojony głos van der Welta, bo to on teraz prowadził chłopaka, mając przed oczami obraz ze wszystkich dworcowych kamer. Raul wolał się nie domyślać, w jaki sposób włamał się do centrum monitoringu i co mu grozi, gdyby go nakryli…

– Marie masz naprzeciwko. Jest jakieś sto pięćdziesiąt metrów od ciebie. Jeden z nich zachodzi ją od prawej, jego powinieneś już widzieć.

– Widzę – mruknął Tristan, czując uderzenie adrenaliny.

Był – w przeciwieństwie do tamtego – nieuzbrojony. Nie zdążył przejąć przesyłki z pistoletem. Tamten na pewno miał pod marynarką spluwę. A może i jeszcze jedną za paskiem spodni…

– Drugi będzie zachodził ją od tyłu. Najpierw musisz pozbyć się tego pierwszego.

– Daniel, nie mów mi, co mam robić – warknął chłopak. – A w ogóle to nic na razie nie mów.

Ruszył biegiem, co na dworcu pełnym spieszących dokądś ludzi nie było niczym dziwnym. Roztrącał ich, przeskakiwał przez torby podróżne i walizki, nie oglądając się za siebie, nie przepraszając za przewrócone bagaże, nie słuchając złorzeczeń.

Dłoń zaciskał na ostrzu noża, który jeszcze w taksówce wyciągnął z torby i ukrył w rękawie marynarki. Jeden z bandziorów był coraz bliżej. Jeszcze trzy susy, dwa, wreszcie…! Tristan, nie zwalniając, wbił ostry, cienki, mocny nóż aż po rękojeść – prosto w nerkę bandziora. Ten padł jak podcięty. Chwilę później już nie żył.

Chłopak biegł dalej, nie oglądając się za siebie.

Marie pospiesznie zdążała do schodów prowadzących na antresolę. Nic nie zapowiadało tego, co ją za chwilę czeka… Zaniepokojona ujrzała kątem oka jakiś ruch po prawej stronie, ktoś biegł przez halę, spiesząc się pewnie na pociąg. Ścigały go krzyki i przekleństwa oburzonych podróżnych.

Nagle jakiś człowiek, parenaście metrów przed nią, potknął się i upadł. Uniosła brwi ze zdumienia i…

Trzy ogłuszające strzały, jeden po drugim, sprawiły, że pasażerowie w całym wielkim holu zamarli bez ruchu, ale już w następnej chwili ludzka ciżba runęła w panice przed siebie, tratując wszystko, co stało na jej drodze. Dziecko nie dziecko, bagaż nie bagaż – nic nie mogło powstrzymać oszalałego z przerażenia tłumu.

W chwili gdy strzelano tak blisko niej, Marie zatrzymała się gwałtownie jak wszyscy dookoła. Z jej gardła wydarł się ni to jęk, ni to pisk.

Wspomnienie nocy, gdy zamordowano jej rodziców, uderzyło w nią niczym taran. Już miała się rzucić do ucieczki, gdy nagle… poczuła zaciskające się na ramieniu palce i coś ostrego wbiło się w jej w łopatkę. Szarpnęła się w panice, ale głos zamarł jej w gardle. Oddech też.

Runęła w czerń.

Bandzior jednym ruchem zagarnął nieprzytomną dziewczynę i nie zwalniając kroku, niezatrzymywany przez nikogo, a już na pewno nie przez rozhisteryzowanych ludzi umykających przed człowiekiem z bronią, ruszył biegiem ku jednemu z wyjść.

Marie, którą przed chwilą Tristan miał tak blisko, zaledwie parę metrów przed sobą, nagle zniknęła. Tłum pchnął go w przeciwnym kierunku, ale on mimo to zatrzymał się i rozejrzał. Nigdzie nie widział dziewczyny. Za sobą miał faceta, którego załatwił nożem. To nie on strzelał. Po ciosie w nerkę nikt nie byłby w stanie unieść spluwy. Więc kto?

– Daniel, do cholery, słyszysz mnie?! – krzyknął sfrustrowany do granic. – Gdzie ona jest?!

Odpowiedziała mu cisza.

Musiał się ruszyć, nim zwróci na siebie uwagę służb. Stojąc pośrodku biegających we wszystkie strony ludzi, za bardzo rzucał się w oczy. Wybrał na chybił trafił któreś z bocznych wyjść. Wypadł na zewnątrz.

– Zgarnęli ją – usłyszał głos Daniela i prychnął wściekle. Tego sam już zdążył się domyślić.

– Spartoliłem to – warknął przez zaciśnięte zęby.

– Daj spokój. Spróbuję ją odnaleźć, a ty… bądź gdzieś w pobliżu.

Tristan z wściekłością kopnął puszkę po piwie. Spartolił to koncertowo! Ale co innego mógł zrobić? Wyeliminował jednego z napastników. Miał Marie niemal na wyciągnięcie ręki. Tamten drugi, który zachodził ją z

prawej strony, był za daleko. Musiał więc być jeszcze ktoś… Nagle zmartwiał, czując lufę pistoletu przystawioną do skroni. Zareagował odruchowo: unik i cios kantem dłoni w krtań. Niemal na ślepo, ale celny. Pistolet stuknął głucho o trotuar. Tristan jednym ruchem chwycił za rękojeść, obrócił się i teraz to on celował z glocka w głowę napastnika łapiącego powietrze krótkimi haustami niczym ryba wyrzucona na brzeg. Bez wahania pociągnął za spust. „Nie zostawiaj za plecami żywego wroga”. Tamten rzucił się w konwulsjach i znieruchomiał. To był ten drugi, który polował na dziewczynę, ale jej nie dopadł. Gdzie jest trzeci?

Gdzieś za nim zawył silnik ruszającego na najwyższych obrotach samochodu. Zaraz potem rozległy się strzały. Pocisk smagnął Tristana w ramię. Nie czekał, aż drugi trafi go w serce czy głowę, uskoczył za betonową kolumnę. Samochód zbliżał się. Chłopak chwycił pistolet w obie ręce i zamarł w bezruchu. Tamci strzelali, żeby strzelać; on strzelał, żeby zabić.

Wycelował dokładnie, z zimną precyzją, choć serce waliło mu jak oszalałe, a w żyłach pulsowała czysta adrenalina. Strzelił. Bach! Bach! Bach! Przednia szyba potężnego SUV-a poszła w proch. Głowa kierowcy eksplodowała. SUV skręcił gwałtownie i wbił się w kolumnę, za którą przed sekundą był Tristan. Przed sekundą, owszem, ale teraz dopadał już drzwi pasażera i szarpał za klamkę. Ze środka padł kolejny strzał i jeszcze jeden. Przypadając do ziemi, znów poczuł smagnięcie ognia, tym razem na skroni. Zupełnie się tym nie przejął. Dopóki on sam może pociągać za spust, będzie walczył. Wyskoczył w górę, strzelając raz po raz. Pistolet tamtego odpowiedział ogniem i umilkł raptownie. Na szybę bryznął potok krwi.

Wszystko nagle ucichło.

Tristan przywarł plecami do drugiej kolumny i starał się uspokoić oddech. Wyjrzał ostrożnie. We wnętrzu samochodu nie poruszał się już nikt. Cofnął się, nadal trzymając broń gotową do strzału. Krew spływała mu po szyi i ramieniu, wsiąkając w materiał koszuli, nie zwracał na to jednak uwagi. Czy dziewczyna jest w samochodzie? Tylko to go interesowało.

W dwóch susach znalazł się przy SUV-ie, szarpnął za klamkę. Drzwi otworzyły się na całą szerokość. Ciało jednego z tamtych wypadło na zewnątrz, brocząc krwią. Drugi opierał przestrzeloną głowę o kierownicę. Nie licząc dwóch trupów samochód był pusty.

Bagażnik! Mogli ukryć ją w bagażniku!

Dopadł tylnych drzwi. Otworzył je. I… Była tu! Leżała zwinięta w pozycji embrionalnej. Nieruchoma. W pierwszej chwili przeraził się, że nie zdążył, że tamtym udało się ją załatwić, ale gdy chwycił na ręce bezwładne ciało dziewczyny i przycisnął do piersi, poczuł bicie jej serca i odetchnął z ulgą.

– Połóż ją – padło niespodziewanie.

Tristan poderwał głowę i… patrzył wprost w lufę wycelowanego w siebie pistoletu. To był ten bandzior, którego brakowało w łamigłówce.

– Połóż ją, a przeżyje. Jest dla nas cenna. Potem wstań, tylko powoli – powtórzył, a potem, ponieważ Tristan nie zareagował, obniżył nieco lufę. Teraz celował w dziewczynę, nie w niego.

Tristan zrozumiał, że nie ma żadnych szans. Nie z Marie na rękach. Nie z bandziorem stojącym parę metrów od niego. Zanim położy dziewczynę na chodniku, wyszarpnie pistolet zza pasa i strzeli, będzie martwy. Niech chociaż ona przeżyje…

Opadł na kolana, złożył bezwładne ciało Marie na chłodnym betonie, podniósł się powoli i spojrzał swojej śmierci prosto w twarz.

Ta twarz w tym momencie eksplodowała. Bryznęła krwią na ścianę dworca. Tristan… stał, patrząc jak kadłub upada na chodnik.

– Stanley…! – wykrztusił w następnej chwili.

Tak, Stanley wybiegł wyjściem, w których przed chwilą pojawił się tamten. Chwycił bladego jak śmierć Tristana za ramię. Widząc krew, dużo krwi, rzucił pytanie:

– Co z tobą? Cały jesteś?

– Tak, ona też.

– To spieprzamy.

Tristan z powrotem chwycił dziewczynę na ręce i ruszył przed siebie, ale Stanley szarpnął go za ramię i pchnął w kierunku parkingu, na którym kotłowało się mrowie ludzi próbujących w popłochu opuścić trefną okolicę. Z oddali już dobiegało jękliwe wycie policyjnych syren. Przebiegli przez parking, nie zatrzymując się. Samochód Stanleya stał w jednej z bocznych ulic. Dobiegli do niego w momencie, gdy mijał ich pierwszy radiowóz…

Tristan niemal rzucił Marie na tylne siedzenie i wskoczył na miejsce obok kierowcy. Samochód ruszył z piskiem opon, zanim zdążył na dobre zamknąć drzwi.

– Bierz to. – Stanley cisnął mu na kolana swojego sig sauera, a potem odezwał się do przyczepionego do klapy marynarki mikrofonu: – Mam ich oboje, są cali i zdrowi. Odezwę się, gdy będziemy bezpieczni.

Tristan oparł głowę o zagłówek siedzenia i zamknął oczy. Serce nadal łomotało mu w piersi, oddech rwał się od szybkiego biegu, dwie rany postrzałowe – ta w skroń i druga w ramię – zaczynały rwać ostrym bólem, całe ciało zaczęło lekko drżeć od nadmiaru adrenaliny. Jeszcze nigdy nie był tak blisko śmierci. Nigdy nie patrzył w lufę pistoletu wymierzonego prosto w twarz.

– Dzięki, Stanley – odezwał się. – Gdyby nie ty… Spieprzyłem to koncertowo.

– Co ty chrzanisz, dzieciaku! – prychnął Blackwell. – Z tego, co nawijał mi cały czas van der Welt, wywnioskowałem, że sam jeden, uzbrojony tylko w nóż, załatwiłeś czterech na pięciu! Ostatniego też byś położył, jestem tego pewien…

– Nie miałem pojęcia, że jest ich pięciu – mruknął Tristan. – Daniel wystawił mi dwóch. Reszta…

Jego telefon pisnął w tym momencie sygnałem przypisanym Raulowi. Chłopak przymknął powieki, czując śmiertelne zmęczenie, i odebrał.

– Cały jesteś, synu?

– Cały – mruknął.

– Marie?

– Też. Chociaż nieprzytomna. Gdyby nie Stanley…

– Wiem, widzieliśmy całą akcję. Stanley jak Stanley, ale ty dałeś im popalić. Jestem z ciebie dumny, Tris.

Chłopak uśmiechnął się mimowolnie. Przyjemnie było usłyszeć taką pochwałę z ust niedoścignionego mistrza, własnego ojca.

– Odpocznij i niczym więcej się nie martw, jesteście oboje w dobrych rękach.

Stanley, manewrujący autem w wieczornych korkach, skinął głową.

– Kiepsko robiliście rozpoznanie – krzyknął tak, by tamci go usłyszeli.

– Spróbuj robić rozpoznanie w kilka zaledwie minut, na odległość paru tysięcy kilometrów i za pomocą kiepskich kamer! – usłyszał oburzony głos van der Welta.

– Powiedz to Tristanowi, który mało nie oberwał kuli w łeb.

– Dajcie spokój – przerwał im tę dziecinną sprzeczkę głos Raula. – Wszyscy spisaliście się bez zarzutu. Takiej akcji nie mógł przewidzieć nikt. Tristan, odpoczywaj przez parę dni. Potem musicie z Marie znaleźć bezpieczne miejsce.

– Będzie nas ścigać policja z całego Paryża – mruknął chłopak.

Oboje z Marie byli chyba na wszystkich nagraniach.

– Nie będzie – rzucił Raul i rozłączył się, a potem zapytał pro forma siedzącego obok van der Welta: – System czysty?

– Czysty, szefie – odparł tamten, posyłając ostatni plik z nagraniem monitoringu w niebyt.

– Nie odzyskają tego?

– Raul, błagam, nie ucz mnie zawodu! Wiem, jesteś wściekły, omal nie straciłeś dzieciaka, ale…

– Nie jestem wściekły. Równie dobrze ja mogłem przewidzieć, że będzie ich więcej niż dwóch.

– Nie było czasu na przewidywania – przypomniał mu Daniel. – Wszystko potoczyło się błyskawicznie. Ani ja, ani ty nie byliśmy w stanie przeczesać w kilka minut całego tłumu, nie wiedząc przy tym, kogo szukamy.

Co racja, to racja. Raul musiał mu to przyznać i spróbować wybaczyć sobie, że wysłał syna – nieuzbrojonego na dodatek – przeciwko pięciu bandziorom.

– Ale dał radę – dodał van der Welt ze szczerym podziwem. Obaj z Raulem mogli tylko patrzeć, bezsilni, sfrustrowani do granic, jak młody, zaledwie dwudziestodwuletni chłopak próbuje wyrwać dziewczynę, i siebie samego, ze śmiertelnej pułapki. – Jest naprawdę dobry ten twój Tris.

Raul uśmiechnął się tylko i spojrzał na zegarek.

– Za dwie godziny mam samolot do Frankfurtu, potem do Larnaki. Podrzucisz mnie na lotnisko?

– Zamierzasz wrócić na Cypr? – Daniel raczej stwierdził, niż zapytał. – Chyba naprawdę życie ci zbrzydło… – Pokręcił głową i wziął kluczyki.

# ROZDZIAŁ VIII

Tristan, owinięty w pasie ręcznikiem, wyszedł z łazienki niewielkiego mieszkania, które wyczarował dla nich Stanley. Krew nadal spływała mu z ramienia i skroni, skapując na podłogę, choć próbował powstrzymać krwotok prowizorycznym opatrunkiem.

– Chodź tu, bohaterze – mruknął na jego widok Blackwell. – Trzeba ci to zszyć, bo do rana możesz się wykrwawić. Uprzedzam, że będzie to jazda bez znieczulenia…

– Mniej słów, więcej czynów – przerwał mu chłopak, patrząc lekko zmrużonymi oczami na zestaw chirurgiczny leżący na stole.

Było tam wszystko, czego potrzeba: środek do odkażania ran i narzędzi, igłotrzymacz, nici, klamry. Nie było jednego: koagulatora nowej generacji, który scalał rozcięte tkanki szybko i niemal bezboleśnie. Ale on nie zmieściłby się w zestawie pierwszej pomocy, a do szpitala Tristan nie mógł jechać z oczywistych względów – już tam na niego czekano…

Z westchnieniem usiadł na krześle i położył głowę na blacie stołu. Stanley od razu zabrał się do pracy, ponownie podziwiając hart ducha tego chłopaka, który nawet nie drgnął podczas całego, niezbyt przyjemnego, zabiegu.

– Blady jesteś – zauważył, przemywając po raz ostatni obie rany środkiem odkażającym. – Musisz się położyć.

– Nic mi nie będzie. Posiedzę przy Marie.

– Masz nie siedzieć, tylko się położyć. Nie wiem, kiedy ona się ocknie, ale wiem, że ty potrzebujesz odpoczynku teraz.

Tristan chciał nonszalancko wzruszyć ramionami, ale świeżo zszyta rana sprawiła, że zacisnął tylko zęby z bólu. Tak, ten odpoczynek to niegłupi pomysł…

Pożegnał Stanleya skinieniem głowy, po czym przeszedł do jedynej sypialni w mieszkaniu. Na dużym, podwójnym łóżku, z buzią wtuloną w poduszki, spała Marie Solay. Tristan nie zdążył się jej przyjrzeć – na dworcu nie było na to czasu, później też nie – teraz więc przyklęknął obok i uważnym spojrzeniem obrzucił bladą twarz dziewczyny o pięknych, regularnych rysach, długie czarne rzęsy rzucające cień na szczupłe policzki, jasnozłote włosy spływające na poduszkę w miękkich falach.

Wyglądała ślicznie i niewinnie. I krucho. Jak bardzo, mógł się właśnie przekonać – po jego palcach, gdy wyciągał ją z bagażnika SUV-a, zostały na jej ramionach ciemne sińce, ale też nie był w tamtym momencie zbyt uważny. Pogładził ją wierzchem dłoni po policzku łagodnym, niewinnym gestem. Mało nie zginął w jej obronie, a to zobowiązuje… I budzi najprzeróżniejsze uczucia. Jednym z nich była czułość.

Marie powoli uniosła powieki i naraz ujrzał jej wielkie, teraz ciemnoniebieskie oczy wpatrzone w jego twarz. Cofnął dłoń. Ona jeszcze chwilę spoglądała nań, po czym powieki opadły i zasnęła ponownie.

On klęczał przy niej nadal, jak porażony. Miał do tej pory parę dziewczyn, dość wcześnie zaczął „zabawy w doktora”, ale były to nic nieznaczące flirty, raczej dla zaspokojenia potrzeby seksu niż miłości. Był młody, nie pragnął stałego związku i… nic tego nie zmieni. Nawet te dwa niezgłębione jeziora, którymi były źrenice Marie Solay. „Będzie jak siostra” – obiecał ojcu, a Tristan Latimer dotrzymywał słowa.

Ostrożnie, by jej nie potrącić, ściągnął z łóżka drugą kołdrę, rozłożył na dywanie obok, nakrył się kocem i natychmiast, gdy tylko przyłożył głowę do poduszki, zapadł w sen tak głęboki, że nic, nawet pocałunek księżniczki, nie byłoby w stanie go obudzić.

Marie powróciła z narkotycznych majaków następnego dnia przed świtem. Pierwszy pobrzask jutrzenki nieco rozjaśnił ciemności panujące w niewielkim pokoju. Powoli podniosła powieki, przez chwilę patrzyła bezmyślnie przed siebie, jeszcze nieco zamroczona, po czym zamrugała, nie poznając otoczenia. Nie był to jej pokój w małym domku na przedmieściach Paryża. Nie była to podła klitka w motelu. Usiadła, wspierając się na ręce.

Po drugiej stronie łóżka, na podłodze, spał jakiś mężczyzna. Marie uniosła brwi ze zdumienia, ale to natychmiast przerodziło się w strach. Pamięć podsunęła ostatnie chwile przed utratą przytomności: próba odebrania depozytu z dworca Montparnasse, nagłe zamieszanie, strzały…

Dopadli mnie! – ta straszna myśl na moment odebrała dziewczynie oddech. – Uciekać!

Zwalczyła chęć natychmiastowego poderwania się z łóżka i panicznej ucieczki, dokąd oczy poniosą. Zamiast tego wstała powoli i bezszelestnie, żeby nie obudzić śpiącego bandziora, ruszyła do drzwi. Nacisnęła klamkę, pewna, że będą zamknięte, ale ta ustąpiła. Marie wyszła na ciemny, wąski korytarz. Po prawej stronie, w kuchni, paliło się światło, ale nie dobiegał stamtąd żaden dźwięk. Z ręką przyciśniętą do piersi, gdzie trzepotało przerażone serce, nasłuchiwała przez długą chwilę, nim odważyła się tam zajrzeć. Pusto. W łazience po drugiej stronie korytarzyka nagle lunęła woda. Marie pisnęła ze strachu, zatykając natychmiast dłonią usta. I nagle

aż musiała się wesprzeć o ścianę z ulgi. Ten, kto przed chwilą był w kuchni, brał prysznic. Ona ma kilka bezcennych minut, by uciec.

Zawróciła do sypialni. W zupełnej ciszy upozorowała swój kształt pod kołdrą, zwinęła z szafki nocnej swoje rzeczy i przemknęła niczym duch z powrotem na korytarz. Szum wody ucichł w tym właśnie momencie. Dziewczyna stanęła jak wryta, bojąc się uczynić choć najmniejszy ruch, ale chęć przeżycia była silniejsza od strachu.

Zaczęła skradać się do drzwi wyjściowych. Mniejsza z tym, że jest w za dużej piżamie i na ulicy nie może się tak pokazać, za chwilę się przebierze. O ile uda się jej wymknąć. Jeśli nie, piżama będzie jej najmniejszym problemem.

Już była przy drzwiach. Zamknięte! Błagając bezgłośnie Boga o pomoc, przekręciła zamek i odsunęła zasuwę. Nacisnęła klamkę i… była wolna! Bezszelestnie zamknęła za sobą drzwi i rzuciła się do schodów. Bose stopy cicho tupotały po marmurowych stopniach starej kamienicy. Ukryła się w korytarzyku prowadzącym do piwnicy i w rozpaczliwym tempie zaczęła zdzierać z siebie piżamę i narzucać swoje własne rzeczy. T-shirt, dżinsy, lekka kurtka… – to, co udało się jej ukraść ze szpitalnej szafy, a co zapewne należało do dziewczyn leżących razem z nią na sali. Ratownicy wynoszący ją z domu zabrali jeszcze jej portfel z dokumentami. Miała go nadal w kieszeni wraz z resztą pieniędzy, które jej zostały po opłaceniu motelu.

Chwilę później wyszła na ulicę. Rozejrzała się zdezorientowana. Daleko, nad dachami domów dojrzała wieżę Eiffla i już wiedziała mniej więcej, gdzie jest.

Stanley wyszedł spod prysznica, czując się jak nowo narodzony. Przed kąpielą był nieziemsko zmordowany – ledwo dotarł do Warszawy, już

musiał wsiadać w samolot i gnać do Paryża, gdzie van der Welt odnalazł dziewczynę.

Okazało się, że nie tylko on.

Cudem udało się Blackwellowi wraz z Tristanem odbić ją z rąk… no właśnie, kogo? Czy ten, kto zabił Pawła Rodło, swego czasu najbliższego współpracownika Raula de Luki, wysłałby po Marie Solay takich partaczy jak tamtych pięciu? Tristan załatwił czterech. Sam! Nieuzbrojony! Gdyby dostał porządne wskazówki, Stanley był pewien, że chłopak zdjąłby wszystkich. Zabójcy Pawła i Soni byliby skuteczniejsi. I raczej nie porywaliby ich córki, tylko po prostu ją zastrzelili z bezpiecznej odległości.

Kim był, do cholery, ten, z którym przyszło się im mierzyć? – Tak Blackwell bił się z myślami, wycierając ciało i włosy, naciągając spodnie i czystą koszulę. Ale był zbyt zmęczony, żeby teraz analizować wydarzenia ostatnich kilku godzin. Gdy Tristan wstanie i go zmieni, a on, Stanley, odeśpi morderczą dobę, wtedy obaj usiądą i zastanowią się, z kim mieli do czynienia na dworcu Montparnasse. Może van der Welt podrzuci im jakiś trop? Może dziewczyna coś zapamiętała?

Uchylił drzwi sypialni pogrążonej w mroku, rzucił okiem do środka, a widząc oboje – Tristana i Marie – pogrążonych we śnie, wrócił do kuchni. Kawa… przyda mu się mocna, aromatyczna kawa… Włączył elektryczny czajnik, usiadł ciężko na krześle i potarł twarz. Kilka godzin. Najwyżej pięć. Tyle może Tristanowi jeszcze dać, zanim padnie ze zmęczenia. Na razie niech chłopak wypoczywa. Dziewczyna też. Sporo ostatnio przeszła.

Właściwie przechodziła. Na drugą stronę ulicy. W dwóch susach dopadła przeciwległej kamienicy, skręciła w boczną uliczkę i ruszyła przed siebie, z trudem panując nad chęcią biegu. Spokojnie, tylko spokojnie! – napominała się, dochodząc do narożnika. Wyjrzała ostrożnie, zrobiła krok

naprzód i… pisnęła tylko, czując rękę, chwytającą ją za ramię. Druga dłoń natychmiast zakneblowała jej usta. Mężczyzna, który zaszedł Marie od tyłu, zagarnął ją ramieniem i uniósł na parę centymetrów w górę. Szarpnęła się całym ciałem. Próbowała ugryźć go w rękę, kopnąć w kolano, ale trzymał ją tak… jakby nie pierwszy raz miał do czynienia z porywaną dziewczyną. Potrząsnął nią i warknął:

– Uspokój się! Słyszysz, uspokój, głupia smarkulo, jeśli ci życie miłe!

Nie zamierzała poddać się bez walki. Szarpnęła się ponownie.

– Bo ci przywalę! – zagroził, nadal zaciskając dłoń na jej ustach, ale Marie, bliska obłędu ze strachu, wciąż miotała się w jego uścisku, próbując się wyswobodzić. Naraz z całej siły wbiła zęby w jego dłoń. Puścił ją gwałtownie, sycząc przekleństwa. Krew nie pociekła, ale bolało nieziemsko.

Marie wtuliła się we wnękę między ścianą a drzwiami. Nie próbowała uciekać, bo dogoniłby ją w mgnieniu oka. W mroku błyszczały tylko jej przerażone oczy. W spojrzeniu Stanleya, bo to on zdążył ją schwytać, była chęć mordu, ale opanował się i odezwał spokojnie:

– Jestem przyjacielem, dziecko. Twoja matka i ojciec powierzyli cię mojej opiece. W ostatniej chwili wyrwałem cię z łap tego, kto zlecił ich morderstwo.

Marie słuchała jego słów, nie ruszając się z kąta.

– D-dlaczego mam ci wierzyć? – wydusiła.

Wzruszył ramionami.

– Nie masz wyboru. W mieszkaniu byłaś bezpieczna. Tutaj lada moment zgłoszą się po ciebie ci, których nie chciałabyś w życiu oglądać. Chcesz się przekonać?

– Może… może jesteś jednym z nich?

– Nie jestem jednym z nich – uciął.

Nie zamierzał się jej tłumaczyć, nie zamierzał jej do siebie przekonywać. Uratował skórę tej dziewczynie i Tristanowi, to wystarczyło za wszelkie tłumaczenia.

– Wracamy do domu. Jeżeli będziesz próbowała wyciąć jakiś numer, jak Boga kocham, ogłuszę cię.

Wziął ją za ramię, wyciągnął z wnęki i pchnął przed sobą, wściekły bardziej chyba na siebie niż na nią. Gdyby nie wyjrzał przez okno i nie zobaczył, jak Marie przebiega przez ulicę… Zwiałaby mu! Jemu, Stanleyowi Blackwellowi!

Marie nie zamierzała tym razem protestować, wyrywać się, uciekać. On do tego nie dopuści. Nie po raz drugi. Pozwoliła wepchnąć się z powrotem do mieszkania. Przemknęła do sypialni, oglądając się za siebie tuż przed zamknięciem drzwi: potężny mężczyzna o przystojnej, surowej twarzy południowca nadal stał w korytarzu i patrzył na nią. W jego oczach nie było za grosz sympatii, jaką powinien mieć przyjaciel jej rodziców.

Cicho zamknęła za sobą drzwi.

Była całkowicie przytomna. Nie zmruży oka do rana, choćby próbowała.

Rozejrzała się po niewielkim pokoju. Ten drugi, który spał na podłodze obok łóżka, jęknął cicho przez sen. Ramię i głowę miał obandażowane. Bandaż na skroni przesiąkł krwią.

Dlaczego on jest ranny? – przemknęło dziewczynie przez myśl.

Przykucnęła przy nim. Twarz miał zwróconą w jej stronę. Był młodszy, niż się jej wydawało. Miał dwadzieścia dwa albo dwadzieścia trzy lata, nie więcej. Czarne włosy, nieco za długie jak na dzisiejszą modę, opadały na sperlone potem czoło. Zamknięte powieki drżały lekko w niespokojnym

śnie. Długie czarne rzęsy rzucały cień na pokryte lekkim zarostem policzki. Przez sen zrzucił z ramion koc, mogła więc zobaczyć, jak świetnie jest umięśniony. Niczym gladiator. Jemu też łatwo nie ucieknie…

Uciekać? Przecież jesteś wśród przyjaciół – prychnęła kpiąco w duchu. – Tak przed chwilą zapewniał cię tamten drugi. Szkoda, że tych przyjaciół przez całe swoje osiemnastoletnie życie na oczy nie widziałaś. I… – Jej źrenice nagle zogromniały. Na nocnej szafce leżał… pistolet. Potężny, czarny, groźny. Marie wstrzymała oddech, znów zdrętwiała ze strachu. Przyjaciel? Naprawdę?! Kto normalny śpi, mając broń w zasięgu ręki?!

Tata – odpowiedziała sobie i od razu łzy napłynęły jej do oczu na wspomnienie ojca… – Tata spał z bronią na szafce nocnej. A i tak go zabili.

Nagle jej wzrok padł na marynarkę wiszącą na oparciu krzesła. Zerkając na śpiącego chłopaka, podkradła się bliżej i ostrożnie zaczęła przeszukiwać kieszeń po kieszeni. W jednej trzymał portfel, ale pieniądze i dokumenty niewiele ją interesowały. Ona potrzebowała czegoś innego. Właśnie tego! Zacisnęła palce na telefonie, po czym przebiegła na drugą stronę łóżka, skuliła się w rogu pokoju i… zawahała się. Znała numer na pamięć. Tata kazał jej dotąd go powtarzać, aż mogła wyrecytować szereg cyfr obudzona w środku nocy. Nie miała pojęcia, do kogo należy, nigdy nie śmiałaby zadzwonić, żeby to sprawdzić – Paweł wbił to córce do głowy równie skutecznie: „Użyj go tylko w ostateczności. Może pomóc ci w rozpaczliwej sytuacji, ale może również ściągnąć na ciebie kłopoty”. Większych niż w tej chwili – gdy została uwięziona w nieznanym jej miejscu przez latynoskiego zbira, a drugi spał tuż obok – nigdy nie miała i mieć nie będzie.

Wystukała pospiesznie cyfra po cyfrze i… w kuchni, tam gdzie siedział latynoski zbir, rozległ się dźwięk telefonu. Marie spojrzała na swoją komórkę z niedowierzaniem. Drugi sygnał w jej telefonie i… dzwonek w

kuchni, przerwany w połowie, a potem męski głos, który poznała parę minut wcześniej, rzucający niezbyt przyjazne: „Halo?”.

Rozłączyła się natychmiast, cały czas patrząc w szoku na drzwi, zza których dochodził przed chwilą dźwięk dzwonka. On… ten Latynos… nie kłamał! Paweł dał swojej córce telefon właśnie do niego, gdyby kiedykolwiek potrzebowała pomocy! Nie było możliwości, żeby tamten ukradł telefon przyjacielowi rodziców i podszywał się pod niego, bo numer telefonu Marie znała od wielu lat. Niemal od zawsze!

A skoro tamten był po jej stronie, to ten tutaj, śpiący w jej pokoju – także!

Uniosła głowę, by na niego spojrzeć i… krzyknęła cicho. Leżał wsparty na łokciu i patrzył wprost na nią. Oczy, niemal czarne w mrocznym pokoju, zmrużył lekko, jakby nie był zbyt zadowolony z jej poczynań, ale na jego twarzy, bardzo przystojnej i męskiej twarzy, nie było złości. Po prostu czekał na wyjaśnienia, dlaczego ona dzwoni Bóg wie gdzie z jego telefonu.

– Ja… ja… – zaczęła Marie i machnęła ręką w niesprecyzowanym kierunku. – Musiałam… skorzystać z twojej komórki, bo… bo musiałam – dokończyła niezbyt szczęśliwie.

– Rozumiem – odezwał się, choć tak naprawdę niewiele wyjaśniła. – Do kogo dzwoniłaś?

Marie spuściła oczy. Nie chciała kłamać, ale nie wiedziała, czy może powiedzieć mu prawdę. „Nie ufaj nikomu” – powtarzał Paweł, a ona przekonała się na własnej skórze, że wiedział, co mówi.

– Do przyjaciela.

– Jesteś pewna, że to przyjaciel?

Wzruszyła ramionami i zmieniła temat:

– Jak masz na imię?

– Tristan. Ty nie musisz się przedstawiać. Gnałem na ratunek tobie, Marie Solay, przez pół świata.

– Naprawdę? – uniosła brwi w nieudawanym zdumieniu. – Jestem… nikim. Nikim ważnym.

– Dla tych, którzy kochali twoich rodziców, jesteś najważniejsza na świecie – odparł z naciskiem. – Zrobimy wszystko, byś trafiła w bezpieczne miejsce.

– To takie nie jest?

Rozejrzał się po pokoju rozjaśnionym przez wschodzące słońce.

– Prawdę mówiąc, nie wiem. Nie mam pojęcia, gdzie jesteśmy. Do tego mieszkania przywiózł nas Stanley. Nie zdążyłem sprawdzić tej klitki sam. Muszę mu wierzyć na słowo.

– Stanley? Potężny południowiec?

Rzucił jej pytające spojrzenie.

– Zdążyłam go poznać – wzruszyła ramionami w wieloznacznym geście. – Gdy tylko się obudziłam, próbowałam się wymknąć… Przecież nie mogłam wiedzieć, że jestem wśród przyjaciół. – Nadal nie jestem tego pewna, dodała w duchu. – On mnie zatrzymał i zaciągnął z powrotem do mieszkania. Nie sprawiał wrażenia zbyt przyjaznego.

– Jest zmęczony i rozdrażniony. Czuwał nad naszym bezpieczeństwem całą noc – Tristan poczuł się w obowiązku tłumaczyć człowieka, który uratował im obojgu życie. – Poza tym… – urwał, patrząc gdzieś za nią.

Marie podążyła spojrzeniem w tamtym kierunku i uniosła brwi, znów czując strach. Patrzył na pistolet, nadal leżący na nocnej szafce. Tristan przeniósł spojrzenie z broni na Marie. W oczach miał… zaskoczenie. Próbowała uciec i nie wzięła ze sobą tego, co w tej ucieczce na pewno by się przydało? Sięgnął po pistolet, sprawdził, czy jest zabezpieczony,

szczęknął zamek, magazynek odskoczył. Był pełen lśniących nabojów. Chłopak pewnym gestem wsunął magazynek na miejsce. Widać było, że z bronią potrafi się obchodzić więcej niż dobrze.

– Umiesz z niego korzystać? – rzucił pytanie.

Pokręciła głową, mimowolnie kuląc ramiona. Pistolet wywoływał w niej tylko lęk. Kilka dni temu przystawiono jej taki sam do czoła…

– Będziesz musiała się nauczyć – stwierdził, odkładając broń na bok. – Pierwsze, co zrobię, gdy znajdziemy się w bezpiecznym miejscu, to nauczę cię właśnie tego: skutecznej obrony. Może ci się uda…

– Ucieczka?

Spojrzał na jej śliczną, delikatną twarz o rysach doskonale regularnych, na pytające niebieskie oczy, okolone długimi rzęsami, na jasne, lśniące niczym jedwab włosy spływające aż do pasa w miękkich falach i… nie sprostował: „Może ci się uda przeżyć”. Nie potrafiłby zgasić nieśmiałego uśmiechu, jaki miała w oczach. Tamci to uczynią – był tego pewien. Oni nie odpuszczą. Na razie trzeba tej dziewczynie dać namiastkę spokoju i bezpieczeństwa. Tyle on, Tristan, potrafi i powinien dla niej uczynić.

– Ucieczka – przytaknął. – Nie jesteś już sama. Masz nas po swojej stronie.

Skinęła głową z mniejszym przekonaniem, niżby tego pragnął.

– Wolałabym mieć tylko ciebie – odpowiedziała z rozbrajającą szczerością. – Boję się tamtego drugiego. Jest podobny do tego… tego, który… – następne słowa uwięzły jej w krtani. Widok rodziców martwych, brutalnie zastrzelonych, leżących w kałuży krwi, powrócił, uderzył ponownie. Marie pochyliła głowę, by chłopak nie zobaczył łez, jakie wezbrały w jej oczach, ale łatwo było się ich domyślić. – Do tego, który

zabił moich rodziców – dokończyła, drżąc na całym ciele od wstrzymywanego płaczu.

Jednym ruchem przygarnął ją do siebie. Z urywanym szlochem wtuliła twarz w koszulę na jego piersi i pozwoliła płynąć łzom. Tristan nie próbował pocieszać dziewczyny, żadne słowa nie mogły ukoić bólu dziecka, które straciło matkę i ojca. On coś o tym wiedział. Po prostu przytulał Marie jedną ręką, a drugą gładził ją po włosach. To przyniosło jakąś pociechę. Nie była już sama. Mimo wszystko…

– Boję się go – wyszeptała, podnosząc na Tristana błyszczące od łez oczy.

– Stanley uratował życie i tobie, i mnie – odrzekł łagodnie. – Musisz mu zaufać. Nie masz obowiązku go lubić, ale powinnaś szanować. I słuchać.

W tym momencie Stanley otworzył drzwi sypialni i wszedł do środka. Tristan z Marie odsunęli się odruchowo od siebie. Blackwell nie zwrócił na nią uwagi, spojrzenie czarnych, bystrych oczu skupiając na Tristanie.

– Jak się czujesz, chłopcze?

– Bywało lepiej.

Stanley już miał rzucić złośliwą uwagę, że nie jest chyba tak źle, skoro Tristan ma siłę obłapiać się z dziewczyną, ale ugryzł się w język. Szanował tego chłopaka. Na takie komentarze zasługiwał byle pętak, na pewno nie Tristan Latimer.

– Trzeba ci zmienić opatrunek – powiedział zamiast tego. – Krew przesiąka przez bandaż. Chodź ze mną.

Tristan uniósł dłoń, dotknął skroni. Rana bolała, ale nie tak, jak ta na ramieniu. Prawdę mówiąc, musiał się pilnować, by nie jęczeć z bólu przy każdym niemal ruchu. Jeżeli to draśnięcie szybko nie zacznie się goić, będzie miał kłopoty. Wystarczy jedno potężne uderzenie w zaognioną ranę,

by stracił przytomność, a na to Tristan nie mógł sobie pozwolić. Był pewien, że to nie koniec walki o Marie. Że tak naprawdę cała zabawa dopiero się zaczyna. Pytanie brzmiało nie „czy zaatakują”, ale „kiedy”.

Wstał z klęczek, wypuszczając dłoń Marie ze swojej. Posłała mu żałosne spojrzenie.

– Hej, mała, nie zostawię cię samej – potargał jej włosy jak brat młodszej siostrze. Mimo wszystko uśmiechnęła się. On również.

Ma piękny, szczery uśmiech – pomyślała, odprowadzając go spojrzeniem do drzwi.

Gdy wyszedł, nagle coś sobie uświadomiła – on naprawdę stał po jej stronie, był przyjacielem. Wróg nie zostawiłby w zasięgu jej ręki wszystkiego, co cenne: portfela z dokumentami i pieniędzmi, telefonu i broni… Tej ostatniej na pewno nie.

# ROZDZIAŁ IX

Niewielki prywatny odrzutowiec dotknął kołami płyty lotniska. Wylądował łagodnie, bez wstrząsów, tak jak miał prawo życzyć sobie ten, kto płacił bajońską sumę za wynajęcie maszyny. Właśnie wstawał z fotela, podziękowawszy uprzednio stewardesie za przyjemny lot – ona rozpromieniła się w nieudawanym uśmiechu, bo tak niekłopotliwych gości mogłaby obsługiwać codziennie – dziękował kapitanowi i załodze i ruszał do wyjścia.

Cypr powitał go pogodą jak z obrazka.

Był wczesny ranek. Temperatura miała dopiero wzrosnąć do trzydziestu pięciu stopni, ale już teraz było rozkosznie ciepło. Wiatr od morza rozwiewał czarne, nieco za długie włosy mężczyzny. Osłonił od słońca oczy i nabrał do płuc pełen haust pachnącego słoną bryzą cypryjskiego powietrza. Pod powiekami poczuł łzy i zdziwił się tym wzruszeniem. Owszem, kochał to miejsce, owszem, tu był i zawsze będzie jego dom. Przeżył jednak w życiu tyle tragedii, że powrót do domu nie powinien go poruszać, a tu proszę…

– Daj spokój, stary – mruknął do siebie i zbiegł po schodkach lekkim krokiem, jakby znów miał trzydzieści lat.

Kilka chwil później, legitymując się jednym ze swoich licznych paszportów, wynajął samochód pasujący do jego charakteru i statusu: czarne sportowe audi – cabrio, oczywiście, bo w taką pogodę tylko ono dawało prawdziwą przyjemność z jazdy – i ruszył w kierunku Kyrenii.

Minął to miasto obwodnicą.

Jeszcze parędziesiąt kilometrów krętą nabrzeżną drogą, która nic się nie zmieniła przez ostatnie dwadzieścia lat, i oto skręcał w aleję, którą w poprzednim życiu przemierzał setki razy, a zawsze z taką samą radością w sercu. Na jej końcu czekał dom. VillaRosa…

Podjechał pod bramę.

Mur, który otaczał posiadłość, nieco zszarzał, nie wieńczyły go zasieki z drutu kolczastego, ale ochrona przy bramie czuwała. Umundurowany mężczyzna wyszedł przed wartownię.

– Jestem umówiony z właścicielką domu – odezwał się Raul, nim tamten o to zapytał. – Roger Latimer.

Ochroniarz kiwnął głową i zawrócił do wartowni. Chwilę później brama zaczęła się rozsuwać.

– Tą aleją do końca – odezwał się drugi ochroniarz.

Podziękował mu skinieniem ręki. Komu jak komu, ale Raulowi nie trzeba było wskazywać drogi.

Jechał wolno między szpalerami hibiskusa, kwitnącego wszystkimi odcieniami różu i karminu, i miał wrażenie, jakby się cofnął w czasie. Spoglądał na pióropusze palm, wyższych, niż zapamiętał, i czuł to samo wzruszenie co na lotnisku. VillaRosa… Nawet nie zdawał sobie sprawy, jak tęskni za tym miejscem…

Wreszcie za ostatnim łagodnym zakrętem ukazała się sama willa. Tak wspaniała, tak olśniewająca jak dwadzieścia lat temu. Śnieżnobiałe ściany kontrastowały z intensywnie błękitnym niebem. Wielkie okna, wychodzące na cztery strony świata, lśniły w słońcu. Za domem królował bezmiar Morza Śródziemnego o barwie nieporównywalnej z żadną inną: szmaragdowoszafirowej, połyskującej srebrzyście. Złoto piasku na plaży.

Soczysta zieleń palmowych liści. Płomienny szkarłat i fiolet bugenwilli pnących się po białych ścianach. Raul stał na podjeździe, sycąc oczy czystym pięknem tego kawałka raju, który kiedyś należał do niego…

– Dzień dobry – rozległo się naraz za jego plecami.

Odwrócił się niespiesznie.

Kobieta nie zaskoczyła go swym pojawieniem się. Mimo że stąpała lekko, słyszał jej kroki na marmurowych płytach chodnika. Zaskoczyła go za to jej uroda. Nie była podlotkiem, przeciwnie, miała trzydzieści dziewięć, może czterdzieści lat, ale to tylko dodawało jej uroku. Była szczupła i niewysoka. W drobnej twarzy błyszczały oczy niespotykanego koloru, złotomiodowe. Spodobały się Raulowi. Długie rzęsy również. Ale największym jej atutem były piękne, lśniące włosy barwy dogasającego ogniska, splecione w niedbały warkocz przerzucony przez ramię. I jeszcze kilka drobnych piegów na nieco zadartym nosie. I uśmiech, od którego i tak jasny dzień jeszcze pojaśniał. Dawno nie miał tuż przed sobą, na wyciągnięcie ręki kogoś, do kogo chciał się uśmiechnąć. I nie tylko.

– Dzień dobry, przepraszam za najście… – zaczął, ale przerwała mu:

– Pan Roger Latimer, prawda? Przecież zapowiedział pan swoją wizytę! To żadne najście! Lubię gości! Życie w samotni jest cudowne, ale czasem tęskni się za towarzystwem. Zapraszam do domu, tam jest nieco chłodniej.

Ruszyła przodem, a Raul nie mógł nie zauważyć jej uroczo zaokrąglonych kształtów i szczupłej talii, które podkreślała ładna, bezpretensjonalna sukienka w kolorze morza, zdobiona czarną lamówką.

– Ach! – odwróciła się na pięcie tak gwałtownie, że niemal na nią wpadł. – Tyle się nagadałam, a nie zdążyłam się przedstawić! Weronika Orvi jestem. – Wyciągnęła do Raula dłoń. Ujął ją i zapytał nieco zdziwiony w jej i swoim ojczystym języku:

– Jest pani Polką?

Teraz ona była zaskoczona. Ten mężczyzna, chyba najpiękniejszy, jakiego w życiu widziała, wyglądał raczej na Francuza, po angielsku również mówił z tym niesamowicie seksownym francuskim akcentem, a tu się okazuje…

– O rany… – westchnęła z głębi serca. – Nie tylko miły gość, ale jeszcze Polak. Za dużo szczęścia jak na jeden dzień. – Powiedziała to zupełnie poważnie, a on… nie mógł się nie roześmiać. Serdecznie, szczerze i… cholera, jeszcze bardziej seksownie. Jak bardzo, poczuła głęboko na dnie serca.

Spuściła wzrok, próbując przywołać się do porządku.

Weronisiu, taki mężczyzna ma piękną żonę, gromadkę dzieci i dom na przedmieściach Paryża – upomniała się w duchu. – Możesz do niego powzdychać, ale dopiero wtedy, gdy pożegna się i odjedzie, znikając z twojego życia na zawsze. Nie wcześniej, okej?

Przyglądał się lekko zmrużonymi oczami grze uczuć na jej twarzy – zupełnie nie potrafiła ich ukryć. Uśmiechnęła się, już nieco smutniej, a on zapragnął przywrócić światło w jej oczach, przegonić cień, który je nagle przygasił. Uniósł jej dłoń do ust, ucałował lekko i rzekł:

– Miałem nadzieję zostać tu nieco dłużej niż jeden dzień. Chyba nie wyrzuci pani za drzwi bezdomnego włóczęgi?

– Włóczęgi? Z takim samochodem?! – roześmiała się. Ślicznie, dziewczęco. Potem wyswobodziła dłoń, odwróciła się tak, że warkocz tylko śmignął w powietrzu, i wbiegła po schodkach, otwierając drzwi do domu zapraszającym gestem.

Oderwał od niej oczy, a gdy po chwili stanął na progu, zapomniał o całym świecie. Liczyła się tylko VillaRosa. Jego piękna, wypieszczona

własnymi rękami posiadłość, gdzie chwile szczęścia mieszały się z tragedią w równych mniej więcej proporcjach…

Mimowolnie wstrzymując oddech, wszedł do środka.

Zupełnie jakby czas się zatrzymał… Wykładziny, obicia, zasłony, rolety rzymskie – wszystko zostało wymienione na nowsze, tak, ale dobór kolorów i faktur był taki jak kiedyś. Jakby on sam nadal dbał o ten dom, jakby własnoręcznie go urządzał. Do sympatii, którą już czuł do Weroniki Orvi, doszła teraz wdzięczność.

Jadąc do VillaRosy, bał się że nowi właściciele przerobili jego ukochaną willę na nowoczesny, krzykliwy urban house w modnych kontrastowych barwach: czerń z fioletem, czerwień z zielenią, żółć z czernią. Do tego dużo chromu, szkła i miedzi. Chyba odwróciłby się na pięcie i odjechał tak szybko, jak tu dotarł. Na szczęście odnalazł swój raj utracony takim, jakim go pozostawił.

– Pokażę panu…

– Roger, po prostu Roger – wszedł jej w słowo.

– Nie wiem, czy do gościa wypada się zwracać po imieniu… – Zmarszczyła śmiesznie swój zadarty nosek, a on pospieszył z zapewnieniem:

– Wypada, a ja nalegam.

– Nooo dobrze – odparła z udanym ociąganiem i dodała, wskazując na siebie: – Weronika, po prostu Weronika.

– Bardzo mi miło, Weroniko.

Rzuciła mu krótkie, pytające spojrzenie. Chyba z niej nie kpi? Mogła wydawać się nieco… hmm… zbyt spontaniczna i bezpośrednia, ale taka właśnie była! Miała czteredziestkę na karku, lecz w głębi duszy pozostała trzpiotowatą dziewczynką, kochającą cały ten piękny świat. Mimo tragedii,

która dotknęła ją trzy lata temu, potrafiła nadal cieszyć się każdym dniem. Wspomnienie syna sprawiło, że posmutniała. Ale zaraz dzielnie spróbowała się uśmiechnąć, mimo łez, które rozbłysły w kącikach jej oczu.

– Jeżeli sprawiłem ci czymkolwiek przykrość, przepraszam – rzekł cicho Raul, widząc te łzy. Nie chciał, by ta urocza, pełna wewnętrznego światła kobieta cierpiała z jego powodu już pierwszego dnia ich znajomości.

– Nie, nie, to nie ty! Po prostu… wróciłam na chwilę do przeszłości. Ale obiecuję, że więcej tego nie zrobię.

– W jaki sposób? – znów zmrużył czarne jak antracyt oczy, w których błysnęła lekka kpina. – Nauczysz mnie, jak zapomnieć o tym, co jest częścią nas?

– Być tu i teraz! I czasem, ale niezbyt często, wybiegać myślami w przyszłość – odparła natychmiast z takim przekonaniem, że ponownie go rozbroiła.

– Okej, piękna rudowłosa Weroniko, dopóki cieszę się twoim towarzystwem, obiecuję być tu i teraz. Jeśli ty obiecasz… – zawiesił głos.

Ona otworzyła szeroko oczy, autentycznie zaciekawiona.

– Co obiecam? Co?

– Że zrobisz to samo. – Wyciągnął dłoń, ujął koniec jej warkocza i ułożył na ramieniu, gestem jednocześnie tak zwyczajnym i niezwykłym, że Weronika… znów musiała przywołać się do porządku.

– Tu i teraz – odezwała się stanowczym tonem. – I ty, i ja.

– Dokładnie.

– Deal! – Wyciągnęła dłoń w żartobliwym geście, domagając się przybicia „piątki”.

Raul, ku swemu zdumieniu, to właśnie zrobił. Chyba teraz on potrzebował szklanki zimnej wody…

Przeszedł za Weroniką do kuchni i wyszeptał, nie zdając sobie sprawy, że mówi na głos:

– Nic się tutaj nie zmieniło…

Kobieta rzuciła mu przez ramię zaciekawione spojrzenie.

– Byłeś już w VillaRosie?

Oprzytomniał gwałtownie.

– Tak – odparł z wahaniem. – Spędziłem w tym domu jakiś czas.

– Jest piękny, prawda? Uwielbiam go, choć nie myślałam, że kiedykolwiek się do tego przyznam. Kupiłam VillaRosę trzy lata temu, na raty oczywiście, bo tania nie była. Odremontowałam, bo doprowadzono ją do ruiny niemalże – poprzedni właściciel chyba Boga w sercu nie miał, by tak zaniedbać tę wspaniałą posiadłość – i oto mieszkam sobie, taka ja, zwykła Weronika Orvi, dawniej Orłowska, w najpiękniejszym miejscu na Ziemi. I czasem tylko się zastanawiam, kiedy ten sen się skończy. Kto mnie z tego raju wypędzi. Los jest zazdrosny. Nie lubi patrzeć na szczęśliwych ludzi. A ja jestem tutaj szczęśliwa – dokończyła z nieco zawstydzonym tak egzaltowanymi słowami uśmiechem.

Raul… milczał. Jak po takiej deklaracji powiedzieć tej kobiecie, że dom został sprzedany niezgodnie z prawem, bo nadal należy do Raula de Luki? Który właśnie przed nią stoi? I jest tu między innymi po to, by odzyskać swoją własność? Nie. Tego nie mógł jej zrobić. Może później, w stosowniejszej chwili, ale dziś… w ten piękny, słoneczny poranek… niech pozostanie szczęśliwa.

– Czego się napijesz? Nie mam zbyt wielkiego wyboru alkoholu, bo sama nie piję, ale to, co trzymam dla gości, jest naprawdę przednie. Tak

przynajmniej zapewniają. – Znów ten śmiech. Taki od serca. Po prostu radosny. Raul przyznał w duchu, że jest coraz bardziej oczarowany tą kobietą. A może po prostu za długo był sam na teksańskiej prerii?

– Poproszę to, co ty. Ja również nie przepadam za alkoholem. Nie o tej porze.

Postawiła przed nim szklankę wody mineralnej z dwiema kostkami lodu, ze swojej upiła łyczek i odezwała się, spoglądając nań znad szklanki swymi niezwykłymi oczami:

– Przed przyjazdem pytałeś w mailu, czy wynajmuję w VillaRosie pokoje. Otóż czasami tak, bo parę groszy zawsze się przyda. Wbrew pozorom – zatoczyła ręką krąg – bywa ciężko. Ale gości dobieram bardzo starannie. Nie zrozum mnie źle, nie jestem snobką, ale nie chcę dzielić domu, i poniekąd życia, z każdym, kto zaloguje się na portalu turystycznym i kogo będzie stać na wynajęcie tutaj pokoju.

Przechylił lekko głowę i unosząc kącik ust w nieco kpiącym uśmiechu, zapytał:

– Mnie wynajmiesz? Obiecuję nie sprawiać kłopotów i nie rzucać się domownikom specjalnie w oczy.

– Jedynego domownika masz przed sobą. – Wskazała na siebie palcem.

Nie uszło jego uwagi, że znów posmutniała. Ale zaraz zrobiła dokładnie to, co on – przechyliła głowę, otaksowała go spojrzeniem od stóp do głów i odparła pół żartem, pół serio:

– Podobasz mi się. Możesz zostać. Do czasu, gdy przestaniesz mi się podobać.

W następnej chwili pacnęła się ręką w czoło:

– Boże, ja i ten mój niewyparzony język… Wybacz, nie miałam na myśli niczego dwuznacznego. Podobasz mi się jako gość, nie mężczyzna.

To znaczy… – Zaśmiała się, zmieszana, pokręciła głową. – Może lepiej zostawię ten temat. Co do gości: są wspaniali, uwielbiam ich, ale po jakimś czasie chce się mieć swój dom tylko dla siebie…

Stanęli na tarasie, z którego roztaczał się niemożliwie piękny widok na złotą plażę ocienioną palmami i bezkres lśniącego w promieniach słońca morza. Raul, zapatrzony przed siebie, odrzekł:

– Nie musisz się tłumaczyć. Rozumiem to. Gdy miałem szczęście mieszkać w VillaRosie, również nie przepadałem za gośćmi. Taki raj chce się dzielić tylko z kimś, kogo się kocha – dokończył, zdumiony, że jest tak szczery z kobietą poznaną dopiero co. Ale przy Weronice chciał taki właśnie być: prawdziwy.

– Chyba więc zrobimy następny deal. Ja zajmuję najwyższe piętro. Reszta pokojów jest pusta. Wybierz sobie ten, który ci się spodoba, rozpakuj się, rozgość… W ogóle czuj się jak u siebie. Ja wracam do pracy.

– Pracujesz w domu czy w mieście?

– W domu. Jestem pisarką – uśmiechnęła się trochę z dumną, a trochę nieśmiało.

– Pisarką? – udał zaskoczenie. Nie musiała wiedzieć, że przed przyjazdem dokładnie ją sprawdził i znał odpowiedzi na wszystkie pytania, jakie jej do tej pory zadał. – To wspaniały zawód. A miejsce wymarzone, by pisać… no właśnie, co? Romanse? Kryminały? Thrillery?

– Powieści o życiu. O kobietach i mężczyznach… Miłości i nienawiści… Szczęściu i rozpaczy… O wszystkim, co mi w duszy gra.

– Muszę przeczytać.

– To powieści raczej dla kobiet. Chyba ci się nie spodobają… – odparła. – Poza tym… za dużo jest w nich autorki – wskazała na siebie.

– To chyba dobrze? Przynajmniej piszesz szczerze.

Wzruszyła ramionami, a on domyślił się reszty: wiedza daje władzę. Ten, kto pozna Weronikę taką, jaką ukryła w swoich książkach, będzie miał ją w garści. Zaciśnie ją i… Podszedł do niej, wsunął za ucho kosmyk ognistych włosów, a gdy zdziwiona tym gestem podniosła nań oczy, rzekł miękko:

– Mnie nie musisz się obawiać…

Rozchyliła lekko usta, by coś odpowiedzieć, a on poczuł, jak bardzo chciałby ich posmakować.

– …a może jednak powinnaś? – dokończył.

– Chyba powinnam. Jeśli nie ciebie, to twojej żony. Jest pewnie nieziemsko zazdrosna.

– Nie mam żony – odparł krótko.

Nie mam, ale miałbym, gdybym nie musiał ukrywać się przez niemal pół życia jak ścigane zwierzę… RoseMarie, Sonia… Jedna z tych dwóch cudownych kobiet była mi przeznaczona, ale straciłem obie. W imię czego? Walki z wiatrakami? Bo mimo mojego poświęcenia Złoty Pył i tak zalał świat.

Weronika patrzyła nieco zmieszana na milczącego mężczyznę – na jego przystojną, gładko ogoloną twarz, ściągniętą teraz bólem, na czarne oczy, które zalśniły przez chwilę od słońca, a może od łez? – i zapragnęła przytulić go tak po prostu, ze zwyczajnego współczucia. Ona sama wiele w życiu przeszła. Omal jej trzy lata temu nie złamano, ale podniosła się po tragedii, odzyskała spokój. Tylko dzięki VillaRosie. Może… może on, Roger Latimer, też odnajdzie tu to, co stracił.

Nie zdawała sobie sprawy, jak bliska jest prawdy.

On milczał długą chwilę, zatopiony we własnych myślach, nagle – nie do końca świadom tego, co robi – uczynił krok do przodu i już był blisko

niej, tak blisko, że gdyby uniosła dłoń, poczułaby pod nią bicie jego serca. Ujął cienki troczek sukienki, który zsunął się z jej ramienia, przesunął go na miejsce, czując pod palcami ciepło i gładkość jej skóry, i powtórzył tym swoim niskim, zmysłowym głosem:

– Nie mam żony. Od wielu lat jestem sam. I… – zawiesił głos, patrząc w jej szeroko otwarte, złociste oczy. Mam chęć się z tobą kochać, Weroniko – dokończył w duchu, po czym cofnął dłoń i rzekł na głos: – Chyba jednak skuszę się na szklaneczkę czegoś mocniejszego od wody mineralnej.

Tak, alkohol zamiast pięknej kobiety. Ty, de Luca, naprawdę masz pomysły… – pomyślał.

Nie odezwała się ani słowem, choć wiedział, że i ona go pragnie. Po prostu westchnęła, jak obudzona ze snu, uśmiechnęła się, może trochę smutno, odwróciła na pięcie i ruszyła do kuchni, by poczęstować gościa szkocką albo żubrówką, czego tam sobie Roger Latimer zażyczy. Przez wiele lat samotności nauczyła się opanowywać pragnienia. Właśnie tak: jedno leciutkie westchnienie, odrobina rozczarowania i smutku, że to był tylko piękny sen, i powrót do rzeczywistości.

Raul mógł choć na kilka mocniejszych uderzeń serca ukoić jej dojmującą tęsknotę, oczywiście, ale zostawiłby ją w jeszcze większym żalu. Nie zamierzał dla paru chwil przyjemności krzywdzić następnej kobiety. Przyjął od niej szklankę whisky, wrzucił kilka kostek lodu i mijając Weronikę stojącą pośrodku kuchni, mruknął:

– Znajdę jakiś pokój dla siebie.

Odprowadziła go smutnym spojrzeniem.

*

– Długo będziemy tu siedzieć? – zapytała Marie, gdy tylko Tristan wrócił do sypialni ze świeżo zabandażowaną głową.

Wzruszył ramionami.

– Czekamy.

– Na co?

Nie potrafił odpowiedzieć na to pytanie. Stanley też nie. To Raul tu dowodził, a on odebrał informację, że Marie jest z nimi, bezpieczna, i więcej się nie odezwał. Tristan przypuszczał, że ojciec jest już w VillaRosie, ale… po co wrócił na Cypr? Co chciał tam odnaleźć? Kogo spotkać? W jakim celu? Tego chłopak nawet nie próbował się domyślić. Wiedział jedno: wcale mu się to nie podoba. Zupełnie jakby Raul wieszał sobie na szyi tarczę strzelniczą. Czy nie byłby bezpieczniejszy w takim Paryżu?

– Stanley też tego nie wie? – Marie przerwała przedłużającą się ciszę.

Pokręcił głową.

– Nie on wydaje rozkazy.

– A kto?

Spojrzał na nią. Pytała z czystej ciekawości czy z nudów – nie miało to znaczenia. Ale czy on jej odpowie, czy nie, owszem.

– Im mniej wiesz, tym mniej zdradzisz – mruknął, odwracając wzrok.

Zabolało. Przyjaciele sobie ufają!

Usiadła na łóżku, splatając ręce na piersiach. Choć nie miała pewnie takiego zamiaru, wprost przeciwnie! wyglądała jak naburmuszone dziecko.

– Oni nie odpuszczą, Marie – zaczął Tristan pojednawczym tonem. – Będą cię ścigać do końca. A gdy cię dorwą, spróbują wydobyć wszystkie informacje, jakie posiadasz. Im mniej więc wiesz, tym krócej będą się nad tobą znęcać.

Objęła się ramionami silniej, jak gdyby temperatura w pokoju spadła do zera.

– Przecież… przecież mówiłeś, że obaj jesteście po mojej stronie. Że będziecie mnie bronić – wyszeptała, spoglądając na niego zogromniałymi ze strachu oczami.

– Bo będziemy – uciął stanowczo.

– Co nie znaczy, że wam się uda?

– Właśnie tak. Wczoraj mieliśmy farta, wszyscy troje. Stanley zdążył w ostatniej chwili. Sekundę później ja skończyłbym z kulą w głowie, a ty… wolę się nie domyślać. Następnym razem możemy nie mieć tyle szczęścia i zanim ktoś przybędzie z pomocą…

Przerwało mu pukanie do drzwi. Stanley stanął na progu sypialni.

– Przypilnuj naszej księżniczki, ja wychodzę na miasto. Posłucham, co ludzie gadają. Bardzo jestem ciekaw, kto na nią poluje… – Spojrzał na Marie takim wzrokiem, jakby ona sama zleciła zamach na siebie i swoich rodziców. Nie lubił jej, to pewne, ale dlaczego? Za próbę ucieczki? Być może…

Stłumiła westchnienie.

Tamten odwrócił się i wyszedł.

Tristan usiadł na łóżku, otworzył laptop, z którym przyleciał do Paryża, i rzekł do dziewczyny:

– Zajmij się czymś. Ja też muszę popracować.

Skinęła głową i przeszła do kuchni, gdzie na ścianie wisiał telewizor. Włączyła go i zapatrzyła się bezmyślnie w migający ekran…

Parę minut później wzrok się jej wyostrzył, po znudzeniu nie zostało ani śladu. Pokazywali zdjęcia z dworca Montparnasse. Krew, mnóstwo krwi, pięć trupów w czarnych workach… Policja nie wiedziała, kto stoi za tą masakrą. Zniknął, zanim dotarły pierwsze radiowozy. Nagrania z kamer, których na dworcu i w okolicach było pełno, „nie dały odpowiedzi”.

Marie patrzyła na to wszystko ze wstrzymanym oddechem, a potem spojrzała na drzwi sypialni, za którymi siedział niewinnie wyglądający chłopak, niewiele od niej starszy, klikając w klawiaturę laptopa. Z nieodłącznym pistoletem w zasięgu ręki.

Ona wiedziała, kto i dlaczego zabił tamtych. I czuła do tego kogoś wdzięczność, owszem, ale i respekt…

Tristan wyglądał nie najlepiej. Od paru godzin miał gorączkę, coraz wyższą – dziewczyna widziała to po jego rozpalonej twarzy i dreszczach, jakie wstrząsały całym jego ciałem. Godzinę temu położył się, szepcząc, że jest mu zimno. Okryła go kołdrą, patrząc nań z niepokojem i troską, ale on i tak zaczął szczękać zębami. Gorączka rosła. Może wybiegłaby do najbliższego sklepu i kupiła choć głupi paracetamol, ale gdy tylko o tym napomknęła, chwycił ją za rękę i nie puścił. Był półprzytomny, a nadal troszczył się tylko o nią.

– Wróci Stanley, przyniesie lekarstwa – powtarzał, patrząc z wyczekiwaniem na drzwi.

Obie rany – ta na ramieniu i ta na skroni – zaogniły się i rwały coraz bardziej. Do gorączki doszedł ból. Marie kilkakrotnie sięgała po telefon – znała przecież numer do Blackwella, ale… po chwili odkładała komórkę. Bała się tego mężczyzny i koniec.

Gdy w końcu doczekali się jego powrotu, okazało się, że sam jest w nie lepszym stanie. Po którymś z kolei nieprzespanym dniu wyglądał jak zombi poruszający się jedynie siłą woli. Poszarzały na twarzy, z przygarbionymi ramionami, nie był nawet cieniem bezwzględnego zabójcy, który pomógł Tristanowi w odbiciu Marie.

– Kupiłem paracetamol i antybiotyk – rzucił na stół dwa opakowania. – Podasz je Tristanowi?

Marie pospiesznie skinęła głową.

– Ma wysoką gorączkę. Chyba zaczął majaczyć. I bardzo go boli.

– To mu pomoże. Bądź przy nim – przykazał dziewczynie surowo.

Przytaknęła po raz drugi. Nie musiał wiedzieć, że ona czeka tylko na jego powrót, by spróbować powtórnie wymknąć się z domu. Nie po to, by uciekać – nie była taka głupia, już zrozumiała, że tych dwóch mężczyzn ma po swojej stronie i przy nich jest bezpieczna na tyle, na ile to możliwe – ale musiała, po prostu musiała odebrać to, co zostawił dla niej ojciec.

Ją też ogarnęła gorączka, która rosła z każdą godziną oczekiwania: dostać się na dworzec Montparnasse, otworzyć skrytkę, zabrać depozyt – tylko o tym myślała, gdy wracała do sypialni, podawała lekarstwa Tristanowi, patrzyła, jak zasypia, i wreszcie czekała, cierpliwie, bardzo cierpliwie, aż tego drugiego, Stanleya, też w końcu zmorzy sen. Bo to, że zaczynał przysypiać nad kubkiem niedopitej kawy, już zauważyła. Jak gdyby nigdy nic przeszła parę razy do łazienki, zaglądając po drodze do kuchni. Już poprzednio Blackwell oparł głowę na splecionych ramionach. Gdy pięć dłużących się minut później znów tam zajrzała, jej cerber spał, pochrapując cicho.

Marie uśmiechnęła się do siebie z triumfem. Straszył ją biciem? To teraz zobaczy! Zaraz jednak zganiła się w duchu: „Nie uciekasz, żeby jemu zrobić na złość, idiotko! Odbierzesz depozyt i tu wrócisz!”.

Przemknęła z powrotem do sypialni po kurtkę i plecak. Przeszła na drugą stronę łóżka, spojrzała na Tristana, zmorzonego gorączką, krew na bandażu, odwiedzione ramię, które musiało go wciąż boleć, i poczuła wyrzuty sumienia. Został ranny przez nią. To ją ratował z narażeniem życia. A ona jak się mu odwdzięcza? Wymykając się bez słowa z domu, mimo że prosił ją – ale nie groził – jak przyjaciel, by tego nie robiła.

– Muszę – szepnęła, czując się okropnie, po czym wyjęła z portfela kawałek kartki, nagryzmoliła pospiesznie parę słów i już miała ruszać do wyjścia, gdy jej wzrok padł na przedmiot leżący jak poprzednio na nocnej szafce. Pistolet. Mógł się Marie przydać. Ale i tak nie potrafiłaby go użyć…

Westchnęła, żegnając spojrzeniem lśniącą czernią broń i jej właściciela, po czym wyszła z sypialni, cicho zamykając za sobą drzwi. Musi załatwić ważną sprawę. Wróci za godzinę – tak napisała na karteczce, którą zostawiła tuż obok broni. Żeby dotrzymać słowa, musiała się pospieszyć!

Więcej doskonałej jakości ebooków szukaj na: www.eBook4me.pl

# ROZDZIAŁ X

Szła szybkim krokiem, by nie wzbudzać podejrzeń nielicznych przechodniów, jak najdalej od mieszkania, z którego przed chwilą się wymknęła. Nagle… jej wzrok padł na kamerę zainstalowaną pośrodku skrzyżowania.

I już wiedziała, w jaki sposób ją wytropiono.

Skręciła gwałtownie w niewielką uliczkę, potem raz jeszcze… Kluczyła przez parę minut przez coraz ciaśniejsze zaułki, by w końcu skryć się za śmietnikiem. Nie miała pomysłu, jak zniknąć w mieście dwadzieścia cztery godziny na dobę monitorowanym przez gęstą sieć kamer. Wiedziała jedno: musi jak najszybciej odebrać depozyt z dworca Montparnasse. Była pewna, że jest tam coś ważnego. Coś, co ojciec ukrył właśnie na taki wypadek, gdyby Marie została sama i musiała uciekać. Mogła się tylko domyślać, że są tam pieniądze, może broń…? Nie chciała o tym myśleć. Musi się skupić na tym, co tu i teraz.

Nadal klucząc niczym królik, zbliżała się do miejsca, gdzie już raz skutecznie na nią zapolowano. Tym razem będzie ostrożniejsza. Tym razem nie da się złapać…

Z zarzuconym na głowę kapturem kurtki i przygarbionymi ramionami sama sobie wydała się młodocianą narkomanką, których parę zdążyła po drodze minąć. W swej naiwności sądziła, że kamuflaż jest wystarczający, a

ci, co chcieli ją dorwać, w wychudzonej, powłóczącej nogami, zakapturzonej postaci nie rozpoznają dawnej Marie.

Nie wiedziała jednak, z kim ma do czynienia…

Człowiek Bez Twarzy sprzątnięcie dziewczyny sprzed nosa i wykoszenie piątki swoich ludzi przyjął jako osobistą zniewagę. Jak policzek wymierzony mu przez… no właśnie, nie bardzo wiedział, przez kogo. Nagrania z kamer, ku ogromnej konsternacji służb, które również próbowały się tego dowiedzieć, zostały wyczyszczone. Definitywnie. Już samo włamanie do miejskiego systemu monitoringu było co najmniej niepokojące. Skasowanie danych graniczyło z cyberterroryzmem. Służby nie miały nagrań – nie miał ich więc Człowiek Bez Twarzy. Ale dzięki temu coś zrozumiał: to była robota kogoś naprawdę mocnego. A jeśli tak, to ta dziewczyna była cenna. Bezcenna. Tym bardziej należało się nią zainteresować. Ten ktoś, kto włamywał się do systemu bezpieczeństwa miasta-fortecy, jakim w dzisiejszych czasach jest Paryż, zapłaci za tę dziwkę każdą cenę.

Cojon przez kilka pierwszych kwadransów po tym, jak dziewczynę sprzątnięto mu sprzed nosa, a przy okazji i jego pięciu ludzi, miotał się po apartamencie, tłukąc o ścianę szkło i własne zdeformowane pięści. Skóra na nich była tak pokryta bliznami, że nie czuł bólu, chociaż na białych ścianach pokazała się krew. Ale krew, nawet własna, dobrze na Człowieka Bez Twarzy działała. Uspokoił się, przynajmniej pozornie, i warknął do interkomu, żeby przyprowadzili mu młodą, nietkniętą jeszcze dziwkę. Jego ludzie byli szybcy i znali się na swojej robocie. Prywatny harem Cojona był zawsze gotów na jego rozkazy. W ciągu kilku minut dostarczono mu pod drzwi związaną i zakneblowaną dziewczynę. Masakrował ją przez ładnych kilka godzin…

Gdy skończył, narzucił na nagie, pokrwawione ciało swoje powłóczyste szaty i przeszedł do gabinetu.

Stanął przed mapą Paryża i zamyślił się… Wiedział już, kim jest Marie Solay. Wpadł na to w momencie, gdy ze szpitalnych archiwów wypłynęło jej nazwisko. Po strzelaninie, w której zginęli jej rodzice, ranną przewieziono do szpitala, ale ona zwiała zaraz po opatrzeniu ran.

Przez tydzień siedziała zaszyta w norze, w podłej dzielnicy Paryża, po czym wyskoczyła z niej niczym królik magika i pojawiła się na dworcu, prawdopodobnie próbując wyjechać z miasta. A jeśli nie…? Paweł Solay, dawniej Paweł Rodło, był prawą ręką nie byle kogo… Na pewno poinstruował córkę, co ma zrobić w takiej sytuacji, w jakiej się właśnie znalazła.

– Coś tam dla niej zostawiłeś! – olśniło Cojona.

I już wiedział, co robić.

Ponownie podszedł do interkomu i swoim metalicznym, nieprzyjemnym głosem rzucił rozkaz. Jego człowiek zjawił się niemal natychmiast. Stanął w drzwiach ciemnego pokoju, widząc na tle okna tylko zarys sylwetki spowitej w szaty, nic więcej.

– Będziecie obserwować dworcowe skrytki. Ta dziewczyna wróci. Tym razem chcę ją dorwać.

*

Nad VillaRosą zapadła ciepła, cypryjska noc. Raul, który przespał cały dzień, wstał i wyszedł na taras. Oparł ręce na balustradzie i zapatrzył się w morze lśniące miriadami srebrzystych refleksów. Noc była jasna. Księżyc odbijał się w morskiej toni, gwiazdy świeciły tuż na głową – wyciągniesz rękę i oto masz jedną z nich. Wziął głęboki oddech, powietrze pachniało

jeszcze rozgrzanym piaskiem, morską bryzą i kwiatami, w których willa tonęła. Cykady już rozpoczęły nocny koncert.

Był szczęśliwy. W tej właśnie chwili na tarasie swego domu był szczęśliwy. W następnej przypomni sobie, z jakiego powodu tu jest, i czar pryśnie, ale ta chwila dopiero nadejdzie…

Pogładził balustradę dłonią. Lata temu kładła na niej ręce Sonia, bo to jej pokój wybrał ze wszystkich, jakie miał do dyspozycji. Ale w nim czuł się tak, jakby ona za chwilę miała stanąć w drzwiach, spojrzeć na niego ze swym słodkim, nieśmiałym uśmiechem, podbiec na palcach do łóżka i… W sercu poczuł bezmierny żal. Poczucie szczęścia zniknęło, chociaż noc pozostała tak piękna jak przed sekundą.

Raul wrócił do pokoju. Nałożył czarne spodnie i białą koszulę z krótkimi rękawami. Przeczesał dłońmi włosy, których niesforne kosmyki spadały mu na oczy. Chwilę później wychodził z domu, kierując się ku plaży. Piasek był nadal ciepły. Morze jeszcze cieplejsze. Z radością dziecka wszedł po kostki do wody i ruszył w kierunku klifów. VillaRosa nocą miała szczególny urok…

Skały rosły. Wspomnienia wracały. Wszedł na ścieżkę, która pięła się w górę, na szczyt stromego urwiska. To tutaj prawie dwadzieścia lat temu szukał Soni, gdy próbowała uciec. To tutaj dziś, tuż nad brzegiem przepaści, siedziała, opierając brodę na podwiniętych kolanach i obejmując je ramionami, smutna rudowłosa, złotooka kobieta. Weronika.

W pierwszym odruchu chciał uszanować jej smutek i wycofać się, dopóki go nie zauważyła, ale ona spojrzała nań i poklepała skałę obok siebie, zachęcając Raula, by usiadł. Uczynił to bez wahania. Od pierwszej chwili polubił tę kobietę. Był pewien, że z wzajemnością. Jej towarzystwo było mu miłe, a jeśli i ona go potrzebowała…

– Nie smuć się. – Szturchnął ją żartobliwie w ramię.

– Noce bywają ciężkie. Szczególnie tak piękne jak ta – odparła po prostu.

Nie bardzo wiedział, czy mówi o samotności w pustym domu, czy powraca wspomnieniami do przeszłości, ale nim zdążył się odezwać, odpowiedziała na niezadane pytanie:

– W taką noc zginął mój syn – dodała. Więc jednak. Wspomnienia.

Nie zapytał, w jaki sposób straciła dziecko. Nie zapytał, niczym domorosły psycholog, czy chce o tym porozmawiać. Za to odnalazł jej dłoń i uścisnął. Długie chwile siedzieli w milczeniu, patrząc na rozkołysane morze i świetlistą ścieżkę, którą księżyc rozpostarł na wodzie.

– Zabiła go mafia – odezwała się nagle. – Za pieniądze ze spadku po ojcu, moim byłym mężu, kupił małą kafejkę na Starówce w Gdańsku. Prowadził ją niecały rok. Wiem, że kochał tę swoją restauracyjkę. Mówił o niej z taką dumą. Jak o nowo narodzonym dziecku… Gdy przyszli, proponując „dodatkową ochronę”, pogonił ich. Ale nie odpuścili. Nękali go coraz częściej. Szykanowali, wybijali szyby… Stracił klientów, ale nadal nie zamierzał się poddać. Zbuntował innych restauratorów. Przestali płacić haracz. Pewnego ranka, trzy lata temu, znaleźli mojego synka na stopniach jego kawiarni. Został brutalnie zamordowany. Odcięta głowa leżała obok ciała. Na bruku. Tak to było. – Podniosła na Raula nieskończenie smutne oczy. Błyszczały od łez jak gwiazdy w morskiej toni.

Uniósł jej zimną dłoń do ust i ucałował.

– Ty też kogoś straciłeś, prawda? Wróciłeś tu po wspomnienia?

Przytaknął i zapatrzył się w morze…

– Ponad dwadzieścia lat temu porwano moją pierwszą miłość. RoseMarie. Torturowano ją, przysyłano mi filmy i zdjęcia z tych tortur, by

na koniec odesłać jej okaleczone zwłoki. – Teraz to Weronika zaciskała palce na jego dłoni. – Niedawno zastrzelili dwoje najbliższych mi ludzi. Tak… ja też kogoś straciłem…

Zapadło milczenie. Nic więcej nie trzeba było dodawać. Oboje cierpieli tak samo, ale po raz pierwszy od niepamiętnych czasów ktoś rozumiał i podzielał to cierpienie. Weronika spojrzała na niego pełnymi łez oczami.

– Dziękuję, że jesteś tu dzisiaj ze mną – powiedziała cicho głosem, który łamał serce.

Starł wierzchem dłoni wilgoć z jej policzków. Dotknął pytająco kciukiem jej ust. Ucałowała opuszkę jego palca i szepnęła:

– Wybacz mi, ale nie mogę. Bardzo łatwo mogłabym się w tobie zakochać, naprawdę. Ale ty znikniesz tak nagle, jak się pojawiłeś, a ja znów zostanę sama. Nie chcę cierpieć bardziej niż przed poznaniem ciebie.

Nic nie mógł na to odpowiedzieć, miała rację. Nawet jeśli jemu uda się przeżyć polowanie, będzie chciał odzyskać ten dom. A to złamie jej serce bardziej niż jego odejście. Był tego pewien.

Przygarnął ją ramieniem. Z wdzięcznością, że on nie chce niczego więcej, pozwoliła się przytulić.

– Muszę dorwać tych, którzy zamordowali mi przyjaciół, nim zrobią to samo z ich córką – odezwał się półgłosem. – Ona ma tylko osiemnaście lat…

– Jak mogę pomóc? – zapytała Weronika bez chwili zastanowienia. – Bo nie mówisz mi tego bez powodu, prawda?

– Tak. Nie mówię bez powodu… I rzeczywiście możesz się okazać bardzo pomocna.

Wysunęła się delikatnie z jego objęć i spojrzała nań z wyczekiwaniem. Zawahał się przez mgnienie oka, po czym rzekł:

– Raul de Luca. Mówi ci to coś?

Zaśmiała się krótko. Nie był to przyjemny śmiech.

– Czy mi coś to mówi? Oczywiście! O Raulu de Luce krążą w okolicy legendy, niech mu ziemia ciężką będzie! Był *capo di tutti capi* cypryjskiej, i nie tylko cypryjskiej, mafii. Miał swoje interesy również w Polsce. A dokładnie w Gdańsku. VillaRosa należała kiedyś do niego. Uwielbiał to miejsce, jeśli wierzyć miejscowym, i chyba właśnie dlatego je kupiłam. By odebrać jednemu z tych, którzy zamordowali mi dziecko, coś, co kiedyś kochał. To on zabił twoich przyjaciół?

Pokręcił głową.

– To ja jestem Raul de Luca.

Cofnęła się gwałtownie, jakby strzelił ją w twarz.

„Ja jestem Raul de Luca”… Gdyby powiedział, że jest potomkiem Hitlera, mniej by ją chyba zszokował. Morderca jej dziecka… siedzi oto na wyciągnięcie ręki… i patrzy prosto w oczy jej, matce, pogrążonej w rozpaczy…

– Nie wierzę – wyszeptała, kręcąc głową. – Los nie może być tak okrutny. Tak złośliwy. Przecież ty nie żyjesz! Zastrzelił cię twój brat! Tu, w tym domu!

– Mój brat nigdy nie był królem strzelców – odparł Raul. – Chybił. O włos, ale chybił.

– Żałuję… Zasługujesz na śmierć – wydusiła. O romantycznym nastroju i wzajemnym pocieszaniu się nie było już mowy. Gdyby mogła – gdyby on na to pozwolił – zepchnęłaby go w tej chwili ze skał.

Zerwała się na równe nogi, nie mogąc ani chwili dłużej znieść jego towarzystwa. Chciała odejść, zniknąć. Pobiec do domu, chwycić torebkę, wsiąść do samochodu i wyjechać. Dokądkolwiek. Byle nie zostać pod

jednym dachem z kimś, kto odpowiadał za śmierć jej syna. Okrutną śmierć. Och, nieee, Raul de Luca nie zamordował Tomka osobiście. Bossowie mafii nie parają się przecież brudną robotą! On tylko wydał polecenie, które zostało gorliwie wykonane!

– Obwiniasz nie tego, kogo powinnaś – odezwał się, również wstając. – Pobieranie haraczu od restauratorów nigdy mnie nie interesowało.

– Nie! Oczywiście, że nie! Ty ich tylko mordowałeś! Haracz pobierali twoi ludzie! Nie zbliżaj się do mnie, morderco! – krzyknęła, gdy zrobił krok w jej stronę. – Nie wiem, po co tu jesteś, i nie obchodzi mnie to! Możesz mnie zabić, teraz, w tej chwili! Zepchniesz mnie z klifu, będzie wyglądało na wypadek, o tym myślałeś, przychodząc tutaj? Zrób to! Nie boję się śmierci! Kilka razy sama chciałam skoczyć, ale postanowiłam żyć! Właśnie dla tej chwili! Żeby stanąć twarzą w twarz z mordercą mojego dziecka i…

Rozpłakała się.

Upadła na kolana, zwinęła wpół i krzyczała. Krzyczała tak strasznie jak w tamtą noc. Noc, kiedy zabito jej dziecko.

Raul odwrócił głowę, nie mogąc patrzeć na jej ból. Skrzywdził niejedną matkę. Niejednego posłał do piachu za zdradę czy nieposłuszeństwo. To, że nie był to syn Weroniki, nie miało w tej chwili znaczenia. Ból matki jest zawsze taki sam…

Szloch, roztrzaskujący duszę na kawałki, cichł powoli. Kobieta już tylko łkała, szepcząc przez łzy jakieś słowa. Pewnie przekleństwa. Wreszcie otarła policzki dłońmi, pokrwawionymi od uderzania w skałę, spojrzała w górę, w jego twarz, i rzuciła:

– Czego ode mnie chcesz?

– Proszę, żebyś mnie wysłuchała. Tylko tyle.

Wzruszyła ramionami, nie podnosząc się z kolan. Usiadł z powrotem obok niej, na tyle blisko, by słyszała każde jego słowo, ale na tyle daleko, by jej nie dotknąć, nawet przypadkiem. Wtedy wstałaby i odeszła, nie mogąc znieść jego dotyku, był tego pewien.

– Miałem dwadzieścia lat, gdy w przypadkowej strzelaninie na ulicach Kyrenii zginęli moi rodzice. O tym, że nie była ona taka przypadkowa, dowiedziałem się rok później, po przeprowadzeniu własnego śledztwa. Ojciec jako nowo mianowany prezes Cypriobanku dopatrzył się w nim pralni brudnych pieniędzy i, zgodnie z prawem, zawiadomił nadzór bankowy. Ten tylko na to czekał. Położył łapę na kontach gangsterów, a ojca… ojcu przysłał dyplom z podziękowaniem zamiast ochrony. Szychom z nadzoru nie spadł włos z głowy. Ojciec dostał kulę między oczy. Mama, jadąca z nim wtedy w samochodzie, zginęła na miejscu. Osierocili mnie, dwudziestolatka, i przybranego syna, dwunastoletniego Vincenta. Pierwsze, co zrobiłem, to zmieniłem nazwisko. Potem wstąpiłem do wojska. Nie byle jakiego. Do służb specjalnych. Od początku wiedziałem, co chcę robić: zwalczać przestępczość zorganizowaną. Pomścić rodziców.

Umilkł na chwilę. Nie patrzył na Weronikę. Za to ona patrzyła na niego. W jej oczach jeszcze płonęła rozpacz i wściekłość, ale pojawiło się coś więcej: nadzieja.

– Byłem dobry. Naprawdę dobry – odezwał się po chwili ni to do niej, ni do siebie. – We wszystkim. A najlepszy na strzelnicy. Gdy mierzyłem do tarczy, wyobrażałem sobie, że to serce mordercy mojego ojca. I trafiałem bezbłędnie. Rozumiesz to, no nie? – rzucił jej zimne spojrzenie.

– Rozumiem – odparła z takim samym chłodem. Jeszcze go nienawidziła, ale… słuchała dalej.

– Szybko zostałem poproszony na rozmowę do najwyższego stopniem i od razu wyłożyłem kawę na ławę: jestem tu po to, by walczyć z mafią. Praca w policji mnie nie interesuje. Za duża korupcja, za dużo papierów. Chcę dostać poważne zadanie, które zakończy się krwawą jatką. Żadnych jeńców. Przełożony długą chwilę mierzył mnie spojrzeniem, a potem powiedział: „Mam coś dla ciebie". I tak, po kilku latach przygotowań i urabiania legendy, trafiłem tutaj, do VillaRosy, która należała do moich rodziców, a po ich śmierci stała się moją własnością…

– A więc dlatego wróciłeś – wyszeptała Weronika, patrząc nań pociemniałymi z gniewu oczami. – Żeby upomnieć się o swój dom.

Spojrzał jej prosto w twarz. Mógł zełgać, że skąd! nie ma takiego zamiaru! Ale ona zasługiwała na szczerość.

– Tak. Myślałem o tym. Ale teraz nie jestem już pewien, czy tego właśnie chcę. Pozwól mi dokończyć i dopiero wtedy wydawaj wyrok, okej?

Kiwnęła obojętnie głową. Nie mógł jej zranić bardziej, niż już to zrobił.

– Przez dziesięć lat rozpracowywałem mafię północnocypryjską od środka. Przejąłem ją, jej kontrahentów, kanały przerzutowe, pieniądze, ludzi, wszystko… Tylko raz o mało co nie zostałem zdemaskowany, gdy konkurencja porwała moją narzeczoną – wyobraź sobie, że byłem na tyle nieostrożny, by się zakochać, prawdziwie zakochać – i torturami omal nie wydobyła z niej prawdy o mnie. Ale RoseMarie kochała mnie tak, jak ja ją. Wytrzymała wiele. Nie chcesz wiedzieć, jak wiele. Mimo to nie wydobyli z niej nic więcej niż tylko krzyk cierpienia i błaganie o litość. W nocy powiesiła się na skręconej z prześcieradła linie.

Urwał. Krtań zacisnęła się spazmatycznie. Chwilę łapał płytkie oddechy. Bolało tak strasznie jak wtedy, gdy przysłali mu zmasakrowane

zwłoki RoseMarie… Weronika, być może nie zdając sobie z tego sprawy, położyła mu dłoń na ramieniu i uścisnęła lekko.

– Moja misja zakończyła się powodzeniem – odezwał się po długiej chwili głosem zgaszonym przez ból. – Śmierć RoseMarie i rodziców pomściłem. Największy przerzut w dziejach narkobiznesu poszedł na dno. Cypryjsko-polski kartel wraz z moją śmiercią przestał istnieć.

– Ale ty przeżyłeś – wyszeptała.

– Ja przeżyłem – odparł obojętnie. – Tylko po to, by przeżyć śmierć moich przyjaciół. Ludzi, którzy byli mi bliżsi niż brat… Mafia nie wybacza – dokończył, patrząc na Weronikę zmrużonymi jak u atakującego wilka oczami.

– Nie ty wydałeś rozkaz, by zabito mojego syna? – musiała się upewnić, choć sama sobie wydała się naiwna. Czy może mu wierzyć na słowo? Co to dla niego, który łgał zawodowo, skłamać i teraz.

– Zajmowałem się handlem bronią i narkotykami. Nie brałem udziału w brudnej gangsterce – odparł.

– No tak, bo narkotyki i broń to czysta sprawa – prychnęła.

Wzruszył ramionami.

– O tyle czysta, że miałem do czynienia z mafią, nie z normalnymi, uczciwymi ludźmi, takimi jak twój syn. Jeśli strzelałem, to do żołnierza, nie cywila.

Uwierzyła mu, bo… chciała uwierzyć. To, co mówił, brzmiało tak wiarygodnie, tak jasno i prosto. Poza tym… wszystko się zgadzało. Każde jego słowo znajdowało potwierdzenie w krążących o nim legendach. Oprócz tego, że był tajnym agentem służb specjalnych – tego nikt tutaj, w Kyrenii, nie wiedział.

– Wysoką cenę zapłaciłeś za swoje poświęcenie – odezwała się cicho. – Nie rozumiem tylko, jakim cudem pozwoliłeś się zastrzelić. Czy też, jak się okazuje, postrzelić. Rozpracowałeś wielką i groźną organizację, przejąłeś ją, a dałeś się podejść jak pętak własnemu bratu?

– Kochałem go. Nie potrafiłem zabić Viniego z zimną krwią. Był moim młodszym bratem, jedyną rodziną, jaka mi została – odparł po prostu. – Do końca wierzyłem, że to nie Vincent jest zdrajcą. Nawet gdy wycelował we mnie z glocka, nie wierzyłem, że pociągnie za spust. Cóż… myliłem się.

Zapadło milczenie, które przerwał dźwięk telefonu Raula. Kto mógł niepokoić go w środku nocy? Oczywiście van der Welt.

– Przepraszam, muszę odebrać. Nie odchodź, bardzo cię proszę – odezwał się do kobiety i odszedł na taką odległość, by nie słyszała rozmowy.

Pierwsze słowa Daniela sprawiły, że… usiadł. Po prostu usiadł tam, gdzie stał. Na mokrym od morskiej wody głazie.

– Marie przepadła. Dwie godziny temu wymknęła się z domu i…

– Dwie godziny?! – syknął, nie dowierzając temu, co słyszy. – Nie ma jej od dwóch godzin i dopiero teraz mnie o tym informujesz?!

– Bo sam zostałem przed chwilą poinformowany! Masz prawo się wściekać, ale nie na mnie!

– Sorry, przyjacielu. Szukaj tej dziewczyny. Ja muszę porozmawiać z moim synem.

– Rozmawiaj, byle spokojnie. Nie ma w tym niczyjej winy…

– Niczyjej. We dwóch nie potrafili upilnować nastolatki. Daj spokój, Daniel…

– Najlepsi z najlepszych popełniają błędy. Na przykład pozwalają, by ich własny brat wpakował im w pierś pół magazynka – przypomniał mu

van der Welt. Cios był celny. Ale nie złagodził tonu, jakim parę sekund później Raul pytał Tristana:

– Jakim cudem Marie wyszła z domu, skoro obaj mieliście tylko jeden pieprzony obowiązek: nie spuszczać jej z oka?!

Tristan też chciał to wiedzieć. Ocknął się z gorączkowych majaków w środku nocy. Usiadł, potarł spoconą od gorączki twarz dłońmi. Obie rany nadal rwały, ale na szczęście już nie tak bardzo jak kilka godzin temu. Pamiętał, że Marie podała mu leki i… Spojrzał na łóżko. Marie w nim nie było. W ułożeniu kołdry coś mu się podświadomie nie spodobało. Jeszcze nie dowierzając temu, co widzi, poderwał się na równe nogi i ruszył ku drzwiom, mając nadzieję, że w kuchni zastanie dziewczynę popijającą miętową herbatę w towarzystwie Stanleya. Ale on był sam. Potarł poczerwieniałe z niewyspania oczy, spojrzał na wpadającego do środka Tristana i już miał pytać, jak chłopak się czuje, gdy tamten rzucił:

– Gdzie Marie?!

– Śpi… – Stanley nie dokończył.

Wpadł do sypialni, odgarnął kołdrę i… zaklął parszywie.

– Zwiała nam – wysyczał z niedowierzaniem, przenosząc wzrok z kołdry ułożonej na kształt ciała na Tristana.

Zwiała tobie! – chciał sprostować chłopak, naprawdę miał to na końcu języka, ale Stanleya nie trzeba było dobijać tymi słowami. Był wystarczająco wściekły.

– Całą noc siedziałem w kuchni, mając drzwi wyjściowe niemal pod nosem. Nie mogła się tędy wymknąć!

– Całą? Na pewno całą?

– Zdrzemnąłem się jakiś czas temu. Dosłownie na parę minut!

– Masz odpowiedź.

– Skąd mogłem wiedzieć, że ta gówniara ucieknie?! Przecież tu była bezpieczna!

– Tu owszem. Ale teraz jest tam. – Tristan wskazał ciemną ulicę za oknem. – Oby nikt nie pilnował jej lepiej niż my…

– Raul mnie zabije. I będzie miał rację – stwierdził Stanley, biorąc do ręki komórkę. – Jedyna nadzieja w van der Welcie. Raz ją znalazł, znajdzie ponownie.

Daniel też był tego pewien, ale już po pierwszym włamaniu na serwery urzędu bezpieczeństwa miasta Paryża tę pewność stracił. Dziewczyna bardzo szybko urwała się ze smyczy.

I równie szybko wpadła w zastawioną pułapkę.

Dworcowe skrytki przyciągały ją niczym magnes. Pobiegła przez hol pełen ludzi prosto w stronę bocznych schodów, prowadzących na pierwsze piętro. Tam, na antresoli, długimi szeregami ciągnęły się wbudowane w ściany przegródki.

– Trzysta dwadzieścia siedem – niczym mantrę powtarzała szeptem numer, który kazał jej zapamiętać ojciec. – Jest!

Zatrzymała się przed drzwiczkami w środkowym rzędzie, patrząc roziskrzonym wzrokiem na trzy cyfry: 327. Szyfr również miała wdrukowany w pamięć. Ale najpierw środki ostrożności. Rozejrzała się na boki. Nikogo. Spojrzała za siebie – ściana skrytek. Wstukała szybko sześciocyfrowy kod i, wstrzymując oddech, pociągnęła za klamkę. Drzwiczki otworzyły się z cichym trzaskiem. Marie zajrzała do środka i… aż zatkała usta ze zdumienia. Spodziewała się w środku jakiegoś skarbu, ale… nie tego!

*

– Roger, to znaczy Raul, co się stało?! – Weronika biegła za nim, potykając się w ciemnościach na śliskich od morskiej bryzy skałach.

Przed chwilą skończył rozmowę, po czym bez słowa, choćby głupiego „dobrej nocy, Weronisiu”, ruszył niemal biegiem ku domowi.

– Dostałem wiadomości. Złe wiadomości. Muszę jechać – rzucił jej te parę zdań niczym ochłap i chwilę potem wskakiwał do kabrioletu, nie zawracając sobie głowy pakowaniem nielicznego dobytku, który tu ze sobą przywiózł. Zabrał tylko portfel z dokumentami i pieniędzmi.

– Raul, tak nie można! – krzyknęła bliska łez, stając pośrodku podjazdu. – Dokąd jedziesz i po co?! Przed chwilą powiedziałeś, że polują na ciebie dwa kartele! Już dorwali twoich przyjaciół! Teraz mają ich córkę, a może to nie ona jest celem?!

Zamarł z ręką na kierownicy. Słowa tej kobiety otrzeźwiły go. Gnając do Paryża na złamanie karku, niczego nie zmieni. Nie cofnie czasu, nie dopilnuje sam, osobiście, córki Pawła i Soni, nie zmusi też Daniela do szybszej pracy – był pewien, że przyjaciel daje z siebie wszystko, by odnaleźć dziewczynę. On sam, Raul, powinien skupić się na odnalezieniu zupełnie kogo innego. A poszukiwania zacząć od Cypru, tak jak planował. Wrócił tu, by znaleźć odpowiedź na pierwsze pytanie, a może znajdzie i na ostatnie…

Rozwarł palce, zaciśnięte kurczowo na kierownicy, opadł na siedzenie i zacisnął powieki. Przez kilka chwil uspokajał oddech i wyciszał umysł. Wreszcie otworzył oczy i spojrzał z wdzięcznością na stojącą przed samochodem kobietę. Gdyby nie Weronika, poleciałby prosto do Paryża, wprost w zastawioną na niego pułapkę.

– Ona zniknęła – odezwał się wreszcie. – Córka moich przyjaciół, Marie, uciekła, ale myślę, że mój syn sobie z tym poradzi. – Mówiąc te

słowa, sam zyskał taką pewność. Tristan odnajdzie Marie. Dziewczyna nadal jest w mieście. Nie mogła wyjechać bez pieniędzy i dokumentów. To kwestia czasu.

Wysiadł z auta i podszedł do Weroniki.

– Dziękuję, że mnie zatrzymałaś – powiedział z serca.

Kiwnęła głową.

– To był mój obowiązek – odparła sucho, nadal nie do końca pewna swoich uczuć do tego człowieka.

– Jako gospodyni? – zapytał, unosząc kącik ust w uśmieszku, który był jednocześnie irytujący i bardzo, bardzo seksowny. Jak bardzo, Weronika znów poczuła aż t a m…

– Jako pisarka, która nie chce stracić dobrej historii, draniu! – Trzepnęła go w ramię, mając nadzieję, że nie zauważył zdradzieckiego rumieńca, jaki wypłynął na jej twarz. Był wprawdzie środek nocy, ale podjazd jasno oświetlały latarnie. – Główny bohater nie może zginąć ot tak, w środku opowieści. Czytelniczki kochają szczęśliwe zakończenia.

– I żyli w szczęściu i miłości do końca swoich dni?

– Jakoś tak.

– A jeśli mimo wszystko główny bohater polegnie za sprawę? – droczył się z nią dla samej przyjemności obserwowania gry uczuć na twarzy Weroniki.

– Niemożliwe, żeby znów był tak głupi! – odrzekła z nieudawanym gniewem i ruszyła po schodkach ku drzwiom VillaRosy. Na ostatnim stopniu odwróciła się jeszcze i krzyknęła:

– I zabraniam ci w tym domu, na razie jeszcze moim domu, wspominać o śmierci!

Ale śmierć była coraz bliżej i nic jej nie obchodziły nakazy i zakazy Weroniki Orvi.

# ROZDZIAŁ XI

Gdzie ona jest?! – krzyknął Stanley do telefonu, sfrustrowany i wściekły do granic. Gdy dorwie tę smarkulę, rozszarpie ją na krwawe strzępy.

– Nie wiem, człowieku! – Daniel był tak samo wściekły i równie sfrustrowany co tamten. – Dasz mi pracować spokojnie?!

– Masz te swoje fantastyczne zabawki, masz niezawodny skaner twarzy i nie możesz w jednym głupim Paryżu znaleźć jednej głupiej dziewuchy?!

Van der Welt, słysząc te słowa, zmiął w ustach przekleństwo i po prostu się rozłączył. Marie wymknęła się kamerom, które śledziły ją od wyjścia z domu, ale… Daniel opadł na oparcie krzesła, splótł ręce na karku i zaczął analizować sytuację. Gdy najnowsza technika zawodzi, pozostaje własny rozum… Poprzednio ściągnęli Marie z dworca Montparnasse. Co tam robiła? Próbowała wyjechać z Paryża? Możliwe. Ale… była córką Pawła Rodło, prawej ręki szefa mafii. Zdradzonej mafii. Paweł musiał się liczyć z tym, że kiedyś go dorwą, a wtedy jego żona i córka zostaną same. Co zrobiłbyś na jego miejscu? Oczywiście zostawiłbyś najbliższym jakieś zabezpieczenie.

– W miejscu, skąd nie wzbudzając specjalnych podejrzeń, mogłyby odebrać twoją ostatnią wolę: dokumenty, pieniądze, nową tożsamość, broń… – to mówił do siebie półgłosem, a jego palce już tańczyły po klawiaturze. Wiedział, czego szukać, i wiedział gdzie. Dworzec Montparnasse. Ponownie. – Mam cię – syknął, widząc na ekranie spieszącą

ku dworcowym skrytkom dziewczynę. – Konspiratorką to ty nie byłaś i nie będziesz – Daniel pokręcił głową, widząc, jak Marie, zamiast poobserwować przez parę chwil otoczenie, rozgląda się jedynie i podchodzi do którejś z wielu wbudowanych w ścianę przegródek.

Nie spuszczając dziewczyny z oka, wybrał numer Stanleya.

– Mam ją. Jest…

– Na dworcu Montparnasse? – wpadł mu w słowo tamten. – Tristan się tego domyślił. Już jesteśmy w drodze. Przepraszam, stary, za mój wybuch…

Daniel nie odpowiedział, bo Marie właśnie otwierała skrytkę. W następnym momencie zajrzała do środka, przytknęła dłoń do ust i… zatrzasnęła drzwiczki. Van der Welt uniósł brwi zaskoczony. Ona odwróciła się na pięcie i – Daniel zaklął – w tej właśnie chwili w polu widzenia kamer pojawiło się trzech osiłków. Dziewczyna stanęła jak wryta. Nim zdążyła wykonać najmniejszy ruch, jeden z nich doskoczył do niej i rąbnął ją pięścią w skroń.

– Jezu Chryste! – syknął przez zęby van der Welt. Trudno było obserwować to z odległości kilku tysięcy kilometrów, gdy nie mogłeś uczynić nic więcej, niż rzucić do telefonu: – Znów ją zgarnęli. I na dzień dobry przypieprzyli z pięści tak, że straciła przytomność. Gdzie jesteście, do cholery?!

– Za daleko – odpowiedział Tristan. – Żyje?

– Żyje – odmruknął Daniel, patrząc, jak bandyci stawiają między sobą półprzytomną dziewczynę i prowadzą do wyjścia.

– Pilnuj jej – usłyszał zimny głos Tristana. – Nie spuszczaj z oka. Gdy będziesz wiedział, dokąd ją zabierają, daj znać. Skoro jest dla nich taka

cenna, przewiozą ją do jakiejś pieprzonej twierdzy i za Boga jej stamtąd nie wydostaniemy. Musimy ją przechwycić po drodze. Albo wcale.

– Racja. Daj mi popracować przez chwilę – odparł Daniel, robiąc zbliżenie na obu facetów.

System rozpoznawania twarzy ożywił się. Przez ekran zaczęły przemykać w niewyobrażalnym tempie tysiące fotografii i hologramów. Nagle rozległ się nieprzyjemny sygnał i na ekranie pojawiło się pełne dossier jednego z nich. Po chwili komputer pisnął po raz drugi.

– Bracia Kiros. O, i jeszcze jeden. Julien, zwany Żulem. Niezłe towarzystwo – mruknął van der Welt. – Prostytucja, hazard, narkotyki. Prawdopodobnie zabójstwa na zlecenie. Oczywiście gliny nigdy nie złapały żadnego na gorącym uczynku, a sutenerstwo nie jest karane…

– Coś więcej? Co naprowadzi nas na trop Marie? – przerwał mu sucho Blackwell.

– Pracują dla niejakiego Cojona. Mówi wam to coś?

„Nie” – usłyszał odpowiedź Tristana. A zaraz potem: „Owszem” Stanleya, wypowiedziane takim tonem, że poczuł zimny dreszcz spływający po kręgosłupie. Wrzucił to imię, czy raczej pseudonim artystyczny, do swojej wyszukiwarki, a do mikrofonu powiedział:

– Wiem, gdzie mogą ją wieźć. Mają na przedmieściach własny interes. Kamienicę przekształconą w dobrze strzeżony przybytek rozkoszy. Jeżeli…

– Daj adres – przerwał mu Stanley. – Jedziemy tam. Pilnuj jej.

Nie musisz mi tego powtarzać – odpowiedział mu Daniel w myślach. – To ty pozwoliłeś tej dziewczynie zwiać, nie ja.

Oznaczył laserowym markerem samochód, do którego przed chwilą dwóch osiłków wprowadziło bezwolną niczym kukła Marie i nie spuszczając z niego oka, wysłuchał, co komputer ma mu do powiedzenia o

niejakim Cojonie. I naprawdę zaczął się martwić. O Marie Solay, o Tristana, a przede wszystkim o Raula. Jeżeli ten ostatni miał na pieńku z kimś pokroju Człowieka Bez Twarzy, należało się o niego martwić…

– Niech to szlag! – krzyknął półgłosem, starając się mimo wzburzenia nie obudzić śpiącej w pokoju obok żony. – Tristan, Stanley, zawracajcie! Wiozą ją do niego! Do Cojona! Szlag z tym…!

Człowiek Bez Twarzy przyglądał się dziewczynie stojącej po drugiej stronie lustra weneckiego zupełnie beznamiętnie. Przynajmniej ten, który ją przyprowadził do tej nory, nie widział na twarzy bossa, ukrytej pod kapturem, żadnych uczuć. W głosie, zmienionym przez laryngofon, też ich nie było, gdy Cojon mówił:

– Ładna dupeczka. Zmiękczycie ją nieco, a potem przyprowadzicie do mnie. Rozdziewiczę ją osobiście. Ma być nietknięta, zrozumiano?

– Zrozumiano, szefie – wymamrotał, czując mimowolny dreszcz spływający po krzyżu. On, który mordował bez mrugnięcia okiem, bał się człowieka stojącego tuż obok. Nie człowieka, monstrum.

– Jeśli któryś z twoich chłoptasiów wetknie fiuta tam, gdzie nie trzeba…

– Nie wetknie. Dopilnuję tego osobiście.

Wprawdzie nie lubił – jak to Człowiek Bez Twarzy określał – „zmiękczania” porywanych dziewczyn, bo co innego kurwa, która kurwi się z własnej woli, co innego nastolatka gwałcona przez dwóch, czterech, sześciu naraz – tak, by nie naruszyć przy tym jej dziewictwa – ale tym razem weźmie udział w zabawie. Dla swojego własnego dobra. Na obcięciu czyjegoś fiuta może się bowiem nie skończyć. Cojon był wkurwiony na tę dziewczynę, a co za tym idzie, na cały świat.

Spojrzał na przyczynę swoich kłopotów. Stała pośrodku pokoju. Czy też raczej balansowała na czubkach palców, wyciągnięta w górę za spętane w nadgarstkach ręce, od których linę przerzucono przez hak w suficie. Przerażonymi oczami omiatała niewielkie pomieszczenie, szukając ucieczki. Nie ona pierwsza. I nie ostatnia. Żadnej się to nie udało… Jeszcze była ubrana, bo w drodze z dworca nie dostali rozkazu, co mają z nią zrobić po dowiezieniu do „twierdzy", jak mówili na prywatny burdel Człowieka Bez Twarzy, w którym podejmował najbogatszych i najbardziej wymagających klientów. W podziemiach tego przybytku było kilka cel dla wielbicieli sadomaso, gdzie Cojon zabawiał się najokrutniej, jak tylko można, ze swymi wrogami, a czasem z dziewczynami takimi ja ta, więc przywiązali ją i zostawili w spokoju.

Akcję na dworcu Julien, pseudonim „Żul", przeprowadził bezbłędnie. On nie był patałachem jak tamci, co gnili teraz w miejskiej kostnicy. O nie. Obstawił dworzec wszystkimi ludźmi, jakich mógł w tak krótkim czasie zebrać, namierzył dziewczynę, gdy tylko przestąpiła jego próg, i zgarnął w chwili, gdy odchodziła od skrytki. Nie zdziwiło go, że skrytka najwyraźniej była pusta, bo dziewczyna odchodzi z niczym, on nie był tu od zastanawiania się. Miał dostarczyć tę małą wredną sukę Człowiekowi Bez Twarzy. Tylko tyle.

Przypierdolił jej więc z pięści w skroń, tak by na miejscu straciła przytomność, objął ją w pasie i wyprowadził na zewnątrz, niczym troskliwy wujaszek pijaną siostrzenicę, niezatrzymywany przez nikogo. Schlane dziewczyny i ich „opiekunowie" to był o tej porze powszedni widok. Gdyby policja miała zatrzymywać każdą parkę, nie starczyłoby czasu na łapanie terrorystów. Plan Żula powiódł się więc w stu procentach.

Zadowolony z siebie, przywiózł dziewczynę do „twierdzy” i wezwał Człowieka Bez Twarzy. Ten go nie pochwalił. Ale też nie zabił. A to już coś.

Teraz Julien wrócił do pokoju bez okien, zdecydowany osobiście wykonać zadanie. Potrzebował jedynie paru chętnych do pomocy. Dziewczyna na widok łysego mięśniaka rzuciła się odruchowo w tył. Uśmiechnął się tylko. Cmoknął i pokręcił głową.

– Nie ciskaj się, suczko, bo bardziej cię tylko zaboli – poradził, podchodząc bliżej.

Marie zamarła bez ruchu. Gdy wcisnął kolano między jej uda, szarpnęła się w tył. Zaśmiał się tylko i mlasnął językiem.

Jego chłopcy właśnie się skrzykiwali. Już dwóch napalonych bandziorów wpadało do pokoju bez okien.

– Dasz po dobroci czy będziesz walczyła, suczko? – wymruczał Julien, chwytając ją pełną garścią za włosy. Lubił, jak dziwka się broniła. Podniecał go strach ofiary zdanej na jego łaskę i niełaskę. Odgiął jej głowę do tyłu, zdarł knebel i zaciskając jedną rękę na gardle dziewczyny w niemym ostrzeżeniu, pochylił się, zamierzając wepchnąć jej język do gardła.

Strzał w głowę skutecznie mu to uniemożliwił.

Marie krzyknęła zszokowana. Krew tamtego bryznęła jej prosto w twarz. Trup otarł się o nią i upadł na betonową podłogę.

– Milcz, dziwko, bo i ty zarobisz – warknął ten, który strzelał.

Oczy niemal wychodziły jej z orbit, gdy odwiązywał sznur i pociągał ją za sobą do wyjścia.

Tristan i Stanley, czekając na sygnał od van der Welta, usiłowali, na razie bez powodzenia, opracować jakikolwiek plan wyrwania Marie z łap

bandziora numer jeden paryskiego półświatka. Plan, który miałby choć odrobinę powodzenia. We dwóch mogli jedynie wemknąć się do środka kanałami wentylacyjnymi, o ile ten budynek takie posiadał. Daniel dosyć szybko ich rozczarował. W tej starej kamienicy nie było klimatyzacji.

– Czekajcie. Po prostu cierpliwie czekajcie. Ona na razie jest bezpieczna. Mam ją na głównym ekranie – próbował ich uspokoić van der Welt, ale sam martwił się o dziewczynę. Tamtym wolał nie mówić, że podwiesili ją za związane w nadgarstkach ręce do haka w suficie i Cojon jedynie wie, co mają zamiar z nią zrobić. Nic dobrego, to było pewne.

Nadzieja pojawiła się wraz z braćmi Kiros, którzy bez mrugnięcia okiem załatwili jednego z pomagierów Cojona, by w następnej chwili rozwiązać dziewczynę i…

– Próbują porwać Marie! – Daniel krzyknął cicho do mikrofonu.

To ich zelektryzowało.

Tristan chciał natychmiast wyskoczyć z samochodu i ruszać w tamtym kierunku, ale Blackwell przytrzymał go za ramię.

– Nie tutaj. To jest teren Cojona. Dobrze strzeżony…

– Właśnie ją z tego terenu porywają!

– Nie wiesz, kto za tym stoi. Może to prowokacja? Przejmiemy ją w dogodnym momencie.

– To znaczy?!

– Skoro chcą ją stąd wyprowadzić, muszą ją gdzieś potem ukryć. Pojedziemy za nimi…

– I cała banda Cojona za nimi pojedzie! Jeśli atakować, to teraz, gdy są pewni swego!

– Później – uciął Stanley. – Teraz czekamy.

– Ruszaj się – syknął jeden z bandziorów i pchnął Marie przed sobą, trzymając broń w pogotowiu.

Biegli ciemnym korytarzem. Zza drzwi, które mijali, czasem dochodził nieludzki skowyt, ale Marie nie była w stanie się nad tym zastanawiać. Przerażenie odbierało jej rozum. Dobiegli do schodów. Ten drugi pchnął ją powtórnie. Potknęła się. Byłaby upadła, gdyby pierwszy troskliwie jej nie podtrzymał.

– Ostrożnie z tą księżniczką. Jest bezcenna. Cojon odda za nią własne *cojones*.

Zarechotali obaj. Ruszyli w górę, by po chwili wypaść na ciemne podwórko, a z niego na tyły budynku, gdzie już czekał chodzący na wolnych obrotach samochód. Wepchnęli Marie do wnętrza. Jeden wsiadł za nią. Drugi obok kierowcy.

Cojon, z pogardą wypisaną na twarzy, obserwował poczynania swych do niedawna lojalnych bodyguardów na monitorach, które zajmowały jedną ze ścian w jego apartamencie. Że też ludzie, z którymi pracuje, są tak durni… Czy ci trzej naprawdę myślą, że pozwoliłby sobie po raz drugi wyrwać cokolwiek z rąk? Że z jego własnej siedziby mogliby ot tak uprowadzić którąś z dziwek?

Mógł ich powstrzymać jednym rozkazem, ale… nie chciał. Jeżeli dobrze kalkulował, szybciej doprowadzą go do tego, kto zlecił im porwanie dziewczyny. Z tymi trzema półgłówkami policzy się w swoim czasie. Na ich sponsorze zależało mu bardziej. Burdel, do którego wieźli Marie Solay, był pod dyskretną obserwacją – czy te bezmózgi naprawdę roiły sobie, że o nim nie wie? On, Cojon, wiedział o wszystkim, co się działo w tym mieście! Przynajmniej do niedawna. Teraz ktoś wkraczał na jego teren, a to bardzo się Człowiekowi Bez Twarzy nie podobało. Albo była to

konkurencja – a chętnych na biznesy w najbogatszym i najbardziej rozwiązłym mieście Nowej Europy nie brakowało – albo… był to ten, który od dwudziestu ponoć lat nie żył, a ostatnio zmartwychwstał.

Raul de Luca.

Cojon wykrzywił zdeformowane usta w uśmiechu… Jeżeli to de Luca roztoczył tak troskliwą opiekę nad Marie Solay, trzeba zwabić go do siebie, zamienić po przyjacielsku kilka słów, a potem… kto wie?

Daniel również obserwował wszystko to, co Cojon miał na swoich monitorach i… bardzo się sam ten fakt van der Weltowi nie podobał. Co innego włamywać się do systemu monitoringu miejskiego, którego nikt specjalnie nie strzeże, co innego do sieci wewnętrznej – na tym łatwiej go było nakryć. Jeżeli Cojon jest tak cwany, jak piszą o nim w policyjnych raportach… Odetchnął nieco, gdy Marie zniknęła z jego siedziby, a on, Daniel van der Welt, z jego sieci. Teraz mógł przerzucić się na śledzenie obrazu z kamer miejskich.

Samochód ruszył z piskiem opon, ale już po chwili musiał hamować na światłach. Były godziny szczytu. Minął jedną przecznicę, drugą i skręcił w kierunku dzielnicy słynącej z tanich burdeli. Właścicielami jednego z nich byli trzej bracia Kiros. Na co dzień ochroniarze Cojona, brali czasami udział w większych akcjach, jak ta zorganizowana przez Juliena – polowanko na nową dziewczynę dla szefa. Podobno raz już mu się ta mała wymsknęła z rąk i teraz chciał ją osobiście „przećwiczyć”.

Przed paroma kwadransami, gdy opijali udaną obławę, przyszedł im do głowy szatański pomysł: a gdyby tak podpieprzyć dziewuchę Cojonowi spod nosa i zażądać okupu? Skoro była tak cenna… Do jego „twierdzy”, jako lojalni i oddani ochroniarze, mieli nieograniczony dostęp. To się teraz

przydało. Zeszli po prostu z posterunków, zgarnęli nagrodę główną i za chwilę będą ją mieli u siebie.

Tu poczeka na tego, kto da więcej, bo może oprócz Cojona ktoś jeszcze zechce wziąć udział w aukcji. Wystarczy rozpuścić po mieście wieści, że ta laska – kim właściwie ona jest? – śliczna, świeża i dziewiczo czysta, czeka na nowego właściciela…

– Ile za nią dostaniemy? – kierowca spojrzał we wsteczne lusterko.

– Sporo. Wiesz, jak zawzięcie ten potłuczony skurwysyn na nią polował. Pół miasta postawił na nogi, żeby dorwać ślicznotkę. Teraz dostanie ją, owszem, ale nie za jakieś pierdolone grosze. Myślę, że milion możemy na początek zaśpiewać. Potem będziemy długo negocjować, zabawiając się przez ten czas z naszą nową suczką. Bo jesteś suczką, co? – Chwycił dziewczynę za pierś i ścisnął, aż krzyknęła z bólu.

Pokiwała szybko głową, mając nadzieję, że tym go zadowoli.

– Patrzcie, jaka chętna – zarechotał. – Może już teraz się zabawimy? W samochodzie?

– Daj spokój, Daro. Cojon płaci za nietknięte. Dla tego miliona warto trzymać fiuta w spodniach. Potem sobie potańcuje…

Co racja, to racja. Siedzący obok Marie gorylowaty łysol odsunął się nieco, ale łapy z jej piersi nie zdjął. Nie zamierzał odpuścić sobie ani jej niewinnego macanka.

Stanley, widząc przemykający obok samochód tamtych, przekręcił wreszcie kluczyk. Silnik zawarczał cicho. Mogli ruszać w pościg.

Tristan, który najchętniej od razu rzuciłby się dziewczynie na pomoc, a musiał bezczynnie patrzeć, jak tamci wpychają ją do samochodu i odjeżdżają, opadł na oparcie siedzenia, wściekły na Blackwella, na siebie,

na Marie… Chyba tylko Daniel nie wzbudził w młodym mężczyźnie złości. Jeszcze nie.

– To nie takie głupie – usłyszał jego głos i już był wściekły także na van der Welta. – Z twierdzy Cojona nie wyszlibyście żywi. Jedźcie za nimi. Będę was prowadził. Przy okazji przyjrzę się, czy nie mają ogona…

Już miał się rozłączyć, by skupić się na kilku czekających go zadaniach – uwagę miał podzielną, ale należało ją oszczędzać na ciężkie chwile, jakich w najbliższych minutach na pewno nie zabraknie – gdy coś przyszło mu do głowy. Dwie myśli. Jedna z nich była bardzo niepokojąca. Nie mógł przekazać jej Tristanowi przez telefon, dopóki obok siedział Stanley, ale mógł wysłać wiadomość. Chłopak przeczytał ją raz, drugi… Blackwell posłał mu pytające spojrzenie.

– Ojciec pyta, co z Marie – mruknął Tristan w odpowiedzi.

– Pracujemy nad tym.

– To właśnie mu odpisałem.

Ale wiadomość przysłana przez Daniela była zupełnie inna: „Skąd Blackwell wiedział, gdzie się ukrywa Cojon? Nie podałem adresu, bo go nie znałem. Blackwell znał. Uważaj na niego. W drugim esemesie przyślę ci namiary na przyjaciela”.

# ROZDZIAŁ XII

Czarna toyota powoli przedzierała się przez ulice Paryża, które pogrążały się w wieczornym chaosie. Wszyscy naraz próbowali wydostać się z centrum do domów położonych na peryferiach.

Tristan ze Stanleyem trzymali się od bandziorów na bezpieczną odległość. Już Daniel o to zadbał.

– Wiem, dokąd jadą – odezwał się w pewnej chwili. – Są na tyle głupi, albo pewni siebie, co na jedno wychodzi, by używać bezpośrednich połączeń. Uprzedzili swoich, że wiozą cenny towar.

– Dokąd? – przerwał mu Stanley.

– Avenue Trevore.

Stanley nie skwitował tego ani słowem. Po prostu przyspieszył, skręcił gwałtownie w prawo, potem w lewo i już gnał ulicą równoległą do tej, którą poruszał się samochód braci Kiros. I jak wyrwał, tak stanął na światłach. Ta ulica była równie zakorkowana jak poprzednia. Rzucił przekleństwem. Tristan spojrzał nań ukradkiem. Czy podejrzenie Daniela miało podstawy, czy nie? Czy on, Tristan, ma u boku sojusznika czy zdrajcę? Uprzedzić ojca czy dać sobie na razie spokój? Dużo pytań, żadnej odpowiedzi. Jeszcze nie. Za chwilę może być odwrotnie…

Zbliżali się do kamienicy, w której mieścił się burdel Kirosów. Van der Welt prowadził tam Stanleya jak po sznurku.

– Przyhamuj – rzucił nagle Tristan. Blackwell posłał mu pytające spojrzenie. – Zabezpieczę tyły. Bez sensu atakować we dwóch naraz.

Stanley skinął głową i nacisnął hamulec. Tristan nie czekał, aż auto stanie. Wyskoczył w biegu, zrobił przewrót, stanął na nogi i zaczął przemykać pod ścianami budynków równolegle z samochodem prowadzonym przez Blackwella.

Tamci byli już blisko celu.

Tristan słyszał w małym audiofonie przypiętym do kołnierzyka koszuli spokojny głos Daniela, relacjonujący wszystko, co się działo na ulicy. Prawdopodobnie byli ścigani przez kogoś od Cojona. Ale van der Welt nie potwierdził tego na sto procent.

Samochód Kirosów dojeżdżał do ostatniej przecznicy.

Nagle z bocznej ulicy wyskoczył mu przed maskę nissan Stanleya. Tamci zahamowali w momencie, gdy Blackwell strzelił po raz pierwszy. Przednia szyba toyoty poszła w drobny mak. Samochód wbił się w bok nissana i znieruchomiał. Następne strzały padły jeden po drugim. Szybko i celnie. Dwóch na przednich siedzeniach osunęło się we krwi. Ale pozostał trzeci, wbijający lufę pistoletu w skroń półprzytomnej z przerażenia dziewczyny.

– Rzuć broń! – ryknął przez wybite okno. – Rzuć tę kurewską spluwę, bo rozwalę dziwkę!

Stanley zawahał się. Nie mógł strzelać. Nie mógł ryzykować życiem Marie.

Bandzior otworzył tylne drzwiczki.

– Ani drgnij, skurwielu, bo ją rozpierdolę, rozumiesz?!

Stanley uniósł ręce na boki.

Tristan znieruchomiał, stając w pozycji strzeleckiej, niewidoczny dla bandyty. Był ze dwadzieścia metrów za samochodem, niby nic, ale strzał nawet z takiej odległości to ryzyko. Tamten mógł odruchowo pociągnąć za

spust i po dziewczynie… Tristan czekał więc. Czekał na moment, kiedy będzie mógł zdjąć bydlaka.

Ręce mu ani drgnęły, gdy łysol wygramolił się z toyoty i zasłaniając się dziewczyną, zaczął się cofać za samochód, cały czas trzymając przy tym lufę wbitą w jej skroń.

Stanley stał nieruchomo.

Bandzior był coraz bliżej Tristana.

Ten naprowadził laserowy celownik na jego potylicę…

Wstrzymał oddech, położył palec na spuście…

Padł strzał.

Marie krzyknęła.

Tristan spojrzał zdezorientowany na swój pistolet. To nie on strzelał.

Rozejrzał się.

Nadchodzili we trzech. Niespiesznie. Pewni swego. Z trzech różnych stron.

Czwarty, spowity w jakiś całun czy pelerynę, wysiadał z samochodu, który właśnie podjechał. Tristan, wbity plecami w ciasny zaułek, obserwował to z niedowierzaniem, niczym jakiś senny koszmar.

– Rzuć broń! – krzyknął do Blackwella jeden z nich. – Rzuć broń, skurwielu!

Stanley powoli rozwarł palce, zaciśnięte na rękojeści glocka i chciał odrzucić pistolet, ale… zupełnie jakby się rozmyślił, poderwał lufę do góry, mierząc w tego, który krzyczał i nagle… powiedział coś, co Tristanowi odebrało oddech:

– Który z was to Cojon? Mam dla niego wiadomość! Za którą zapłaci każde pieniądze!

Monstrum w pelerynie wysunęło się naprzód.

– Ja jestem Cojon – zaskrzeczało głosem zmienionym przez laryngofon.

– Puść dziewczynę, to powiem.

Cojon zbliżał się doń krok po kroku, nic sobie nie robiąc z wymierzonego w siebie sig sauera. Zatrzymał się może dwa metry przed Stanleyem i zapytał:

– Co dla mnie masz… Blackwell?

Tristan, słuchający tego, ponownie stracił oddech. Blackwell?! Cojon, kimkolwiek był, znał Stanleya?! A więc jednak!

– Najpierw dziewczyna. Pozwól jej odejść. W zamian dostaniesz kogoś cenniejszego.

– Ona nic dla mnie nie znaczy. – Cojon machnął ręką.

Jeden z jego ludzi, który trzymał Marie za ramię, puścił ją. Natychmiast skoczyła w boczną uliczkę, nie zdając sobie sprawy z tego, że oni i tak za chwilę ją dorwą. Cojon nie był głupi. Miał ze sobą nie tylko tych trzech…

– Teraz lepiej? – zapytał ironicznie Stanleya.

Ten wahał się długą chwilę, patrząc w lufy wymierzonych w siebie pistoletów, i wreszcie odezwał się. Głośno. Dobitnie.

– Wiem, gdzie jest Raul de Luca.

Tristan oparł się plecami o ścianę, przykładając do czoła wierzch chłodnej lufy sig sauera. Zacisnął powieki, jeszcze nie dowierzając w to, co usłyszał. W następnej chwili wziął głęboki oddech, otrząsnął się z szoku i już więcej o zdradzie Stanleya nie myśląc – nie teraz! – ruszył za umykającą w mrok ulicy Marie.

Gdy dwóch zastąpiło jej drogę, jęknęła tylko…

Raul krążył po swoim pokoju niczym wilk w klatce, nie wypuszczając telefonu z ręki. Oddałby wszystko, żeby być tam teraz z nimi – Tristanem i

Stanleyem – zamiast siedzieć na czterech literach parę tysięcy kilometrów dalej, zupełnie bezużyteczny…

– Daniel, odezwij się! – cedził przez zaciśnięte zęby, błagając wzrokiem telefon, by rozdzwonił się melodyjką przypisaną przyjacielowi.

Ale telefon milczał. Van der Welt także. Minęło pół godziny od ostatniego połączenia… godzina… dwie…

Weronika zapukała do drzwi, zapraszając go na kolację, ale odparł szorstko, że jest zajęty. Nie próbowała ponawiać zaproszenia.

Czekanie stawało się coraz trudniejsze. Gdy wreszcie telefon zadzwonił, Raul… nie odebrał. Przynajmniej nie w pierwszej chwili. Nie znał numeru, który się wyświetlił. Po chwili przyszedł esemes: „Odbierz, Raul. Przyjaciel”.

– Przyjaciel? – rzucił do telefonu, gdy ten zadzwonił ponownie.

– Przyjaciel Daniela – odezwał się dźwięczny, męski głos. – Ariel Małecki, jeśli coś ci to mówi.

– Nic mi to nie mówi – odwarknął niemalże Raul. Spodziewał się wiadomości od van der Welta, czekał na nie! Nie chciał rozmawiać z nikim innym!

Tamten, zupełnie jakby czytał w jego myślach, odparł spokojnie:

– Telefonu od Daniela tak szybko się nie doczekasz. Nasz przyjaciel ma kłopoty.

Wiedział, że ryzykuje, włamując się do wewnętrznej sieci fortecy Cojona. Miał świadomość, że nie zacierając po sobie śladów, zostawia je aż za wyraźne, ale nie miał czasu, by zadbać o własne bezpieczeństwo. Wydarzenia rozegrały się zbyt szybko. Uprowadzenie dziewczyny, Cojon, bracia Kiros, wściekła pogoń za nimi, podczas której nie mógł spuścić uciekających z oka, jednocześnie prowadząc Stanleya i Tristana, a przy tym

usiłując dowiedzieć się czegoś więcej o Cojonie. Była to istna umysłowa akrobacja i van der Welt postawił wszystko na jedną kartę: ufność w to, że Cojon jest zajęty równie mocno co on.

I był. Rzeczywiście był, organizując zasadzkę na braci Kiros, ale paryska policja, wściekła do granic na tego, kto włamał się do systemu monitoringu i skasował całą pamięć, już tak zajęta nie była. Jeden telefon, że bezczelny haker, ten sam co poprzednio, znów skanuje system i zaalarmowany przez Sûreté Interpol wypuścił za van der Weltem gończe psy.

Właśnie wysłał do Tristana, a potem do swojego serdecznego kumpla, Ariela Małeckiego, wiadomość i wyczyścił pamięć telefonu – o tym nie zapominał nigdy – gdy w tym momencie drzwi jego mieszkania poszły w drzazgi i do środka z rykiem: – FBI! Rzucić broń! Wszyscy na ziemię! – wpadła zamaskowana banda federalnych.

Daniel nie zamierzał zgrywać bohatera. Tamci strzelali chętnie i bez uprzedzenia. Padł na podłogę, odrzucając na boki ręce i nogi. W sekundę obszukali go i skuli. W korytarzu zdążył posłać Ani, swojej żonie wyrwanej ze snu, przepraszające spojrzenie, po czym zarzucono mu na głowę czarny worek i było po akcji…

Wepchnęli go do furgonetki, cisnęli na wąską, metalową ławeczkę. Żaden nie odezwał się ani słowem. Van der Welt milczał także. Dopóki Johannes Smith, Raul, albo ktokolwiek się o niego nie upomni, miał przechlapane.

Raul zadzwonił do Smitha w chwilę po tym, jak zakończył rozmowę z Arielem.

– Musisz go wyciągnąć z tego bagna – to nie była prośba, tylko żądanie.

Na wypadek gdyby pułkownik chciał się oburzać za ten ton i obcesowe traktowanie, przypomniał mu w następnej chwili:

– Ty nas w to wpakowałeś. Przez pazerność twojego człowieka już dwoje, Paweł i Sonia, straciło życie. Ja i mój syn jesteśmy następni do odstrzału. Stanley, teraz van der Welt, są w samym środku piekła. Przynajmniej temu ostatniemu go oszczędź. I jego żonie. Oboje wciągnąłem do gry tylko dlatego, że nie ufam ani tobie, ani twoim ludziom!

– Raul, przybastuj – odezwał się Smith. – Masz rację…

– Skoro mam rację, to rusz dupę i zwolnij van der Welta!

– To nie takie proste…

– Gówno mnie to obchodzi! Masz pieprzony obowiązek chronić swoich ludzi, a Daniel do nich należy!

– Zwinęli go prawdopodobnie federalni…

– Pułkowniku Smith – zaczął Raul już zupełnie innym tonem, tonem, w którym zabrzmiała z trudem hamowana furia – jeżeli Daniela nie wypuszczą w ciągu godziny, stwierdzę, że maczał pan palce w jego aresztowaniu.

– Zarzucasz mi zdradę?! – Smith zachłysnął się oburzeniem.

– Od chwili, gdy dowiedziałem się o wystawionym na moje nazwisko rachunku – owszem.

Raul rozłączył się, ale nie wypuścił telefonu z dłoni. Ściskał go tak mocno, aż pobielały mu knykcie. Jak łatwo jest dowodzić akcją z bezpiecznego, komfortowego biura w podziemiach Langley… Jak łatwo posyłać na pewną śmierć podwładnych, samemu popijając kawkę i paląc kubańskie cygara… Smith nigdy nie był na pierwszej linii frontu, nie wiedział, jak kurewsko bolą rany postrzałowe, a jeszcze bardziej śmierć przyjaciół… On przesuwał pionki na szachownicy, nie zaprzątając sobie

uwagi takim drobiazgiem, że za tymi pionkami stoją żywi, czujący ludzie. Spał spokojnie, wiedząc, że dostanie swoją pensję bez względu na to, czy zadanie zostanie wykonane „bez strat”, czy też po stronie „straty własne” będzie mniejsza lub większa liczba…

Do drzwi apartamentu ponownie cicho zapukano.

Raul odetchnął głęboko świeżym, pachnącym morską bryzą i kwiatami bugenwilli powietrzem i ruszył w kierunku korytarza.

– Przepraszam, że przeszkadzam… – zaczęła Weronika, ale on nagle wciągnął ją do pokoju i zaczął całować. Z całą rozpaczą, wściekłością i strachem, jakie rozrywały teraz jego duszę na strzępy.

W pierwszej chwili zaskoczona, w następnej przylgnęła do mężczyzny całym ciałem, zatracając się w tym pocałunku. Gdy zaczął się wycofywać, wsunęła palce w jego czarne włosy, przyciągnęła go jeszcze mocniej, domagając się więcej i więcej… Poddał się temu żądaniu… Zasmakował w ustach kobiety… Zagarnął ją jednym ramieniem, drugim uniósł, oparł plecami o ścianę i całował aż do utraty tchu. Nacisnął na jej lędźwie, by poczuła, jak bardzo jest na nią gotowy, jak bardzo jej pragnie. Jeżeli ona zechce… Oplotła go udami… O tak, chciała. Bardzo chciała.

Oderwali się od siebie.

W mroku nocy ich oczy błyszczały światłem gwiazd.

– Przepraszam. Nie powinienem… – zaczął, ale przytknęła opuszkę palca do jego ust.

– Bardzo, bardzo ciebie pragnę – wyszeptała, patrząc prosto w jego rozszerzone pożądaniem źrenice. Wsunął palce w jej piękne, jedwabiste włosy, pochylił się, by znów całować nabrzmiałe pragnieniem, ciemnoczerwone usta i… zadzwonił telefon.

Zacisnął na chwilę powieki. Gdy je otworzył, ona była już daleko, daleko stąd, chociaż nadal w jego ramionach.

– Muszę odebrać – odezwał się półgłosem.

Skinęła głową. Wypuścił ją z ramion. Gdy podchodził do łóżka, na które cisnął komórkę, Weroniki już nie było.

Dzwonił Ariel.

– Przesyłka w drodze – rzucił krótko.

Raul, mimo że całe ciało płonęło mu od niezaspokojonego pragnienia, odetchnął z ulgą. Przesyłka w drodze. Może jeszcze wyjdą z tego pogromu obronną ręką…

*

Danka Małecka wolała nie przypominać sobie czasów, gdy jej brat, Daniel van der Welt, żył niczym ścigane zwierzę, a ją samą i jej siostrę bliźniaczkę nękała policja, próbując za ich pośrednictwem dorwać znanego na cały świat hakera. Odsunęła od siebie tamte czasy, wspominając je tylko z siostrą i tylko wtedy, gdy same, we dwie, mając butelkę dobrego wina pod ręką, mogły sobie na wspomnienia pozwolić. Bez znieczulenia winem ani rusz! Od tamtych czasów minęło dobrych kilkanaście lat. Tamte wydarzenia przeszły do legendy. Danusia wychowywała na porządnych obywateli gromadkę dzieci, ona, Danka, pływała z miłością swojego życia, Arielem, po morzach i oceanach. I była szczęśliwa.

Dlaczego więc w ten ponury – przynajmniej taki się jej teraz wydawał – paryski przedświt zdąża z udawaną pewnością siebie przez hol wielkiego dworca, by podjąć niebezpieczną przesyłkę?

Nie miała pojęcia, kto czy co czeka ją w bocznych korytarzach przechowalni bagażu, gdzie długimi rzędami ciągnęły się dworcowe skrytki. Jeżeli antresola była obserwowana – a można było tak podejrzewać

– ona, Danka, nie powinna zwrócić na siebie uwagi. Nikt nie mógł jej łączyć ani z Raulem de Luką, ani z rodziną Solay. Jedyne ogniwo tego łańcucha – jej brat, Daniel van der Welt – przepadł w kazamatach FBI.

W co ty się znów wpakowałeś, totalu? – posłała mu pełną troski myśl. – Nudziło ci się na rządowym garnuszku?

Tristan Latimer, o którego istnieniu jeszcze wczoraj nie miała pojęcia, w paru słowach nakreślił im sytuację i oboje z Arielem byli przekonani, że działają w słusznej sprawie. Jeżeli było tak rzeczywiście, dlaczego Daniela zgarnęli federalni?!

Tym zajął się już ten, kto powinien – Ariel zapewnił o tym swoją żonę i żonę van der Welta. Mimo wszystko pytanie pozostało…

Stanęła przed jedną z wielu skrytek. Nie rozejrzała się na boki. Podróżny, który po prostu odbiera swój bagaż, nie ma potrzeby się rozglądać. Wprowadziła kod. Pociągnęła za klamkę. Wyjęła ze środka granatową torbę, jakich wiele, zarzuciła sobie na ramię i odeszła przez nikogo niezatrzymywana.

Wielu chciałoby znać zawartość tej torby, wielu chciałoby wiedzieć, dokąd udaje się szczupła, jasnowłosa kobieta, gdzie i z kim się spotka, ale nawet tych wielu nie było w stanie śledzić każdego, kto w ciągu ostatniej doby odbierał bagaż z dworcowych skrytek. I to sprawiło, że Danka bez przeszkód wróciła na Serenity.

Chwilę później jacht odbił od brzegu Sekwany i skierował się w dół rzeki, w kierunku kanału La Manche. Stamtąd obierze kurs na południe, a potem na Cypr, gdzie w pięknej posiadłości o nazwie VillaRosa jest z niecierpliwością oczekiwany.

# ROZDZIAŁ XIII

Odebrał telefon, usłyszał żartobliwe słowa Ariela: „Przesyłka w drodze”, i musiał się upewnić:

– Oboje?

– Oboje. Są bezpieczni. Ona w szoku, to zrozumiałe, on ranny, ale niegroźnie. Stwierdził, że sam sobie poradzi…

– Może sprawdź, czy na pewno niegroźnie – to nie była prośba, tylko rozkaz, ale Ariel nie żachnął się: „Kim ty jesteś, żeby mi rozkazywać?!”, co z pewnością by zrobił, gdyby uczynił to kto inny. Wiedział, z kim ma do czynienia. To był Raul de Luca, **ten** Raul de Luca. Jego rozkazy po prostu się wypełniało.

– Sprawdzę – odparł więc.

Danka posłała mu pytające spojrzenie.

– Przejmij ster – poprosił.

Kiwnęła głową.

– Nasz nowy przyjaciel martwi się o Tristana.

– Otworzyła mu się rana na ramieniu – odrzekła kobieta. – Poszedł ją sobie zabandażować. Dosyć mocno krwawi.

Ariel przewrócił oczami.

– A mi wciskał kit, że „to draśnięcie” i „poradzi sobie”…

– Wiesz, jacy są młodzi, pełnokrwiści faceci, gdy muszą zgrywać twardziela przy dziewczynie, w której się podkochują. Ty byłeś taki sam… – Zaśmiała się cicho.

Zatrzymał się, zawrócił i wycisnął na jej ustach namiętny pocałunek. Uwielbiał Dankę od pierwszego wejrzenia i, owszem, wiedział, jak potrafią się zachowywać mężczyźni w towarzystwie takich kobiet jak ona. Kobiet, na których chcą zrobić wrażenie. Kobiet, które pokochali…

– Zajrzyj po drodze do Marie, okej?

Wczoraj wieczorem Daniel poprosił o pomoc, a prośba Daniela była dla jego siostry i Ariela Małeckiego rozkazem. Ruszyli pełną mocą silników do miejsca, gdzie mieli oczekiwać na „kontakt”: marina w Paryżu, przy Bastylii.

Pół nocy oboje – Danka i Ariel – zachodzili w głowę, komu mają pomóc w ucieczce, jak, przed kim i dokąd. Wreszcie ten ktoś się odezwał. Tristan Latimer, co nikomu nic nie mówiło, ale już jego następne słowa „syn Raula de Luki” owszem. Wysłuchali go uważnie, potem Danka pobiegła na dworzec po przesyłkę – bez „skarbu” towarzyszka Tristana odmówiła opuszczenia Paryża – a gdy wróciła na pokład, jeszcze parę długich godzin czekali na uciekinierów, którzy kluczyli po mieście, by nie ściągnąć na nich wszystkich nieszczęścia.

Wreszcie wpadli na pokład: młoda dziewczyna, półprzytomna z przerażenia i szoku, za nią niewiele starszy chłopak, ukrywający pod marynarką zakrwawione ramię i… potężną spluwę. Ariel nie skomentował tego ani słowem. Natychmiast odbił od nabrzeża i oglądając się co chwila przez ramię, dodał silnikom mocy. Serenity rozwinęła skrzydła i pomknęła na zachód.

Tristan wypuścił dłoń dziewczyny, dopiero gdy Paryż zniknął im z oczu, a żadna z łodzi zacumowanych w marinie nie puściła się za nimi w pogoń. Dopiero wtedy Marie, ni to z łkaniem, ni śmiechem, rzuciła mu się

na szyję, ucałowała go, uściskała i… zaczęła trząść się tak, że musiał ją przytrzymać, by nie upadła.

Nie nakłaniali jej do zjedzenia czegokolwiek, nie naciskali, by zmyła z twarzy i włosów krew, nie sugerowali, by się przebrała w czyste rzeczy. Danka podała jej tabletki i zaprowadziła do jednej z dwóch gościnnych sypialni, gdzie Marie natychmiast zapadła w głęboki, przerywany koszmarnymi majakami sen.

Ariel, zgodnie z obietnicą, zajrzał najpierw do niej.

Spała zwinięta w godny pożałowania kłębek, wtulając w poduszkę blady policzek, poznaczony kroplami zaschniętej krwi. Jej pierś unosiła się w powolnym oddechu. Mężczyzna mógł zatroszczyć się o drugiego pasażera. Ten siedział na łóżku w drugiej kajucie i klnąc pod nosem, próbował zabandażować krwawiące ramię.

– Daj mi to. Nie musisz już zgrywać twardziela – mruknął Ariel, odbierając chłopakowi bandaż. – Niezłą jatkę tam mieliście. Już w wiadomościach o tym nadają.

Tristan wzruszył ramionami. Ariel uśmiechnął się tylko, choć czuł raczej niepokój niż rozbawienie. Po przyjęciu ich na pokład zadzwonił, gdzie mu przykazano, z wiadomością, że wszystko jest okej, ale… chyba nie było. Ani z dziewczyną, ani z chłopakiem. Ariel przyłożył jałowy kompres do krwawiącego jak jasny szlag postrzału, owinął ranę bandażem i zacisnął z całych sił. Chłopak zgrzytnął tylko zębami.

– Sorry, bracie, ale nie mam tu zestawu do szycia. Bez tego gotów jesteś mi się wykrwawić.

– Nie tak łatwo, nie tak szybko – wycedził Tristan przez zaciśnięte zęby.

– Takiś bohater? – zakpił Ariel.

On nigdy nie oberwał kuli, ale dwukrotnie opatrywał Daniela i po jego przekleństwach, rzucanych przez zaciśnięte zęby, mógł się domyślać, jak to boli…

– Ilu własnoręcznie położyłeś? – żartował nadal, ale następne słowa chłopaka sprawiły, że kpiący uśmieszek zniknął z jego twarzy.

– Trochę tego było. Walczyłem w Libii. Po stronie koalicji, rzecz jasna.

Ariel gwizdnął cicho, z szacunkiem. Amerykanie dostali w Libii niezłe wciry. I nie tylko oni. Pół świata do dziś tłukło się tam z siłami ISIS w najkrwawszej i najdłuższej wojnie dwudziestego pierwszego wieku, a końca tej rzezi nie było widać…

– Piechota? Lotnictwo? – pytał Ariel, żeby odwrócić uwagę chłopaka od bandażowanej rany, ale i trochę z ciekawości. Ten odparł z udawaną – albo i nie – nonszalancją:

– Jednostki specjalne. Jestem strzelcem wyborowym.

Szacunek Ariela wzrósł. Byle sieroty na snajpera nie biorą. Teraz już wiedział, że wymknięcie się tego twardziela i jego młodej towarzyszki z obławy to nie żaden cud. Tristan był żołnierzem. Umiał strzelać.

– A tych, co próbowali was dopaść? Ilu z nich zdjąłeś? – zapytał znów z lekką kpiną.

Chłopak spojrzał nań bez uśmiechu.

– Wszystkich – odparł.

I wrócił wspomnieniem do piekła…

Szok, gdy słyszy słowa Stanleya: – Mam wiadomość dla Cojona! Wiem, gdzie jest Raul de Luca! – wściekłość i palące łzy pod powiekami. Blackwell, ty zdrajco! Ufałem ci! Ojciec ci ufał, i ona, Marie… Ale nie czas na gorzkie żale, bo Marie przebiega tuż obok. Skulona niczym królik, próbuje się wymknąć obławie. Tristana żaden z tamtych jeszcze nie

zauważył. Nie wiedzą, że stoi tutaj, w ściennej wnęce, niewidoczny z ulicy, sam ma ich wszystkich jak na dłoni.

Skacze za Marie. Ona jęczy ze strachu, słysząc za sobą szybkie kroki, i próbuje biec jeszcze szybciej.

– Marie, to ja, Tristan! – krzyczy na tyle głośno, by go usłyszała, ale na tyle cicho, by nie słyszeli go siepacze Cojona.

Oni ruszają jednak za nimi.

Tristan dogania dziewczynę, chwyta ją za rękę, szarpie w bok, wpychając w jakąś bramę. Przywiera plecami do muru. Jeden z tamtych pokazuje się w świetle bramy. Tristan błyskawicznie podrywa broń. Strzał. Precyzyjny, między oczy. Tamten wali się na chodnik jak długi. Drugi cofa się w ostatniej sekundzie. Kula przeznaczona dla niego wbija się w mur naprzeciwko. Źle. Powinienem położyć obu – myśli Tristan, rozglądając się dookoła szybko, ale uważnie. Coś mu się w tym wszystkim nie podoba, bo strzał, którym skasowali ostatniego z braci Kiros, zasłaniającego się dziewczyną, padł z góry. Tristan jest tego pewien. Niewykluczone, że gdzieś nad głową ma snajpera. Nie może ryzykować życiem Marie. Ale też nie mogą tu zostać…

Dziewczyna dygoce na całym ciele. Usta ma posiniałe z szoku. Źrenice przerażonej sarny, złapanej w światła samochodu. Nic nie mówi, nie płacze, ale cała jest jednym wielkim krzykiem.

– Spokojnie, Marie – odzywa się Tristan łagodnym, przyciszonym tonem. – Wyjdziemy z tego.

Wie, że muszą sprowokować snajpera.

Bierze dziewczynę za rękę. Ona próbuje wyrwać dłoń, ale Tristan nie puszcza.

– Zaufaj mi – prosi i nakazuje zarazem. – Jestem z tobą. Wiesz o tym, prawda?

Ona kiwa głową, szybko, raz po raz, jakby sama siebie próbowała przekonać, ale Tristan nie jest pewien, czy go rozumie, czy w ogóle go słyszy.

– Marie, posłuchaj mnie uważnie… – Kładzie jej ręce na ramionach i zmusza, by nań spojrzała. – Najpierw ja przeskoczę na drugą stronę tej ulicy. – Tristan wskazuje bramę naprzeciwko. – Gdy krzyknę „teraz!”, przybiegniesz do mnie. Najszybciej jak możesz. Zrobisz to?

Marie znów przytakuje. Tristan musi jej wierzyć. Rusza biegiem w kierunku wyjścia i słyszy, że ona biegnie za nim. Trudno. Wypada na ulicę. Dwie kule w tego, który czaił się za murem. Przewrót i ma snajpera jak na dłoni: wychylił się znad krawędzi dachu, przyłożył oko do lunety. Strzały, raz za razem. Bach! Bach! Bach! Bach! Tristan nie odrywa palca od spustu. Piąty jest celny. Snajper podrywa ręce do głowy, po czym powoli pochyla się w przód, zawisa na gzymsie, ale ciężar ciała przeważa, spada z dachu niczym ciężki wór i z ohydnym odgłosem roztrzaskuje się na chodniku, tuż za plecami biegnącej Marie. Ona potyka się. Z jej ust wydobywa się cichy, nieludzki skowyt. Tristan łapie ją w ramiona, bo wpadłaby na oślep na ścianę, a nie w bramę, chwyta za rękę i rusza biegiem, ciągnąc dziewczynę za sobą.

Gonią ich strzały z broni automatycznej. Oho, bandyci się wkurzyli!

– Szybciej, Marie! – krzyczy, ponaglając ją do biegu.

Za nimi na murze domu rozpryskuje się sznur czerwonych szram po kulach. Gdy strzelec przeniesie ogień przed nich, wbiegną wprost w śmierć. Tristan o tym wie. Raptownie skacze w bok. W następną bramę. Jeżeli podwórko będzie zamknięte, już po nich. Rozgląda się po zabudowanej ze

wszystkich stron betonowej studni. W jednym z okien widać człowieka. Przyjaciel czy wróg? Nie ma czasu, by się o tym przekonać. Tristan wpycha opierającą się dziewczynę do drzwi, drugich od prawej. Wpadają w ciemną czeluść klatki schodowej i gnają na górę. Na podwórku słychać tupot ciężkich buciorów goniących. Tristan przypada do parapetu. Ile ma jeszcze kul? Wychyla się na ułamek sekundy, strzela raz po raz. Bach! Bach! Bach! Jeden z tamtych potyka się z krzykiem. Dwaj pozostali nie wiedzą, skąd padły strzały. Która klatka? Mają do wyboru pięć. Biegną do środkowej, ostrożnie, pod ścianą, mając broń gotową do strzału. Tristan może strzelić już teraz – ma ich w celowniku, ale zdradziłby swoją obecność tym, którzy być może tylko na to czekają. Przyczaja się więc za okienną framugą, a gdy tamci pokazują się w oknie klatki po przeciwległej stronie, skacze w światło okna i… dwie kule – dwa trupy. Prosto w łeb.

Zapada martwa cisza. Może to koniec. Ale Tristan nie jest niczego pewien.

– Chodź – mówi szeptem do Marie.

Dziewczyna, skulona pod okiennym parapetem, podnosi nań oczy. Już nie jasne i niebieskie jak letnie niebo, a granatowe jak nadciągająca noc. A i tak piękne. Ile ufności jest w tych oczach… Podaje mu rękę, szczupłą, drżącą i zimną i znów zaczynają uciekać. Po schodach. Aż na samą górę.

Wpadają na jakiś strych. I muszą odetchnąć choć chwilę. Tristan może biec dalej, napędza go adrenalina, ale Marie oddycha ciężko i zwalnia z każdym krokiem.

Wpycha ją na to poddasze, zatrzaskuje za nimi drzwi. Ona upada na kolana pośrodku zakurzonego pomieszczenia, on musi sprawdzić, czy jest bezpiecznie. I czy znajdą inną drogę ucieczki, w razie gdyby tamci weszli po schodach.

Małe drzwiczki do suszarni, komin, drabina, wyłaz na dach. Tędy uciekną. Wydawałoby się, że Tristan miota się po pomieszczeniu od ściany do ściany, z pistoletem w wyciągniętej dłoni, ale jego umysł pracuje szybko i jasno. Sprawdzić pomieszczenie, zabezpieczyć drogi ewakuacji. Pod klamkę drzwi, którymi tu weszli, podstawia krzesło. Kłódkę wyłazu na dach utrąca kawałkiem żelastwa. Odrzuca klapę. W trzy sekundy będą na zewnątrz. Teraz może odpocząć…

Odwraca się do dziewczyny. Ona klęczy, tak jak ją zostawił. Pochyliła głowę i wpatruje się w swoje ręce, lepkie od krwi. Plecy drżą jej od cichego łkania. Wielkie łzy skapują do wnętrza dłoni, mieszając się z tą krwią. Cicha rozpacz i beznadzieja na twarzy Marie łamią serce. Tristan przypada do niej, chwyta ją w objęcia i przytula mocno.

– Och, Marie – szepce. – Zabandażuję ci ręce, tylko nie płacz, proszę.

– Oni… oni po mnie znów przyjdą.

– Niech spróbują. Odstrzelę im łby. A jeśli jednak… Za każdym razem wyrwę cię z ich łap. Przecież wiesz o tym… Jestem przy tobie, Marie Solay.

Unosi twarz dziewczyny, delikatnie ociera łzy z jej policzków. Ona przytrzymuje jego dłoń.

– Przyjdziesz? Za każdym razem? Nie zostawisz mnie?

– Nigdy cię nie zostawię – mówi Tristan z takim przekonaniem, że nawet on sam wierzy w te słowa.

Marie kiwa głową. Zakurzone włosy zakrywają jej twarz, na której zakrzepła krew jednego z bandytów. Tristan ostrożnie bierze jej dłonie, poharatane odłamkami cegieł czy szkła – musiała się po drodze potknąć, a on pewnie pociągnął ją za sobą – i rozgląda się w poszukiwaniu czegokolwiek, czym mógłby opatrzyć te biedne, zakrwawione dłonie.

Wreszcie szarpie zębami własną koszulę, oddziera dwa długie pasy materiału i delikatnie owija najpierw prawą dłoń dziewczyny, potem lewą.

Marie podnosi nań oczy, błyszczące od łez, ale i jeszcze czegoś, czego on nie śmie nawet nazwać. Przez parę uderzeń serca nie może oderwać spojrzenia od tych pięknych, niebieskich oczu i od światła, które tli się na dnie jej źrenic. Nagle kilka pięter niżej rozlegają się czyjeś ostre słowa. Światło w oczach dziewczyny gaśnie. Wtula się w Tristana całym drżącym ciałem. Oboje nasłuchują.

– Spadamy stąd – mówi chłopak półgłosem.

Czy to obława, czy mieszkańcy kamienicy – to bez znaczenia. Na strychu nie jest już bezpiecznie. Tristan podaje Marie rękę, pomaga jej wstać i znów są razem. Znów uciekają. Po drabinie, przez wyłaz, na samą górę. Zatrzymują się na chwilę. Tristan wychyla się przez otwarty wyłaz, sprawdza, czy droga wolna. Muszą wyjść na otwartą przestrzeń. Jeżeli nie czeka tam na nich drugi snajper, mają szansę…

Dachy aż po horyzont są puste. Ale za każdym kominem może czaić się człowiek Cojona. Nie mają jednak wyboru. Muszą wydostać się z matni. Tristan dobiega do krawędzi, za którą zieje przepaść. Dwa metry dalej zaczyna się następny budynek. On przeskoczyłby bez namysłu i bez wysiłku. Ale Marie…? Jeżeli spanikuje, spadną w przepaść oboje.

– Skaczemy – rzuca Tristan.

Marie przytakuje, ale on nie jest pewien, czy dziewczyna rozumie to, co się do niej mówi.

Biorą rozbieg. Przelatują nad otchłanią, a Tristan czuje ulgę i ogromną wdzięczność. Nie ściąga go w dół ręka dziewczyny, ona skacze razem z nim. Zaufała mu. Uwierzyła…

Spadają na sąsiedni dach. Biegną. Jeszcze jeden skok. I następny. Zatrzymują się. Marie upada na kolana, próbując złapać oddech. Tristan nasłuchuje długą chwilę.

Nikt ich nie goni.

Uciekli…

Jeszcze tylko jeden telefon do kogoś, kto im pomoże, i mogą odpocząć…

Wtuleni w siebie i wnękę dachu, słuchają wyjących w dole karetek i policji, nie śmiąc ruszyć się z miejsca. Zresztą… ani jej, ani jego nie interesuje to, co się dzieje na dole. Gdy zamieszanie wreszcie ucichnie, będą czekali jeszcze długi, długi czas, nim Tristan zdecyduje, że mogą wstać, zejść na ulicę i przedostać się do przystani, na której czeka na nich srebrzysto-biała smukła Serenity. I przyjaciele.

– Ojciec pozwala ci pić? – padło pytanie.

Tristan zamrugał i powrócił do teraźniejszości. Serce, które przypomniało sobie chwile ucieczki i teraz łomotało w piersiach, zaczęło się powoli uspokajać. Byli przecież bezpieczni…

– Przydałaby ci się odrobina whisky. Ojciec pozwala ci na alkohol? – powtórzył Ariel.

Od paru chwil stał przy chłopaku, zapatrzonym przed siebie szklistym wzrokiem, ze szklaneczką bursztynowego trunku w dłoni. Tamten spojrzał nań i uniósł kącik ust w krzywym uśmiechu.

– Ojciec o wielu rzeczach nie ma pojęcia i niech tak zostanie – odparł, po czym wziął od Ariela szklankę i wychylił alkohol do dna, jednym haustem. – Tutaj – zatoczył ręką krąg – nie piję. Tam – wskazał południe – trzeba było.

Ariel skinął głową. Wiedział, a przynajmniej domyślał się, że chłopak na wojnie swoje przeszedł. I rzeczywiście nikt, kto nie brał udziału w walkach, nie ma pojęcia, jak **tam** jest.

– Połóż się, prześpij – rzekł łagodnie. – Jesteś bezpieczny.

Tristan skinął głową, ale zanim padnie na łóżko i zaśnie, gdy tylko zamknie powieki, jeszcze zapyta:

– Z Marie wszystko w porządku?

# ROZDZIAŁ XIV

Raul obudził się dobrze po południu. Uniósł ramię, osłaniając oczy przed jaskrawym, cypryjskim słońcem, rozejrzał z niejakim zdumieniem dookoła. Usiadł. Był w swoim pokoju, w tym samym, który kiedyś przeznaczył dla Soni – dawne czasy… – a teraz wybrał dla siebie.

Spojrzał zdziwiony po sobie. Jak nad ranem, po otrzymaniu wiadomości, że Tristan i Marie są bezpieczni, padł na łóżko w koszuli i spodniach, tak przespał południe i część dnia. Od niepamiętnych czasów nie czuł się tak wypoczęty jak dziś. Ale VillaRosa zawsze dobrze na niego działała. Powietrze było tu inne, rześkie, pachnące, lekkie, inaczej się oddychało, inaczej myślało, spać też można tu było spokojnie. Granice są dobrze strzeżone. Oby…

Przeszedł do łazienki, zrzucił ubranie, wziął szybki prysznic, a potem stanął przed lustrem całkiem nagi, przyglądając się uważnie swemu ciału. Było sprężyste, wysportowane i zahartowane na teksańskiej prerii. Mięśnie, wyrobione w kilometrach wędrówek pieszych i konnych, wspaniale się prezentowały pod śniadą, opaloną skórą. Zachowały siłę sprzed lat, Raul był tego pewien. Gdyby chciał, mógłby startować w dowolnych zawodach z Tristanem i wcale nie jest powiedziane, że tamten by wygrał…

Skrzywił się lekko na widok pięciu blizn po kulach. Dwóch sprzed czasów Soni i trzech, które zarobił od brata. Vincenta.

Vini… Nie drgnęła mu ręka, gdy strzelał do Raula, raz po raz, kula w brzuch, potem dwie w serce… Ale Raulowi też nie drgnęła, gdy podkładał ładunek wybuchowy pod piękną Rivę, łódź, którą – był tego pewien – Vincent będzie uciekał z VillaRosy. Tak się właśnie skończyła braterska miłość braci de Luca…

Blizny nie dodawały Raulowi uroku – tak mu się właśnie wydawało, choć być może kobiety miały na ten temat inne zdanie – ale już czarne włosy i czarne oczy, których wyraz był tak samo ostry, niemal drapieżny jak przed laty, owszem. Do swojej urody nie przykładał większego znaczenia, chyba że miała stanowić oręż w walce o mafijne wpływy, wtedy wykorzystywał ją, jak wszystko inne, by osiągnąć cel. I zgadzał się z Vinim czy Pawłem, gdy powtarzali z lekką zazdrością, chociaż i oni mieli się czym pochwalić: „Możesz mieć każdą kobietę, jaką zechcesz. Wystarczy, że wyciągniesz dłoń, i jest twoja”. Dlaczego więc teraz stoi przed lustrem i przygląda się sobie tak krytycznym okiem? Bo kobieta, której zapragnął, była od niego szesnaście lat młodsza. Tylko tyle i aż tyle.

Przegarnął wilgotne włosy palcami. Ułożyły się w miękkie, nieco za długie kędziory. Ogolił się. Lubił mieć gładkie policzki, pachnące dobrym płynem po goleniu. Kobiety też to lubiły. I był pewien, że Weronika do nich należy.

Weronika…

To dla niej stał teraz przed lustrem i szacował swoje szanse.

Och, pragnęła go, to jasne, sama przecież z rozbrajającą szczerością się do tego przyznała, Raul też jej pragnął, ale… ona nie była typem kobiety na jedną noc. Była tą, którą się wybiera na całe życie. Czy on, Raul, potrafiłby Weronikę, śliczną, pełną wdzięku i uroku Weronikę o płomiennych włosach i oczach złotych jak wschód słońca, skrzywdzić potraktowaniem jak

wakacyjną przygodę? Przespać się z nią parę razy, nie wychodzić z jej łóżka dotąd, aż jedno z nich będzie musiało odejść, na do widzenia pocałować w dłoń i życzyć szczęścia?

Nie. Nie, po stokroć nie. Ona nie była jednorazową przygodą, a on takiej przygody nie pragnął. Pragnął tego, co zawsze: jednej jedynej, w której się zakocha, której się oświadczy, z którą się ożeni i…

– Przystopuj, de Luca – prychnął. – Raczej nie ujdziesz z życiem z tego bagna, które się pod tobą otworzyło. Gdzie ci do „zakocha się, oświadczy, ożeni”… że o dzieciach, które też ci się marzą, nie wspomnieć.

Ale patrząc sobie w oczy, gdy mówił te słowa, nie mógł nie przyznać się przed sobą do błędu, który już zdążył popełnić: zakochał się w złotookiej Weronice Orvi. To nie było li tylko pożądanie zżerające wyposzczonego samca – nad tym potrafił panować. To było zakochanie. Jeszcze nie miłość, ale już nie zauroczenie.

– No to masz problem, stary – mruknął, odwrócił na pięcie i wyszedł z łazienki, wpadając wprost na… Weronikę oczywiście.

Cofnął się o krok. Ona krzyknęła cicho, patrząc nań wielkimi oczami.

Dopiero po sekundzie czy dwóch zorientował się, że stoi przed nią nagi, jeszcze lśniący kroplami wody po kąpieli i… cóż… z męskością dokładnie wskazującą, kogo on, de Luca, pragnie.

Weronika w panice cisnęła weń ręcznikiem. Owinął się w biodrach, co niczego specjalnie nie zmieniło. Wciąż jej pragnął, a ona wciąż mogła się o tym naocznie przekonać.

– Prze-przepraszam cię bardzo – zająknęła się, odwracając wzrok od jego lędźwi. – Pukałam do drzwi. Myślałam, że wyszedłeś na spacer. W pokoju było cicho, w łazience cicho… Przepraszam. Przyniosłam świeże ręczniki i…

– Jeden właśnie się przydał – wpadł jej w słowo, myśląc przy tym, jak ślicznie i dziewczęco wygląda z tym rumieńcem zawstydzenia.

Teraz powinien przygarnąć ją delikatnie, łagodnie, jak płochliwą sarnę, jednym ramieniem, drugą dłoń wsunąć w jej włosy, przytrzymać lekko na karku i zacząć całować… tak jak wczoraj wieczorem, nim przerwał im telefon od Ariela… całować dotąd, aż ona wyszepce te same słowa: „Tak bardzo, bardzo cię pragnę”, a potem chwycić ją na ręce, przenieść na łóżko i kochać tak, jakby to był ich pierwszy i ostatni raz… Widział w jej oczach, które pociemniały z pożądania, że ona pragnie tego samego, i właśnie dlatego odezwał się niskim, nabrzmiałym emocjami głosem:

– To nie ma sensu, Weroniko. Nic z tego nie będzie. A przynajmniej nic dobrego.

Jeszcze przed chwilą była tak blisko, że mógłby wsunąć dłonie w jej włosy i krok po kroku zacząć spełniać swe fantazje, teraz cofnęła się. Zaledwie o krok, ale między nimi rozwarła się otchłań.

– Dlaczego tak uważasz? – zapytała, pilnując, by jej głos zabrzmiał obojętnie.

– Przybyłem znikąd i donikąd odejdę. Ty zostaniesz ze złamanym sercem. Nie chcę cię krzywdzić.

– Nie pochlebiaj sobie – uniosła kącik ust w uśmieszku, przechyliła nieco głowę i zmrużyła oczy. Cała była jednym wielkim krzykiem żalu, ale dobrą minę do złej gry zrobiła na pewno. – Nie tacy jak ty próbowali na mnie swoich sztuczek. I nie martw się o moje serce. Jest tak pobliźnione, że łatwo go nie złamiesz.

Wcisnęła mu naręcze ręczników w ramiona, odwróciła się i ruszyła do drzwi.

W dwóch susach był przy niej, odwracał do siebie, zamykał w ramionach i robił dokładnie to, co sobie przed chwilą wymarzył. Całował ją, z początku próbującą się wyrwać, odpychającą go drobnymi dłońmi, aż dłonie te opadły bezwolnie, potem uniosły się i przygarnęły go z całej siły. Całował dotąd, aż zaczęła omdlewać z rozkoszy od samego dotyku jego ust. Pieścił jej wargi swoimi wargami, muskał językiem jej język, a gdy w końcu ulegle zaczęła oddawać pocałunki, jego gra stała się bardziej brutalna, zachłanna, spragniona więcej i więcej, i jeszcze więcej. Ona nie zdawała sobie sprawy z tego, że prowadzi ją ku ścianie, tak jak wczoraj… Że chce, by wsparła się o chłodną gładź plecami, by oplotła jego lędźwie szczupłymi, opalonymi udami, by mógł przycisnąć swoją gotową na wszystko, twardą, nabrzmiałą męskość do jej wzgórka i… Odrzucił głowę do tyłu, zacisnął zęby z rozkoszy tak silnej i nieoczekiwanej, że aż bolesnej, i eksplodował niczym uczniak na swej pierwszej randce.

Powoli otworzył oczy. Weronika patrzyła prosto w jego czarne, zogromniałe źrenice.

– Przepraszam – wydusił, zażenowany do granic.

Nie pamiętał, kiedy przydarzył mu się taki brak kontroli. Ona pogładziła go po policzku gestem tak nieskończenie czułym, że poczuł łzy pod powiekami i szepnęła, bo tylko szept mogła wydobyć przez zaciśnięte ze wzruszenia gardło:

– To był najpiękniejszy komplement. Dziękuję.

Pochylił głowę tak, że zetknęli się czołami. Stali w ciszy i świetle jasnego, słonecznego popołudnia, chłonąc piękno tej chwili.

– Dawno, bardzo dawno nie miałem kobiety. Nie pamiętam, od ilu lat – mówił szeptem, jakby się bał, że odezwie się na głos i chwila szczęścia pryśnie. – Ty jesteś pierwszą, którą odważyłbym się pokochać.

– A jesteś odważny – zauważyła, uśmiechając się lekko, przekornie. – Więc zrób to.

– Nie wiesz, o co prosisz – pokręcił głową. – Dwie kobiety, właściwie jeszcze dziewczyny, które wypowiedziały te słowa przed tobą, nie żyją. Obie zostały zamordowane. Nie wiesz, o co prosisz, Weroniko…

Odsunął się od niej. Czar chwili prysł. Weronice wydało się, że słońce nagle zgasło, a przez pokój przeleciał lodowaty wiatr.

– I dlatego, że one nie miały szczęścia, ja mam nie spróbować? – zapytała cicho. – Choć może to najlepsze, co mogło mi się w życiu przydarzyć? Naprawdę odbierzesz, jeśli nie sobie, to mi, tę szansę?

– Nie wiesz, o co prosisz, Weroniko – powtórzył z bólem, odwrócił się i wszedł do łazienki, zamykając za sobą drzwi na klucz.

Gdy wrócił do pokoju, już jej nie było.

*

Marie wyszła na pokład, jeszcze zarumieniona od długiego snu. Dłonie, poobcierane podczas ucieczki, ktoś troskliwie obmył i odkaził gojącym płynem. Już nie bolały. Przygładziła włosy, ale morska bryza natychmiast je rozczochrała. Drobinki wilgoci prysnęły jej w twarz, ożywczo, radośnie. Starła je dłonią, zacisnęła palce na barierce chroniącej przed wypadnięciem za burtę i zapatrzyła się na lśniące wody, które ciął na pół dziób szybkiej, smukłej łodzi.

Żyję! – ta myśl przyszła jej nagle do głowy. – Żyję!!!

Tak! Jakimś cudem pozostała wśród żywych! Była bezpieczna! Daleko od zbirów, którzy chcieli ją zgwałcić, daleko od bandytów, którzy do niej strzelali, daleko od tego wszystkiego, co stanowiło koszmar ostatnich dni. Żyła! I on, Tristan, także żył!

To nieomal wyśpiewała na głos, zbiegając z powrotem pod pokład. Musiała go znaleźć! Musiała stanąć przed swoim wybawicielem, przed księciem z bajki, który wyrwał ją ze szponów bestii, i wyśpiewać mu całą swoją wdzięczność i miłość. No, na razie wdzięczność.

Ale Tristana w jego kajucie nie było…

Siedział na śródokręciu, krzywiąc się lekko z bólu, podczas gdy jasnowłosa kobieta – Danka, teraz Marie ją sobie przypomniała – zmieniała mu przesiąknięty krwią opatrunek.

– Nie podoba mi się to – pokręciła głową. – Ile już krwi straciłeś? Blady jesteś jak...

– Nie miałem czasu na opalanie – wpadł jej w słowo, wzruszył lekko ramionami i aż przygryzł wargę z bólu.

– Tak się kończą niewczesne żarty. – Pogroziła mu żartobliwie palcem, ale spodobała się jej nonszalancja młodego mężczyzny. Pasowała do jego szarozielonych oczu o zaczepnym, niemal wyzywającym spojrzeniu, nieco za ostrych, zdecydowanie męskich rysów twarzy i ust zaciśniętych teraz w wąską kreskę.

– Gdy przybijemy do portu w La Rochelle, pójdziesz do lekarza. I nie zgrywaj bohatera, Tris. Ta rana nie zagoi się ot tak. Trzeba nowych szwów i końskiej dawki antybiotyku albo skończy się to gangreną. Nie chcesz stracić ręki, no nie?

Zbladł jeszcze bardziej. Nie. Ręki po czymś, co wydawało się draśnięciem, tracić nie chciał.

Danka spojrzała nad jego ramieniem, uśmiechnęła się do Marie i puszczając Tristanowi oczko, wyszeptała:

– Ale głowę stracić możesz.

Odwrócił się i nagle… jego oczy złagodniały, kąciki ust uniosły się w uśmiechu.

– Marie, jak się czujesz?

– Wypoczęta. I głodna – odrzekła, podchodząc do nich. Na ramieniu, powyżej rany, poczuł lekkie niczym muśnięcie motylich skrzydeł dotknięcie jej dłoni. – Tak bardzo mi przykro, że cierpisz z mojego powodu…

– Będę cierpiał, jeżeli jeszcze raz mi zwiejesz – nie mógł darować sobie i jej tej wymówki.

Pokręciła głową.

– Już nigdy tego nie zrobię. Nie mam powodu, skoro odzyskałam skarb.

Tak. To dlatego, ryzykując życiem nie tylko swoim, wymknęła się spod opiekuńczych skrzydeł Tristana i pobiegła z powrotem na dworzec. Tam otworzyła skrytkę, do której kod przekazał jej wieki temu tata i… oniemiała. Skrytka była pusta! Za to na tylnej ścianie przyklejono białą kartkę z napisem:

„Upewnij się, że nie jesteś śledzona! Wróć za pięć minut! Ten sam kod. Skrytka 625”.

Nie zdążyła wykonać ostatniego polecenia ojca, ale dzięki temu skarb nie wpadł – razem z Marie – w łapy bandziorów. Przypomniała sobie o nim w chwili, gdy Tristan dzwonił do kogoś, kto miał im pomóc w dalszej ucieczce. Jachtem. Jachtem?! Chyba wyskoczyłaby za burtę, gdyby odpłynęli bez tego, co zostawił jej tata. Nie mogła wyjechać bez skarbu, czy oni tego nie rozumieją?!

Na szczęście rozumieli.

Ale nie było mowy, by na Montparnasse ponownie udała się ona, Marie. Tristan powiedział jej to jasno i wyraźnie. Musiała więc zaufać komuś

jeszcze… Przekazała zatem kod i numer skrytki temu, z kim nawiązali kontakt. Danka wysiadła na nabrzeżu, bez przygód odebrała z dworca depozyt i ciągnącą się w nieskończoność godzinę później, kiedy to Ariel mało nie osiwiał ze strachu o żonę, wróciła na Serenity, przynosząc ze sobą cenną zdobycz, bo że była ona cenna, nikt nie miał wątpliwości.

Marie jednak po przybyciu na jacht była tak wyczerpana, że zapomniała o skarbie, zasnęła natychmiast po podaniu środków uspokajających. Teraz jednak, po przebudzeniu, przypomniała sobie o nim i patrzyła na kobietę z takim wyczekiwaniem w oczach, że ta zaśmiała się.

– Już, już oddaję ci twój skarb.

Zbiegła do sypialni, którą dzieliła z Arielem, i po chwili podawała dziewczynie ciężką torbę. Marie patrzyła na nią przez chwilę z niedowierzaniem. Wreszcie, po tylu przeżyciach, po tylu ciężkich bataliach, podczas których omal nie straciła życia, ma swój skarb. Ma to, co zostawił jej tata…

Przycisnęła torbę do piersi, czując napływające do oczu łzy.

– Czy chcesz… zobaczyć ze mną? – zwróciła się do Tristana, bo on zasługiwał, by dzielić z Marie tę chwilę.

Pokręcił głową.

– Ta chwila należy tylko do ciebie.

Posłała mu pełne wdzięczności spojrzenie, czując w sercu nieznane jej dotychczas uczucie. O miłości jedynie czytała w romantycznych powieściach. Jej rodzina nie zagrzała nigdzie miejsca na tyle, by Marie mogła sama się zakochać i zostać pokochana. Może teraz będzie miała więcej szczęścia…? I czasu…?

Nie zastanawiając się nad tym już dłużej, zbiegła po schodkach na dół, do swojej sypialni. Powoli rozsunęła zamek magnetyczny i jednym ruchem

wysypała całą zawartość torby na łóżko.

Czegóż tu nie było…!

Paszporty, dokumenty urodzenia w kilku językach na kilka nazwisk. Grube pliki banknotów: dolarów, euro, franków szwajcarskich… Sztabki złota, Marie nawet nie próbowała zgadywać, ile warte. Akty własności domu – jakiego domu?! gdzie?! – na wszystkie nazwiska, jakie znalazła w paszportach… A na koniec coś, czego można się było domyślać: ciężki, potężny sig sauer kaliber .45 i kilka pełnych magazynków. To spodoba się Tristanowi – pomyślała Marie, czując jednocześnie gdzieś w głębi duszy… rozczarowanie. Miała nadzieję… spodziewała się… listu od taty. Przecież wiedział, że skoro ona odbierze ten depozyt, jego nie będzie. I nagle aż krzyknęła z radości. Między dokumentami, spiętymi cienką linką, znajdowała się biała koperta podpisana jej imieniem. A w kopercie… Drżącymi rękoma rozdarła papier i ledwie przeczytała pierwsze słowa…

*Córeczko moja najdroższa…*

Zgięła się z nagłego bólu, który roztrzaskał ją od środka, wbiła zęby we własną dłoń, by nie krzyczeć, i trwała tak długie chwile.

Tatusiu… mamo… Jak strasznie mi was brakuje… Nie wytrzymam… nie zniosę tego ani sekundy dłużej… O Boże, Boże, jak boli…

– Marie? – usłyszała głos Tristana, który stanął w drzwiach kajuty, i podniosła nań wypełnione cierpieniem oczy.

Natychmiast był przy niej, chwytał dziewczynę w ramiona i przytulał do siebie. Suchy, rwący serce szloch wydobył się z samego dna jej duszy. Łzy, które przyniosłyby ulgę, nie chciały popłynąć.

Tristan, który pamiętał swoją rozpacz, rozpacz czteroletniego dziecka, po śmierci matki, nie próbował pocieszać Marie głupimi, zdawkowymi słowami: „Wszystko będzie dobrze, czas leczy rany”. Nie. On wiedział, że

tej straty – śmierci rodziców – nic ani nikt nie uleczy. Że ta rana będzie boleć do końca życia. On czuł żal i tęsknotę za matką, chociaż już nie pamiętał jej twarzy, aż do dziś. Minęło od tamtego dnia tyle lat, a nadal nie mógł się pogodzić, że go zostawiła, i… jakąś cząstką swej duszy nadal czekał na jej powrót, chociaż był na pogrzebie, widział jej bladą, nieruchomą twarz, wyrywał się z objęć Stanleya, krzycząc z przerażenia, gdy składali trumnę do grobu… Marie nie pozwolono pożegnać się z rodzicami. Nie była na ich pogrzebie. Nawet nie wiedziała, gdzie są pochowani…

Przytknął usta do włosów dziewczyny i gładził ją delikatnie po wstrząsanych szlochem plecach dotąd, aż zaczęła się uspokajać, płacz milkł. Wreszcie usiadła prosto, schowała poznaczoną krwistymi śladami dłoń za siebie i szepnęła, patrząc na chłopaka żałośnie:

– Dziękuję, że przy mnie jesteś. Tylko ty mi pozostałeś.

Odgarnął kosmyk włosów z mokrego policzka dziewczyny, ujął jej twarz w dłonie i pocałował ją delikatnie w usta. To znaczyło więcej niż tysiąc słów.

Pogładziła go z wdzięcznością po ramieniu, uniosła list do oczu i – zaciskając palce na dłoni Tristana – ponownie zaczęła czytać skreślone ręką Pawła słowa. Piękne, płynące z kochającego serca pożegnanie. Gdy skończyła, trwała przez chwilę nieruchomo, zbierając siły, by żyć dalej i mimo wszystko, po czym złożyła powoli list na czworo i wsunęła go do koperty, zamykając pewien rozdział w swoim życiu.

Nie była już dziewczynką, córeczką tatusia, która mogła schronić się w jego ramionach przed złem całego świata. Ojciec i matka zginęli, pozostawiając ją w tym piekle. Od tej chwili może liczyć tylko na siebie. I na Tristana.

– Chodź, Marie, wyjdziemy na pokład – odezwał się cicho. – Trzeba żyć dalej.

Tak. Twój mały wszechświat może się rozpaść na kawałki, ale ten na zewnątrz nic sobie z tego nie robi. Trwa jak gdyby nigdy nic. Nikt za ciebie nie ułoży puzzli twojego losu. Nikt nie weźmie na siebie twoich trosk, ale też nie będzie cieszył się twoim szczęściem, które gdzieś na ciebie czeka, czy teraz w to wierzysz, czy nie. Może masz je na wyciągnięcie ręki, Marie?

Tristan ujął dłoń dziewczyny, postawił ją przed sobą, uniósł jej twarz pod brodę. Spojrzała mu poważnie w oczy i kiwnęła głową.

Jeżeli ty będziesz przy mnie, jestem gotowa spróbować – odpowiedziała mu bez słów.

Trzymając się za ręce, wyszli na pokład, potem na mostek i stanęli za Arielem, patrząc, jak ten zgrabnie manewruje jachtem na zatłoczonych wodach kanału La Manche. Posłał im przyjazny uśmiech.

– Jak ramię? – zapytał Tristana.

– Twoja żona straszyła mnie gangreną i amputacją.

– Mnie też. Najchętniej zaciągnęlibyśmy cię do lekarza jeszcze w Paryżu, ale… to nie byłoby zbyt rozsądne. Musisz doczekać do La Rochelle.

– Doczekam. Po końskiej dawce prochów, jaką mi zaaplikowała, jest nieźle – odmruknął chłopak. – Jak długo będziemy płynąć?

– Na Cypr? Jakieś dziesięć dni. Oboje wypoczniecie, rany zaczną się goić. Dostarczę was do VillaRosy w stanie znacznie lepszym, niż kiedy weszliście na pokład. Gdy z twoim ramieniem będzie trochę lepiej, pozwolę ci usiąść za sterem – dodał łaskawie.

Tristan uśmiechnął się. Serenity III była naprawdę piękna. Pruła fale oceanu smukłym białym dziobem, zostawiając za rufą szeroki kilwater. Można się było zatracić w tym pędzie po roziskrzonych, granatowo-srebrnych wodach. Z wiatrem smagającym twarz, plączącym włosy…

Przyciągnął Marie do siebie, szczęśliwy, że ma dziewczynę u swego boku, całą i zdrową. Po ostatnich dniach, pełnych przemocy, strachu i niepewności, odpoczynek był im naprawdę potrzebny. Szczególnie Marie, która nie zdążyła się otrząsnąć po zabójstwie rodziców, a już zgotowano jej kolejne piekło. Spojrzał na nią. Uniosła pytająco wzrok i uśmiechnęła się do Tristana ze swą zwykłą nieśmiałością. Sprawiała wrażenie tak delikatnej i kruchej, jednak serce miała silne i niezłomne. Chłopakowi pytanie, jak się trzyma, wyleciało z głowy, gdy patrzył na jej lekko uchylone usta i uśmiech w oczach. Prawdę mówiąc, miał w tej chwili chęć ująć twarz dziewczyny w spragnione dłonie i całować ją dotąd, aż obojgu zabraknie tchu. Nie, same pocałunki by mu nie wystarczyły. Pragnął czegoś znacznie więcej…

I ojciec cię oskalpuje, gdy tylko ją tkniesz – wspomniał ponuro w duchu. Nie miał pojęcia, jak wytrzyma te dziesięć dni na wspaniałym, ale przecież nie największym jachcie, mając Marie tak blisko siebie. Dzień i noc tuż obok, na wyciągnięcie ręki.

Ariel przyglądający się dwojgu młodym ludziom przez ramię podchwycił udręczone spojrzenie Tristana i uśmiechnął się ze zrozumieniem.

– Proponuję szklankę zimnej wody – rzekł, puszczając do chłopaka oczko.

Ten prychnął, nagle rozzłoszczony, odwrócił się na pięcie i zniknął im z oczu. Marie odprowadziła go zdumionym spojrzeniem. Wydawało jej się przed chwilą, że Tristan jest szczęśliwy. Właśnie teraz, tutaj, gdy nikt ich

nie ściga, nie musi do nikogo strzelać i sam nie naraża się na kolejną kulę, gdy oboje są wreszcie bezpieczni. Tymczasem… uciekł, jakby nie chciał przebywać w jej towarzystwie ani chwili dłużej.

– Poszedł ochłonąć – pocieszył ją Ariel. – Nie zazdroszczę mu najbliższych dni.

Marie kiwnęła głową.

– Te rany muszą go bardzo boleć…

– Właśnie – zgodził się mężczyzna, a Marie poczuła, że z niej kpi. – Jeszcze bardziej będzie go bolało złamane serce, gdy wpadnie ci w oko jakiś przystojny Cypryjczyk.

– Ale… – Marie otworzyła szeroko oczy – przecież Tristan… Traktuje mnie jak dziecko! Młodszą siostrę, która co chwila pakuje siebie i jego w tarapaty!

– Powiem ci jedno, moja droga: Tristan jest stworzony do ratowania dam z opresji, i powiem ci jeszcze coś: on dokładnie wie, że nie jesteś jego siostrą. Resztę niech ci dopowie kobieca intuicja.

Zaśmiał się do siebie, a Marie poczuła, że oblewa się rumieńcem. Do tej pory wszystkie gesty Tristana – te przytulania, poklepywania po plecach, nawet ostatni pocałunek, taki… bratersko-siostrzany właśnie – odbierała jako zwykłą życzliwość starszego od niej chłopaka, który dostał za zadanie wyprowadzić ją z piekła, a ona… ona czuła, że z godziny na godzinę kocha Tristana coraz bardziej. Tak. Od pierwszej chwili czuła doń coś więcej niż sympatię, wdzięczność czy zaufanie. Była w nim zakochana, ale nie śmiała okazać mu tego ani jednym gestem, ani jednym słowem. Jeżeli jednak Ariel ma rację… Marie musi zdobyć się na odwagę albo straci Tristana na rzecz jakiejś pięknej Cypryjki. Na samą myśl o tym, że za dziesięć dni, po dotrzymaniu przysięgi złożonej ojcu i dostarczeniu jej, Marie, całej i

zdrowej do VillaRosy, on może po prostu odejść, zniknąć z jej życia tak nagle, jak się pojawił, poczuła ból w sercu.

Musi zdobyć się na odwagę. Teraz!

Zbiegła na niższy pokład. Wpadła do salonu, gdzie Danka przygotowywała kolację. Kobieta spojrzała na nią domyślnie i wskazała za siebie. Tristan siedział na rufie, wpatrując się niewidzącym spojrzeniem w spieniony kilwater, który Serenity zostawiała na wodzie.

Gdy Marie podeszła doń, uśmiechając się nieśmiało, uniósł na nią pytające spojrzenie. Usiadła obok, splotła nerwowo ręce i nagle wzięła głęboki oddech, jakby za chwilę miała skoczyć do morza, po czym zwróciła się do Tristana, przyciągnęła go do siebie i zaczęła całować. On w pierwszej chwili znieruchomiał zaskoczony.

To się źle skończy! – przemknęła mu przez umysł alarmująca myśl. – Ojciec cię zabije!

Chrzanić ojca! – odpowiedziało uprzejmie coś zupełnie innego niż mózg.

Jego ręce same powędrowały do Marie, palce wsunęły się w jej długie, rozwiewane przez wiatr włosy, usta zaczęły oddawać pocałunek, język rozchylił jej wargi, poczuł, że ona próbuje cofnąć się, nieprzygotowana na taką intymność, ale w następnej chwili poddała się ulegle i jego wargom, i językowi, i dłoniom pieszczącym jej kark, plecy… Lecz ciągle było mu mało. Boże jedyny, jak on jej pragnął! Chwycił ją za pośladki, podniósł i posadził sobie na kolanach. I znów zaczął całować, zachłannie, mocno, ale słodko zarazem. W niej zapłonął ogień. Jak bolesny, poczuła to aż na dnie jaźni. Przylgnęła do chłopaka całym rozdygotanym jak w gorączce ciałem i zatraciła się w pocałunku. Wsunął dłonie pod jej bluzkę, po prostu nie mógł ich powstrzymać! objął drobne, jędrne piersi dziewczyny, ona jęknęła i nie

był to jęk protestu. Kobiecość, której do dziś nie obudził żaden mężczyzna, ani jednym pocałunkiem, ani jednym dotknięciem, wyrwała się na wolność, gotowa oddać się temu jedynemu nawet teraz, w tej chwili. Zupełnie nie zdając sobie z tego sprawy, naparła na jego męskość lędźwiami. Aż wstrzymał oddech. I oderwał się od niej.

– Marie… – zaczął niskim, nabrzmiałym pożądaniem głosem. – Pocałunek pocałunkiem, pieszczoty pieszczotami, ale jeśli posuniemy się za daleko…

– Jestem pełnoletnia – wyszeptała, patrząc prosto w jego szeroko otwarte źrenice.

– Błagam, nie kuś mnie…

Poruszyła się, tym razem z rozmysłem, bo bardzo podobał się Marie sposób, w jaki Tristan na nią patrzy. Jakby była jedyną dziewczyną na świecie… Jęknął gardłowo i wyszedł jej naprzeciw. Oboje byli ubrani. Zdawali sobie sprawę ułamkiem świadomości, że lada chwila mogą zostać przyłapani przez Dankę albo Ariela, ale… Głód, jaki trawił ich młode, pełne życia ciała, był silniejszy od rozumu. To, co razem przeszli, domagało się czegoś więcej niż bratersko-siostrzanych przytulanek. Pragnęli siebie. W tej właśnie chwili! Ruchy ich bioder stały się gwałtowniejsze, ale bardziej zgrane. Jego dłonie przyciągały ciało dziewczyny z taką siłą, z jaką ona napierała na jego lędźwie. Nie mógł się już powstrzymać, nawet gdyby chciał. Przyspieszył. Uderzenia stały się coraz silniejsze. Z gardła dziewczyny wydostał się pełen niedowierzania jęk. Zbliżało się coś, o czym do tej pory czytała tylko w książkach. Czuła wilgoć tam, głęboko, czuła nieznośny ból domagający się spełnienia, czuła ogarniającą całe ciało rozkosz, krzyknęła cicho, unosząc się do gwiazd, on naparł na nią po raz ostatni i znieruchomiał, zaciskając zęby, by też nie krzyknąć. Trwali tak

przez kilka uderzeń serca, dzieląc się tą rozkoszą, i wreszcie on opadł na oparcie fotela, a ona osunęła się zupełnie bez sił na jego pierś.

Uniósł bezwładne ręce i otulił nimi jeszcze drżącą po orgazmie, pierwszym w jej życiu, dziewczynę. Przytknął usta do jej włosów. Pogładziła go ostatkiem sił po plecach.

– Nie przeszkadzam? – dobiegło ich pytanie Danki.

Marie zesztywniała, ale Tristan spojrzał na kobietę z niewinnym uśmiechem i odparł:

– Nie. Tak sobie siedzimy na słońcu i odpoczywamy.

– Kolacja na stole.

– Dzięki, przebiorę się w czyste ciuchy i zaraz będę.

Zwykle nie przebierał się do kolacji, ale tym razem… był zmuszony. Zaśmiał się cicho, mimo wszystko zmieszany tą sytuacją, gdy tylko Danka odeszła. Marie spojrzała mu w oczy i też zaczęła chichotać. Zamknął jej usta pocałunkiem, czując, że znów jej pragnie, znów jest gotowy. Lecz tym razem potrafił nad sobą zapanować. Może dlatego, że był pewien następnego…

– Musimy być ostrożniejsi – wyszeptał. Nie wypadało tak się zachowywać przy ludziach, którzy ocalili im skórę.

Dziewczyna skinęła głową.

– Może jak zasną? – zaproponowała.

– Nic z tego, kochana moja – odparł. – Gdy będę cię miał w łóżku, nie zadowolę się niewinnymi pieszczotami. A pójść na całość nie możemy.

– Dlaczego?

Pocałował ją po raz ostatni.

– Bo mój ojciec odstrzeli mi coś, co może się nam jeszcze przydać.

– Jestem pełnoletnia! – zaprotestowała.

– Ja to wiem i ty to wiesz, ale Raul to Raul. Dopóki on nie da nam swojego błogosławieństwa, nie odważę się na nic więcej, choć wierz mi, moja śliczna, że zrobiłbym to teraz, w tej chwili, pal licho Dankę i Ariela.

– Naprawdę? – udała zdziwienie i poruszyła biodrami w przód i w tył, patrząc z niedowierzaniem i radością, jak oczy Tristana ciemnieją z pożądania, czując pod wilgotnym wzgórkiem, że on znów jest gotów.

– Ty diablico – stęknął, po czym przeniósł ją nad sobą i posadził obok. – Naprawdę muszę się przebrać – spojrzał zmieszany na dżinsy mokre w kroku. – Mam nadzieję, że nie spotkam nikogo po drodze.

Marie zaśmiała się. Była w tym śmiechu złośliwość, ale w oczach miała czystą, przemożną miłość. Ona już znalazła tego jedynego. I nikt, żaden Raul, nie stanie jej na drodze do szczęścia.

# ROZDZIAŁ XV

Raul tymczasem zajęty był własną pogonią za króliczkiem, czy raczej powstrzymywaniem się od tej pogoni. Starał się unikać pokusy, naprawdę, ale było to trudne, gdy owa pokusa mieszkała z nim pod jednym dachem, jadała śniadania, obiady i kolacje w tej samej kuchni, a do swoich pokojów wchodziła po tych samych schodach. Spotkania były nieuniknione, a uprzejme „dzień dobry” i „dobranoc”, gdy oboje czuli do siebie nieprzeparty pociąg, coraz bardziej sztuczne. Chcieli się kochać, poznawać swoje ciała i potrzeby, sycić się bliskością, wzbudzać w sobie nawzajem namiętność, zasypiać razem i razem się budzić, a nie omijać się szerokim łukiem i rzucać zdawkowe „jak się masz?”, gdy na siebie wpadli, przypadkiem lub nie całkiem przypadkowo.

Na szczęście Raul miał swoje problemy, a Weronika swoje książki, bo atmosfera ciągłego napięcia stałaby się nie do zniesienia.

Przez pierwsze dni, gdy Serenity odbiła od wybrzeży Francji, kierując się ku Cieśninie Gibraltarskiej, skupił się na wydostaniu Daniela van der Welta z tarapatów, w jakie sam go wpakował.

Na wieść o aresztowaniu zadzwonił do Ani, żony Daniela. Chciał przeprosić kobietę i błagać ją o przebaczenie, ale ona nie pozwoliła mu dojść do słowa.

– Daniel ma się całkiem nieźle – poinformowała Raula, gdy tylko ten zaczął się usprawiedliwiać. – Dostał wygodną celę, ma laptop i gry

najnowszej generacji. Nic więcej mu do szczęścia nie potrzeba, a odpoczynek mu się przyda.

Raula zatkało.

– Wolałbym, żeby spędził wakacje choćby w VillaRosie – odezwał się. – Będziecie oboje honorowymi gośćmi…

– Dzięki, Raul, nie zrozum mnie źle, lecz wolę, by siedział w więzieniu, bezpieczny za grubymi kratami i chroniony przez uzbrojonych po zęby strażników, niż w twojej pięknej posiadłości, gdzie w każdej chwili mógłby stracić głowę. Dosłownie i w przenośni. – Zaśmiała się, wcale nie udawanie. Naprawdę wolała, by ukochany mąż wyszedł zza krat, gdy będzie po wszystkim. Gdy Raul de Luca upora się ze swymi prześladowcami.

On musiał przyznać jej w duchu rację, ale i tak będzie walczył o zwolnienie van der Welta za kaucją, a później oczyszczenie go z zarzutów.

Było coś jeszcze, o czym Ani nie mógł powiedzieć: bez pomocy Daniela czuł się ślepy. Działał po omacku. Potrafił znajdować w sieci informacje, owszem, ale nie był hakerem. Nie miał dostępu do czyichś maili czy telefonów, nie umiał włamać się na konto bankowe albo do systemu monitoringu. Potrzebny był mu van der Welt, i to szybko!

Federalni okazali się jednak wyjątkowo oporni na wszelkie naciski, bo też oburzenie najważniejszego sojusznika w walce z ISIS było ogromne. Francja inwigilowana przez Stany Zjednoczone?! Haker CIA włamuje się ot tak do systemu paryskiego monitoringu, akurat w dniu zamachu, w którym zginęło pięciu obywateli francuskich, po czym zaciera wszelkie ślady, kasując nagrania? To jest podejrzane, bardzo podejrzane i jeśli Amerykanie nie wyjaśnią kryzysu jednoznacznie, Francja będzie musiała podjąć kroki… I tak dalej, i tak dalej. Prezydent był wściekły, ambasador

USA w Paryżu był wściekły, parlament był wściekły i wszyscy oni, obok głównej zainteresowanej, czyli Francji, żądali głowy nieszczęsnego Daniela.

– Raul, daj mi trochę czasu – prosił Johannes Smith, gdy de Luca po raz kolejny dzwonił z żądaniem interwencji. – Niech sprawa ucichnie. Za miesiąc czy dwa…

– Facet, który narażał się dla mnie, i dla twojej Firmy również, ma siedzieć miesiąc czy dwa w więzieniu federalnym?! Za co?! Działał w interesie Stanów Zjednoczonych i Francji! Tylko dzięki Danielowi Marie jest cała i zdrowa…

– Marie Solay to nie jest interes ani Stanów, ani Francji – wtrącił Smith. – Musisz to zrozumieć. To twoje prywatne porachunki z mafią.

– Jak śmiesz tak mówić!? Zadanie, które przydzieliłeś mi dwadzieścia lat temu, nie było moim prywatnym interesem! A Marie Solay ponosi konsekwencje waszej głupoty!

– I twoich błędów, Raul.

W tym momencie de Luca mało nie zmiażdżył telefonu. Gdyby w ręce miał gardło Smitha, ten zadławiłby się swoimi słowami.

– Moim największym błędem było to, że przeżyłem – wycedził, gdy odzyskał głos. – Ale przeżyłem, pułkowniku, czy ci się to podoba, czy nie, a skoro tak, jesteś mi winien parę przysług i sporo kasy, którą do spółki z Polską, Niemcami, Cyprem i właśnie Francją mieliście wpłacić na konto moje albo Pawła i Soni. Nigdy nie dostali tych pieniędzy, ja również nie, więc teraz się ich domagam. Z odsetkami za niemal dwadzieścia lat.

– Raul… pracuję nad tym… – zaczął Smith pojednawczo. – Muszę zebrać mnóstwo papierów i jeszcze więcej podpisów, ale dostaniesz te pieniądze.

– Moje pieniądze.

– Tak, oczywiście, twoje.

– W ramach zaliczki opłać kogo trzeba i wyciągnij z więzienia Daniela van der Welta. On służył i służy twojemu zasranemu krajowi. Masz wobec niego powinność do spełnienia.

– Działał samowolnie!

– Gówno, nie samowolnie. Pracował nad akcją „Złoty Pył”. Na twój rozkaz. Ta akcja trwa nadal, a ja potrzebuję van der Welta.

– Damy ci kogoś innego.

– Van der Welta, pułkowniku Smith – powtórzył z naciskiem i rozłączył się.

Gdy sfrustrowany do granic cisnął telefon na kanapę, wstał i wyszedł na taras, by nieco opanować targającą nim furię, nie po raz pierwszy przyszła mu do głowy niepokojąca myśl: Dla kogo pracujesz, Johannesie Smith? Po czyjej stoisz stronie? Bo wygląda na to, że nie po tej samej co ja…

Nałożył na nagi tors czarny podkoszulek, wciągnął czarne szorty i wyszedł z domu. Musiał pobiegać. Nic tak nie oczyszczało umysłu jak długi, forsowny bieg. Może wysiłek w ostrych promieniach popołudniowego słońca nie był najlepszym pomysłem, ale Raul przywykł do upału. Ostatnie lata spędził przecież na teksańskiej prerii…

Biegł wzdłuż wybrzeża równomiernym krokiem. Lekki wiatr muskał jego twarz i czarne włosy. Na ciele perlił się pot. Wysiłek w tak pięknym otoczeniu sprawiał mu czystą radość. Pokonał stromą ścieżkę na klify, którą wybrał przypadkiem, a może i nie, i teraz miał po prawej stronie urwisko, po lewej las otaczający VillaRosę. Przed sobą zaś…

Zwolnił kroku, nie wiedząc, czy Weronika życzy sobie jego towarzystwa. Nie mógł przecież przebiec obok niej, nie zatrzymując się

choćby na parę zdawkowych słów.

Ona odwróciła zamyślone spojrzenie od morza, falującego łagodnie kilka pięter poniżej urwiska. Na widok Raula jej oczy rozbłysły, ale zaraz ten blask przygasł. On nie życzył sobie żadnych uczuć z jej strony. Od paru dni dawał jej to wyraźnie do zrozumienia. Myślała, że chwila namiętności, gdy dał dowód, że Weronika nie jest mu obojętna, zbliży ich do siebie, ale stało się odwrotnie. Raul unikał jej, jak tylko mógł.

Teraz podszedł do kobiety, oddychając głęboko. Odgarnął z czoła sklejone potem włosy i usiadł obok. Na tyle blisko, by czuć całym ciałem jej obecność, na tyle jednak daleko, by nie dotknąć jej nawet przypadkiem.

Przyglądała mu się spod opuszczonych rzęs. Był… niesamowicie pociągający. Napięte mięśnie grały pod opaloną na brąz skórą. Włosy lśniły od wilgoci. Pierś unosiła się w szybkim oddechu. W oczach odbijały się migotliwe morskie fale. Boże mój, jak ona go pragnęła… Szczególnie w tej chwili, gdy był tak blisko, a jednocześnie tak daleko…

– Kłopoty? – odezwała się, by przerwać coraz bardziej ciążącą jej ciszę.

Nie musiała się z nim kochać, skoro sobie tego nie życzył, ale chciała rozmawiać tak beztrosko i niewymuszenie jak przed tym fatalnym dniem, gdy ich poniosło.

– FBI aresztowało mojego przyjaciela – odrzekł. – Pomagał mi wtedy, gdy rozpracowywałem mafię, pomaga teraz, gdy próbuję uratować córkę przyjaciół, których ta mafia zamordowała, a ci kretyni wsadzają go za kraty…

Mógł zbyć ją paroma słowami: „Tak, owszem, kłopoty, ale kto ich nie ma”, ale… chciał być z Weroniką szczery. Ona ma prawo wiedzieć, kogo gości pod swoim dachem i w kim zdążyła się zakochać. By mieć czas na…

Cóż, wyrzucić go z domu nie mogła, dopóki on, Raul, tego domu potrzebuje, ale odkochać się? Jak najbardziej. Na to był jeszcze czas.

– Jak mogę pomóc? – zapytała po chwili milczenia.

Spojrzał na nią z niedowierzaniem. Policja aresztowała jego kumpla, a ona nie ma żadnych wątpliwości, że Daniel działał po słusznej stronie? I że on, Raul, również?

Ujął jej dłoń i ucałował.

– Danielowi nie jesteś w stanie pomóc, ale mi owszem – odparł, czując głęboką wdzięczność do tej niezwykłej, wielkodusznej kobiety. – Dwadzieścia lat temu tutaj, w VillaRosie, miała miejsce niezła jatka…

– Wiem. Zbierałam na ten temat materiały. Mówiłam, że piszę książkę o tamtych wydarzeniach, ale tak naprawdę chciałam wiedzieć o tobie wszystko. Miałam na twoim punkcie obsesję.

I mam ją do dzisiaj. Jeszcze większą – dodała w myślach, rumieniąc się mimowolnie.

Przez trzy lata, jakie minęły od śmierci syna, Weronika kreśliła w wyobraźni obraz bezwzględnego mordercy, Raula de Luki, który – jak przypuszczała – za tą śmiercią stał. To jego kartel kontrolował Trójmiasto – przynajmniej takie informacje docierały do wiadomości publicznej. Rzeczywistość przerosła jej wyobrażenia. Raul stał po tej samej stronie barykady co ona, Weronika, i został za to tak jak ona „wynagrodzony”: śmiercią najbliższych. Dzielili więc ten sam ból. A nic tak nie zbliża dwojga poharatanych przez los ludzi jak cierpienie. Mogli pocieszyć siebie nawzajem, bo rozumieli się jak nikt inny. Mogli zapełnić pustkę, którą od lat oboje nosili w sercach, bo nikt inny nie wiedział, jak głęboki skrywają w nich żal. Mogli dać sobie wszystko i być dla siebie wszystkim. Gdyby tylko on chciał to zrozumieć…

Patrzył na siedzącą obok kobietę w milczeniu i nie mógł myśleć o niczym innym niż o pięknie jej twarzy, teraz lekko zarumienionej, o zarysie jej piersi pod obcisłą bluzeczką, lśniących włosach, które rozwiewał wiatr, aż musiała odgarniać je co chwila wdzięcznym gestem smukłej, opalonej dłoni, i z trudem panował nad chęcią wzięcia Weroniki w ramiona. Odegnania smutku z jej złocistych oczu, podarowania im obojgu chwili zapomnienia.

Ale nie uczynił nic. I odeszła mu ochota na opowiadanie o jatce, jaka miała miejsce dwie dekady temu. Zamiast tego wstał, pożegnał ją chłodniej, niż zamierzał, i zawrócił w kierunku domu.

*

Cojon przyglądał się Stanleyowi Blackwellowi spod swojego kaptura z ciekawością badacza. Po torturach nikt nie rozpoznałby w tym strzępku człowieka dawnego dowódcy ochrony VillaRosy.

Był zdrajcą, czy też dostał od Raula polecenie, by zwabić Cojona na Cypr, było to temu ostatniemu zupełnie obojętne. O tym, że de Luca wrócił do VillaRosy, dowiedziałby się wcześniej czy później. Miał w Kyrenii swoich informatorów, którzy przysyłali mu regularne raporty z tamtego rejonu. Znęcał się więc nad Blackwellem dla samej przyjemności zadawania bólu. On cierpiał przez de Lukę męki do dziś. Rozległe poparzeliny nigdy nie zagoiły się do końca. Leki, które musiał przyjmować, uczyniły z jego szczupłego, pożądanego niegdyś przez kobiety ciała, monstrualny, ohydny kawał mięsa i tłuszczu. Nie było istoty, która nie odwróciłaby się na jego widok ze wstrętem. Kiedyś mógł mieć każdą dziewczynę, jakiej zapragnął, dziś tylko tę, którą upolował. Przyprowadzali mu od czasu do czasu nietknięte ręką mężczyzny nastoletnie dziwki – tylko w takich gustował – spojone alkoholem i nafaszerowane prochami, a one i

tak zaczynały wrzeszczeć, gdy tylko stawał przed nimi nagi. Okładał je wtedy pejczem, aż milkły i pozwalały mu na wszystko. Wyrazu obrzydzenia z ich pięknych twarzy nie mógł jednak zmazać nawet pięścią. Nawet po śmierci, bo po wszystkim dusił je jak kurczaki, miały odrazę w szklistych oczach.

O tak, Człowiek Bez Twarzy miał się za co mścić na tym, który mu odebrał wszystko…

Marie Solay cudem uniknęła ich losu.

Nie cudem, a dzięki temu skurwielowi – poprawił się w myślach Cojon, patrząc na Blackwella. – Co mi odpierdoliło, by wypuścić dziewczynę, a zgarnąć Blackwella?

Bez problemu potrafił sam sobie odpowiedzieć na to pytanie: trzy magiczne słowa. Raul de Luca. W paryskim półświatku pozostał człowiekiem-legendą. I za to Cojon również go nienawidził.

Jeden z czterech oprawców wstał, podszedł do Blackwella, zgasił o jego udo papierosa – koniec przerwy! – sięgnął po rozgrzany do czerwoności pręt i zbliżył go do nagiej piersi mężczyzny.

– Dosyć! – warknął Cojon.

Ręka z prętem zastygła bez ruchu.

Stanley, który patrzył na to oczami wybałuszonymi z przerażenia, oklapł. Zmalał. Nie krzyczał, gdy przypalali mu skórę żelazem. Nie szarpał się rozpaczliwie, gdy zanurzali mu głowę w wodzie i trzymali dotąd, aż tracił przytomność. Nie błagał o litość, gdy przypinali mu do jąder kable i przez udręczone do granic ciało puszczali prąd wysokiego napięcia. Na wszystkie pytania odpowiadał dwoma zdaniami, dopóki mógł mówić:

– Raul de Luca jest w VillaRosie. Czeka na mordercę Soni i Pawła.

Teraz zwiesił tylko głowę na piersi. Woda ściekała mu po włosach i skapywała na betonową posadzkę. Nie był zdrajcą. Działał na rozkaz Raula: miał podrzucić informację temu, kto go ściga. A że wyszło, jak wyszło… Grunt, że ci, których miał chronić – Tristan Latimer i Marie Solay – wymknęli się pogoni. Tamtej nocy nie mieli żadnych szans przeciwko zbirom Cojona. Trzech uzbrojonych w karabiny maszynowe i oni dwaj z pistoletem w dłoni? Bez szans. Jeden musiał odwrócić uwagę bandziorów. Padło na Stanleya. Nazwisko de Luki zadziałało.

Potem, przez wszystkie te dni, gdy znęcali się nad nim bez opamiętania, żałował, serdecznie żałował, że dwadzieścia lat temu de Luca uratował życie jego rodzinie, nakładając na Blackwella dług wdzięczności. Brat z żoną i jego dwie córeczki żyli bezpiecznie do dziś, matka z ojcem pomarli parę lat temu, ale godnie, spokojnie. Stanley spłacał swój dług od dwudziestu ośmiu lat. Być może po raz ostatni…

Podniósł udręczone oczy na monstrum w kapturze, które stało dwa kroki od niego.

– Co jeszcze chcesz wiedzieć, Cojon? – wychrypiał przez spalone kwasem gardło. Wczoraj go napoili tym świństwem. Zmusili do przełknięcia jednego łyku. Palił żywym ogniem aż do teraz… Ledwo udawało się złapać oddech, ledwo przełykał wodę, a mimo to trzymał się. Nadal się trzymał, licząc, że Raul go uwolni. Jakim cudem? Tego nie wiedział, a mimo to liczył na de Lukę jak nigdy dotąd. Na niego albo na szybką śmierć.

Cojon patrzył na niego z zadowolonym uśmieszkiem na oszpeconej bliznami twarzy. Nic nie chciał wiedzieć, ale chciał widzieć: Blackwella w takim właśnie stanie, w jakim teraz był. Zakatowanego niemal na śmierć. Niemal.

– Wyjdźcie – rzucił do swoich ludzi.

Natychmiast wykonali rozkaz. Do ostatniego wyciągnął rękę naglącym gestem. Tamten podał mu pręt, którego koniec żarzył się jeszcze na czerwono. Ciężkie drzwi zamknęły się za nimi.

Cojon powoli zdjął kaptur. Blackwell nie potrafił ukryć grymasu obrzydzenia na widok tej groteskowej twarzy. I nagle, gdy oczy Cojona znalazły się tuż przy jego twarzy… źrenice Stanleya rozszerzył szok. Błysnęło w nich rozpoznanie.

Cojon zamachnął się i jednym ciosem pręta zgasił ten błysk. Ciało Stanleya zawisło na sznurach, którymi był przywiązany. Ze zmiażdżonej czaszki trysnęła krew i strzępy mózgu. Człowiek Bez Twarzy przyglądał się temu jeszcze parę chwil, po czym wezwał z powrotem swoich ludzi i rzucił:

– Zapakujcie to ścierwo elegancko, kokarda, bilecik z życzeniami, i wyślijcie do VillaRosy. De Luca ucieszy się z prezentu.

Na szczęście to Raul był wtedy w domu, a nie Weronika.

Ludzie, których dwa dni temu przysłał Johannes Smith, zatrzymali przed bramą furgonetkę z logo firmy spedycyjnej, przyjęli przesyłkę – sporą metalową skrzynię – przeskanowali ją w poszukiwaniu ładunku wybuchowego, następnie otworzyli, zajrzeli do środka i wezwali de Lukę. Widok był makabryczny, fetor rozkładającego się powoli ciała jeszcze gorszy, ale żołnierze sił specjalnych byli na to odporni. Raul również. Spokojnie wydał polecenie zorganizowania pogrzebu, spokojnie powiadomił rodzinę Blackwella o jego śmierci i równie spokojnie jeszcze tego samego dnia odprowadził jego szczątki na pobliski cmentarz. Ale potem, gdy został sam w pustym domu, ten spokój prysł…

Upił się. Po raz pierwszy od niepamiętnych czasów spił się niemal do nieprzytomności, by wymazać z pamięci okaleczone, rozczłonkowane ciało

przyjaciela. Mimo hektolitrów alkoholu krążących w jego żyłach pozostał jednak przeraźliwie trzeźwy.

W środku nocy, cicho, by nie zbudzić Weroniki, która po powrocie z Kyrenii krążyła wokół milczącego Raula, nie śmiąc zadawać mu pytań, wsiadł do jeepa i ruszył z powrotem na cmentarz. Tylko późnej porze zawdzięczał dotarcie na miejsce w całości. Wysiadł i ruszył chwiejnym krokiem ku świeżej mogile. Padł przed nią na kolana, wsparł głowę na rękach i tkwił tak aż do świtu, nie mogąc ani się podnieść, ani upaść.

Gdy pierwsze promienie słońca rozświetliły nocne niebo, podniósł głowę. Spojrzał na prosty krzyż, na tabliczkę z imieniem i nazwiskiem Stanleya, na datę jego urodzin i śmierci. Czterdzieści dziewięć lat.

– Mogłeś jeszcze pożyć, bracie, gdybyś na swej drodze nie spotkał mnie, przeklętego de Luki… – wyszeptał z goryczą. Wstał, poprawił lekko przekrzywiony krzyż i odezwał się po raz ostatni: – Żegnaj, Stanley, przyrzekam, że dopóki żyję, twojej rodzinie nie zabraknie niczego.

Odszedł, nie oglądając się za siebie. Odnajdzie tego, kto zakatował Stanleya Blackwella, a przedtem zastrzelił Sonię i Pawła, bo teraz był pewien, że stoi za tymi wszystkimi morderstwami ten sam plugawy skurwiel, i odpłaci mu tym samym.

Czas zemsty zbliżał się z każdą sekundą. Ale jeszcze nie nadszedł… Jeszcze nie…

# ROZDZIAŁ XVI

Nie mógł tego rozgryźć. Nie sam. Potrafił wiele, znał się na broni, na samochodach, jachtach, bombach, bankach, pieniądzach, miłości, mafii i sztuce zabijania. Jeżeli czegoś nie potrafił, kupował ludzi, którzy byli lepsi od niego. Ale po dwudziestu latach kontakty się pourywały, część dawnych współpracowników siedziała w więzieniach, sporo poszło do piachu, bo z mafią nie ma przeproś, reszta przepadła Bóg wie gdzie, a ten, kto potrafiłby ich odnaleźć, kto posiadał tajemną wiedzę, jak zdobyć każdą, absolutnie każdą informację, gnił w więzieniu FBI! Pieprzonego FBI, które od zawsze miało na pieńku z CIA i jeśli tylko mogło przypieprzyć tej drugiej – oczywiście nie łamiąc prawa – zawsze korzystało z okazji…

– Smith, kiedy, do cholery, uwolnisz van der Welta?! – Ileż razy dzwonił do byłego zwierzchnika, wykrzykując te słowa coraz bardziej sfrustrowanym głosem. Odpowiedź była zawsze taka sama: „Robię, co mogę”.

– Więc gówno możesz! – wściekał się Raul i ciskał telefonem, bo tylko na przedmiocie mógł wyładować wściekłość.

Daniel siedział przez niego, Raula, w pierdlu, a on sam siedział na pięknym Cyprze i opalał się na jeszcze ciemniejszy brąz, niech to szlag! gdy morderca był coraz bliżej… Musiał namierzyć go pierwszy. Musiał zdobyć informacje, kim jest, czy też kim był, czym się zajmuje, jakie są

jego słabe i mocne punkty. Jak ma walczyć o życie z kimś, kto pozostaje w cieniu?

O Człowieku Bez Twarzy można było znaleźć parę informacji w internecie, ale były to bajeczki dla niegrzecznych dzieci, zupełnie bez wartości. To, czego poszukiwał Raul, mógł zdobyć jedynie dobry haker. A taki – najlepszy z najlepszych – odpoczywał właśnie w rezydencji federalnych. Niech ich szlag!

Raul odsunął się od biurka razem z krzesłem, wstał tak gwałtownie, aż runęło na podłogę, i wyszedł na taras, by ochłonąć. Przez całe życie pracował dla rządu, poświęcił siebie i najbliższych w walce z mafią, i tak właśnie pieprzony rząd mu się odpłaca…

– Kłopoty? – padło ciche pytanie.

Weronika zaalarmowana głośnym łomotem przebiegła z salonu do gabinetu na parterze, gdzie lubił pracować Raul, i teraz stała w drzwiach tarasu, przyglądając mu się ze zmartwioną miną. Wzruszył ramionami, chcąc ją zbyć tym niezbyt sympatycznym gestem, ale nie pozwoliła na to. Raul był jej zbyt drogi, by machnąć ręką na jego zmartwienia i zająć się własnymi. Szczególnie że jedynym ostatnio był właśnie on, czy raczej uczucie do niego, na które nic nie mogła poradzić.

– Mogę jakoś pomóc? – zapytała po raz setny chyba, od kiedy się poznali, podchodząc bliżej i dotykając lekko jego ramienia.

Kłopoty kłopotami, ale dotyk tej kobiety działał nań niczym impuls elektryczny. Poczuł go w każdej komórce ciała… I odsunął się nieco. Jej dłoń opadła.

– Jeśli znasz dobrego hakera, to owszem – prychnął.

– Znam.

Odwrócił się i spojrzał na nią z niedowierzaniem.

– Znasz? – zapytał ostrożnie.

Teraz ona wzruszyła ramionami.

– Pomagał mi kiedyś, gdy pisałam powieść o mafii. Potrzebowałam paru informacji, które nie są dostępne ogółowi społeczeństwa, i nawiązałam znajomość z takim jednym. Porządny facet. Choć haker. Ale robi to raczej dla zabawy. Nie łamie prawa – zastrzegła od razu.

– Mafia ot tak pozwoliła ci skorzystać z tych informacji? – Raul nagle stał się ostrożny.

Weronika zaśmiała się, ale nie był to radosny śmiech.

– Otóż nie! Książka jeszcze nie została ukończona, jeszcze miałam ją ja, i tylko ja, u siebie w swoim laptopie, gdy dostałam poważne ostrzeżenie, żebym dała sobie spokój, bo to, co spotkało mojego syna, może się przydarzyć i mnie. Odpisałam „życzliwemu”, żeby pocałował mnie w dupę, bo nic gorszego niż śmierć dziecka nie może mnie spotkać i… – Umilkła nagle. Przez jej twarz przemknął cień tamtego strachu.

– I…? – zapytał, kładąc jej ręce na ramionach i ściskając lekko. Domyślał się, co zrobiła mafia. Chciał mieć pewność.

– Parę dni później miałam włamanie do domu. Weszli jak do siebie. W nocy. Niczego nie ukradli, bo nie o to im chodziło. Mieli mnie jedynie nastraszyć. – Mówiła szybko, połykając słowa. – Dwóch mnie trzymało, a trzech… – Znów zamilkła. Zacisnęła powieki. Ramiona pod uściskiem dłoni Raula drżały lekko. – Pokazali mi, co ze mną zrobią, gdy wydam tę powieść. Nie zgwałcili mnie w pięciu, używając wszystkiego, co wpadnie im w ręce, tylko dlatego, że – jak powiedział jeden z nich – żona szefa uwielbia moje książki, więc i on ma do mnie słabość. Ale następnym razem… – Nie była w stanie dokończyć, rozpłakała się.

Raul przytulił ją mocno, czując, jak Weronika rozsypuje się pod jego dotykiem. Znał metody mafii. Wiedział, że to dobra, skuteczna metoda na kobiety. Nienawidził tego. Za każdym razem, gdy widział ofiary wymuszeń czy szantaży, przypominał sobie, po co zgłosił się na ochotnika, by rozbić kartel od środka. Po co poświęcił to wszystko. Właśnie by takie Weroniki nie były krzywdzone najokrutniej jak tylko można. Bo dla kobiety gwałt to coś gorszego niż pobicie. To zbrukanie ciała i złamanie duszy. Nienawidził…

– Ale z tym hakerem, Marcelem, pozostałam w przyjaźni – odezwała się, podnosząc nań błyszczące od łez oczy.

Pogładził ją delikatnie po policzku, założył kosmyk ognistych włosów za ucho i odparł cicho:

– Nie musisz mi pomagać, nie musisz się w to mieszać. To moja wojna. Poradzę sobie.

Przytrzymała jego dłoń.

– Za późno, Raul. Już jestem zamieszana po uszy. I nie mówię tu o twoich wojnach… – Wtuliła usta w zagłębienie jego dłoni w pieszczocie tak intymnej, tak czułej, że poczuł ją aż na dnie swojej jaźni.

W pierwszym odruchu chciał cofnąć rękę, ale nie pozwoliła na to. Wysunęła koniuszek języka i zaczęła pieścić ciepłą wrażliwą skórę delikatnymi muśnięciami. Raulowi zabrakło oddechu. Z głębi trzewi wyrywał mu się jęk, ale zacisnął zęby, by go stłumić.

– Weroniko, igrasz z ogniem – odezwał się niskim, gardłowym tonem. – Poprzednio zdołałem powstrzymać nas oboje w porę…

– Prosił cię ktoś o to? – rzuciła, mrużąc złote oczy.

Zaśmiał się, seksownie, pociągająco.

I ty się dziwisz, że wpadłam po uszy? – pomyślała, patrząc w jego czarne, błyszczące pożądaniem źrenice.

– Słuchaj, Raul, skoro nie chcesz mi się oddać po dobroci, zrobimy deal: ja zorganizuję hakera i wszelkie informacje, jakich potrzebujesz, ty płacisz mi za to w naturze. Stoi? – Uniosła dłoń, by przybił piątkę. On uniósł kącik ust w uśmieszku i zamiast przyklepać deal, spojrzał w dół i rzucił:

– Stoi.

Teraz Weronika parsknęła śmiechem. Boże, co za facet… Nie dość, że obłędnie przystojny, to jeszcze z poczuciem humoru…

– I co z tym zrobimy? – zapytała, przechylając głowę i patrząc na wypukłość w jego spodniach.

– Potrzebuję tych informacji. Ale ty, diablico, jeszcze pożałujesz, że zaproponowałaś mi taki deal…

Nie zdążyła zapytać, w jaki niby sposób, gdy on zagarnął ją na ręce, przeniósł do pokoju i rzucił na kanapę. Spadła na miękkie poduszki i… już całował jej usta, chwytając włosy pełną garścią, jakby przyszło jej do głowy umknąć. Ale ona nie po to go prowokowała, by teraz protestować! Oddała pocałunek, mocno, głęboko, zachłannie. Oderwali się od siebie. Patrzył na nią lekko zmrużonymi oczami, jakby mówił: jeszcze się nie boisz? To będziesz! Podciągnął jej sukienkę, wsunął rękę w koronkowe majteczki i bezceremonialnie zanurzył palce w jej płeć. Weronika przygryzła wargi, powstrzymując jęk rozkoszy. Była gorąca i wilgotna. I bardzo, bardzo spragniona jego dłoni. Poruszyła się gwałtownie do przodu, nacierając na tę dłoń, nadziewając się jeszcze głębiej. Spodobało mu się to. Nadal patrząc jej w oczy, teraz już nie złote, a niemal czarne z przemożnego pragnienia,

zaczął szybko, mocno, głęboko wbijać palce w jej spragnione wnętrze i gwałtownie cofać. Coraz szybciej, coraz głębiej i coraz mocniej…

– R-raul… błagam… – wyszeptała rwącym się głosem. – Jestem już blisko… bardzo blisko… błagam… wejdź we mnie…

Zaśmiał się. Ten śmiech zabrzmiał jak pomruk czarnej pantery, która właśnie szykuje się do skoku. I cofnął dłoń. Ona otworzyła szeroko oczy. Zaskoczona.

Nie zrobisz mi tego! Nie zostawisz mnie takiej! – krzyczały czarne źrenice.

O nieee, Raul nie zamierzał jej zostawiać… Podwinął jej sukienkę, zmysłowo ocierając się o rozgrzaną skórę kobiety, zdjął przez głowę i oto zdana na jego łaskę i niełaskę, w samych majteczkach, które niczego specjalnie nie zasłaniały, półleżała na miękkiej kanapie. Jednym ruchem dłoni rozwarł jej uda, klęknął między nimi i… Nie, jeśli spodziewała się, że on zsunie teraz spodnie, uwolni swoją męskość i wedrze się w jej rozedrgane wnętrze, by wreszcie dać upust swojej żądzy, myliła się. Raul lubił się bawić krnąbrnymi kochankami, które śmiały coś na nim wymuszać.

Pragniesz poczuć mnie głęboko w swoim wnętrzu? O nie, nie, kochana, nie tak szybko…

Przywarł ustami do jej sutka. Zagarnął go językiem, zaczął ssać, przygryzać, puszczać i znów ssać, patrząc w jej twarz. Była bliska ekstazy. Błaganie, by przestał, bo ona już nie wytrzyma, prośba, by nie przerywał, bo to tak obłędnie rozkoszne, wreszcie strach, że pobawi się nią, wstanie i odejdzie – to wszystko widział w jej szeroko otwartych źrenicach. I jeszcze coś, co sprawiało, że sam zapragnął ją poczuć. Miłość. Oprócz pożądania, Weronika miała w oczach czystą, jasną miłość. Do niego, do Raula.

Jednym gestem dłoni zerwał cieniutkie majteczki.

Znieruchomiała w wyczekiwaniu.

Ściągnął spodnie i odrzucił je. Stał przed nią w całej okazałości, groźny i piękny, godny pożądania, ale i wzbudzający strach. Ale ona się go nie bała. Bez wahania padła przed nim na kolana i ujęła jego męskość w usta. Głęboko, aż po samo gardło. Zacisnęła wargi na aksamitnie gładkiej skórze i pieściła go tak, że teraz on zaczął drżeć leciutko z narastającej rozkoszy. Wsunął palce w jej włosy i błagalnym gestem przyciągnął ją do siebie.

Głębiej, proszę, mocniej, silniej, och, proszę, moja kochana… moja śliczna… moja…

Był blisko… tak blisko…

Cofnął biodra, porwał kobietę w ramiona, przylgnęła doń całym rozpalonym do granic ciałem. Złożył ją na kanapie i wreszcie wszedł w jej ciasną, gorącą wilgoć aż po samo dno. Wysunął się do połowy i znów jednym, mocnym, głębokim suwem posiadł ją. Krzyknęła. Cofnął się i wsunął, głęboko, z całej siły. Łzy błysnęły jej w oczach. Znieruchomiał.

– Boli? – szepnął.

– Nie przestawaj…

Uderzył ponownie. Wygięła się w łuk, czując, jak jej ciało unosi się… i unosi… Cofnął się i uderzył. I znów, coraz mocniej i szybciej… Zaczęła pojękiwać, jakby umierała. Bo umierała. Z rozkoszy takiej, jakiej nie zaznała nigdy w życiu.

– Błagam… proszę… jeszcze…

Uderzał raz po raz, wdzierając się do jej wnętrza, a ona poruszała biodrami, nadziewając się na jego gorące, nabrzmiałe prącie jeszcze bardziej, jeszcze mocniej, jeszcze głębiej, dzika, zachłanna, oszalała z pożądania. Wbiła paznokcie w jego pośladki, on wdarł się w nią w ostatnim

spazmie, ona krzyknęła na całe gardło i wreszcie… oboje, spleceni ciasno, z całych sił, niczym jedno rozedrgane istnienie, wydarli ze swoich jaźni spazm rozkoszy, a ze swoich gardeł głęboki jęk. Poruszył się raz jeszcze, składając w jej wnętrzu ofiarę z nasienia. Przyjęła ją, szepcząc jego imię. I opadli oboje bez sił na wilgotną od ich soków kanapę.

Leżeli tak długie minuty, niezdolni do poruszenia się.

Wreszcie on uniósł głowę, ucałował jej nabrzmiałe, gorące usta i wyszeptał:

– Dziękuję.

Ona scałowała łzy z kącików jego oczu.

– To ja ci dziękuję – odparła również szeptem.

Wtulili się w siebie i leżeli, słuchając bicia swoich serc, które zaczęły zwalniać po tej szalonej jeździe. Położył się na boku, patrzył w oczy kobiety, gładząc opuszkami palców jej kości policzkowe, włosy, kark, obwodząc usta, aż rozchyliła je, zagarnęła językiem jego palec i zaczęła lekko ssać.

– Jeszcze ci mało? – zaśmiał się niskim, nabrzmiałym niedawną rozkoszą śmiechem.

– To było dopiero za kontakt z hakerem. Za resztę będziemy rozliczać się na raty, bo nie dasz rady zapłacić w całości.

– A założymy się, że dam? – Przygwoździł ją ciałem, chwytając za splecione nad głową nadgarstki, rozsunął kolanem jej uda i bez przeszkód wtargnął w śliskie, nadal rozpalone wnętrze. On nie miał kobiety od ładnych kilku lat. Mógł znów i jeszcze nie raz. Ale ona… ona też nie kochała się od równie długiego czasu i z chęcią podjęła wyzwanie, zaplatając nogi na jego lędźwiach i przyciągając go do siebie mocniej, głębiej, aż poczuje jego żołądź na samym dnie… I znów zatracili się w

pędzie po spełnienie… Znów osiągnęli je w tej samej sekundzie, tak samo widać siebie spragnieni. Tym razem to on szeptał jej imię i on scałowywał łzy, które orgazm wycisnął z jej oczu. Kochała go za to. I za czułość, jaką – po wściekłej, wydawałoby się, walce – też jej okazywał. Tylko ten mężczyzna potrafił być jednocześnie brutalny i delikatny… Zdawało się, że nie zważa na nic, gna po własną rozkosz, ale zarazem każdym gestem pytał, czy jej też jest tak dobrze jak jemu. Kochała go…

Wieczór zastał ich na tej samej kanapie. Wtuleni w siebie, spali po długim, wyczerpującym pojedynku, który wygrał on. Ona po czwartym orgazmie, do którego doprowadził ją ustami, dłońmi i językiem, wyszeptała błagalnie:

– Raul… Ja już nie mogę… nie mam sił… Bierz tego hakera, jest twój… ale ja już nie mogę…

Zaśmiał się tym swoim cholernie seksownym śmiechem i zamknął jej usta ostatnim pocałunkiem. On też już nie mógł, zaspokojony do granic, ale w przeciwieństwie do Weroniki nigdy by się do tego nie przyznał…

Tymczasem pośrodku Morza Śródziemnego było cicho, nudno i spokojnie. Dwoje młodych ludzi, tak samo spragnionych swoich ciał jak Weronika i Raul, nie pozwalało sobie na nic więcej niż grzeczne trzymanie się za ręce.

To Tristan – jedyny przytomny w tym towarzystwie – pilnował, by między nim a Marie panowały stosunki siostrzano-braterskie i żadne inne.

Ona była gotowa na więcej – on oczywiście też, nawet bardziej niż gotów! – ale… Marie była tak młoda i niewinna. Wiedział, że jest dziewicą, sama mu się do tego przyznała, wiedział, że nigdy nawet się nie całowała z mężczyzną czy chłopakiem w swoim wieku i… nakładało to na Tristana pewne zobowiązania. On musiał myśleć za nich oboje. Szybki, ukradkowy

seks – pod strachem Boga, że na splecioną w miłosnym uścisku parkę natknie się Danka albo Ariel – w ogóle nie wchodził w grę. Raz im się udało, bo byli ubrani, i to wystarczy. Następnym razem mogą mieć mniej szczęścia i dziewczynie pozostanie uraz. A Tristan był za nią odpowiedzialny. Nie zrani jej w ten sposób, nie ma mowy!

– To musi być dla ciebie coś pięknego. Magiczna chwila, którą zapamiętasz do końca życia. Życia ze mną czy beze mnie, ale zapamiętasz – tłumaczył, gdy siedzieli, wtuleni w siebie, w tym samym miejscu co poprzednio, na rufie, mając przed sobą wachlarz spienionej wody.

– Ale ja ciebie kocham! – odpowiadała płaczliwie. – I potrzebuję… dowodu, że ty też mnie kochasz! – Rozpięła guziki jego spodni i wsunęła dłoń pod spód. Nie sięgnęła nagiej skóry i nabrzmiałego prącia, ale i tak dotyk jej ręki sprawił, że Tristan mało nie eksplodował. Musiał zebrać całą siłę woli, by pozwolić jej na tę niewinną pieszczotę.

– To nie byłby żaden dowód – odparł przez zaciśnięte z wysiłku zęby – a wykorzystanie twojej niewinności.

– Możesz! Pozwalam ci na to! – dłoń poruszała się łagodnie w górę i w dół, mało nie doprowadzając chłopaka do obłędu. Gotów był porwać ją, cisnąć na siedzenie, rozrzucić jej uda na boki, wedrzeć się w jej płeć i brać ją dotąd, aż zaspokoi to bolesne, dręczące go od tylu dni pragnienie – chrzanić dziewictwo, zasady, magiczne chwile i gospodarzy będących tuż obok! – ale ujął tylko łagodnie jej rękę, wyciągnął ze spodni, ucałował i rzekł stanowczo:

– Nie dziś i nie tutaj.

– To kiedy? – oczy dziewczyny rozszerzyły się nadzieją.

– Po ślubie.

Prychnęła, rozczarowana, niezaspokojona i zła.

– Nie żartuj sobie ze mnie!

– Nie żartuję.

Otworzyła niebieskie jak jej sukienka oczy jeszcze szerzej.

– To znaczy… znaczy, że ty mi się… oświadczasz?

Przytaknął z całkowitą powagą.

– Ale… – Marie nagle zabrakło słów. I chyba odwagi, by odpowiedzieć: „Okej! Bierzmy ślub i wskakujmy do łóżka!”. Nagle zrozumiała, że ten młody mężczyzna nie był typem faceta, dla którego seks byle jaki, z byle kim jest jak wypalenie papierosa. On myślał o niej poważnie. Naprawdę mówił o ślubie. Czy jednak ona, Marie, jest gotowa na takie zobowiązanie?

Nagle przestraszyła się konsekwencji swojego „tak”. I swoich zabaw, dla niej niewinnych, jemu sprawiających katusze, o czym doskonale wiedziała, także.

– Ja… muszę pomyśleć – odparła cicho.

Jeżeli odpowiedź dziewczyny rozczarowała go, jeśli zabolała, nie dał tego po sobie poznać. Raz jeszcze ucałował jej dłoń, dopiął spodnie, wstał i przeszedł do łazienki, by jakoś poradzić sobie z bolesnym pragnieniem rozsadzającym go od środka.

Od tego dnia Marie zaczęła go unikać. Co bolało chyba jeszcze bardziej…

Więcej doskonałej jakości ebooków szukaj na: www.eBook4me.pl

# ROZDZIAŁ XVII

Tydzień po ucieczce z Paryża, gdy Serenity zbliżała się do Krety, Weronika przygotowywała VillaRosę na przyjęcie gości. Będzie ich przecież nieco więcej, niż przewidywała: oprócz Tristana i Marie – syna Raula była szczególnie ciekawa – także Ariel i Danka, przyjaciele van der Welta, którzy pomogli dwojgu młodym ludziom w ucieczce z matni.

Właśnie niosła naręcze świeżej, pachnącej słońcem pościeli, gdy odezwała się jej komórka. Zerknęła na wyświetlacz i zatrzymała się gwałtownie, odkładając prześcieradła na najbliższe krzesło. Z mocno bijącym sercem odebrała połączenie.

– Nisiu, kochanie moje, w coś ty się wpakowała? – tak brzmiały pierwsze słowa Marcela, hakera, którymi ją powitał. – Tylko nie wciskaj mi kitu, że tych informacji potrzebowałaś do kolejnej książki!

– Nie będę – mruknęła pokornie.

– Słuchaj, kobieto… nie podoba mi się to. Ten Cojon… to cholernie wredny, niebezpieczny typ. A ci, z którymi trzyma, są chyba jeszcze gorsi. Na pewno chcesz to wszystko wiedzieć? Marnie skończysz, ja ci mówię, gdy ktoś dowie się, o co pytasz i co wiesz.

– Nikt się nie dowie – zapewniła szybko, czując nieprzyjemne dreszcze spływające po kręgosłupie.

Marcel był twardym gościem. Byle czego się nie bał. Może i nie popełniał przestępstw jako takich, nie okradał banków na przykład, ale już samo włamywanie się na serwery instytucji państwowych było karalne, a jednak bawił się w takie gierki… Dlaczego więc teraz jest śmiertelnie poważny, a ją próbuje ostrzec przed posiadaną wiedzą?

– Nie mogę ci tego, co zebrałem, wysłać. Nigdzie nie zapisywałem plików ani linków, mam wszystko w głowie…

– Więc jak mam się o tym dowiedzieć?! – w jej głosie zabrzmiała rozpacz. Nawet nie dlatego, że obiecała Raulowi zdobyć te informacje, ale co było w nich takiego, że Marcel bał się nawet o nich rozmawiać?

– Wpadnij do mnie, to pogadamy.

– N-nie mogę! – zająknęła się. – Za kilka dni będę miała gości i… – zabrakło jej argumentów.

Najważniejszym był jednak ten, że Raul prosił ją, by nie opuszczała VillaRosy, aż „to wszystko się nie skończy”, czymkolwiek miałoby to być. Wiedziała też, że wzmocnił ochronę posiadłości. To już nie byli faceci z jakiejś tam agencyjki ochrony, VillaRosę otaczał teraz pierścień, bardzo dyskretny zresztą, uzbrojonych po zęby komandosów, przysłanych na życzenie Raula przez pułkownika Smitha.

– Chociaż tyle mógłbyś dla mnie zrobić – tak Raul zakończył kolejną rozmowę o uwolnieniu Daniela i całkowitej niemożności uczynienia tego przez CIA.

Tak więc posiadłość była chroniona, a van der Welt nadal siedział w więzieniu.

– Dobrze – odezwała się po chwili milczenia. – Przylecę do Polski w przyszłym tygodniu. Muszę tylko znaleźć dobrą wymówkę, ale przylecę.

– Okej. Mogę ci powiedzieć jedno: ten cały Cojon to najgorsze, najparszywsze zdegenerowane bydlę, o jakim słyszałem. Nie chciałbym być w skórze faceta, który z nim zadarł… Ma ponoć jakieś powiązania z rosyjską mafią, tą, której twój przyjaciel sprzątnął sprzed nosa spory szmal. Naprawdę nie podoba mi się, że jesteś w to zamieszana. Nadal chcesz o nim rozmawiać?

– Chcę – ucięła i rozłączyła się.

Słysząc czyjeś kroki w korytarzu, przytknęła dłoń do trzepoczącego w piersi serca, ale w następnej chwili mogła odetchnąć. Raul stanął w drzwiach salonu. Spojrzał na Weronikę, pobladłą, roztrzęsioną, pytająco, po czym podszedł do niej, przygarnął do piersi i zajrzał w jej spochmurniałe źrenice.

– Co się stało? – wymruczał, wsuwając palce we włosy kobiety.

Zwykle już ten gest powodował, że bezwolnie wpadała w jego wciąż i wciąż spragnione ramiona – od tamtego razu na kanapie kochali się, gdy tylko i gdzie tylko naszła ich ochota – ale tym razem pokręciła głową.

– Dostałam wstępne informacje… – zaczęła, a on spoważniał od razu i cofnął dłoń. – Cojon to jakieś parszywe, niebezpieczne bydlę. Na dodatek ma powiązania z kimś z mafii. Tej, której zgarnąłeś sprzed nosa Złoty Pył i walizkę pełną pieniędzy.

– Nie zgarnąłem. Poszły na dno – sprostował.

Nie znosił, gdy przypisywano mu jakikolwiek zysk na tej operacji. Dostał wynagrodzenie od rządu, które jeszcze nie dotarło na wskazane konta, tak na marginesie. To wszystko. Nie wziął ani centa brudnych pieniędzy i Weronika powinna o tym wiedzieć. A ten, do którego trafiłyby te pieniądze, wie to na pewno: Ivan Woroncow, *capo di tutti capi* rosyjskiej mafii.

Po operacji „Złoty Pył”, w której na dno Morza Śródziemnego poszedł ładunek kolumbijskiego narkotyku wartego cztery miliardy euro oraz owe cztery miliardy euro w gotówce, należące do rosyjskiego oligarchy Siergieja Golinowa, kartel kolumbijski w krótkim czasie przestał istnieć. Kryzys ten rozerwał go od środka, synowie i współpracownicy Silvany dotąd walczyli między sobą o schedę po ojcu, który palnął sobie w łeb, że zostały z nich niedobitki. Zajęła się nimi troskliwie kolumbijska policja. Z kartelem rosyjskim stała się rzecz przedziwna: porażka nie tylko nie osłabiła pozycji mafii w Azji, a jeszcze ją wzmocniła. Jak? W bardzo prosty sposób: długi czas nie było wiadomo, kto zdradził. Raul de Luca nie żył. Jego brat również. Jaki mieliby interes w sprzedaniu bezcennej informacji? *Capo di tutti capi* rosyjskiego kartelu, podobnie jak Silvano Gomez, popełnił samobójstwo, jego miejsce natomiast zajął kto inny, jakiś nic do tamtej pory nieznaczący Ivan Woroncow, który swoje panowanie zaczął od bezwzględnej czystki pośród konkurencji.

Dziś nie miał sobie w mafijnym światku równych. Może jeszcze Amerykanie ciągnęli ze swojego rynku podobne zyski co on, ale z nimi miał niepisany pakt o nieagresji. Dla wszystkich wystarczy ćpunów i dragów. Za to cała Azja i Europa należały do Woroncowa.

Ów Woroncow – nazwisko nic Raulowi nie mówiło – nic do niego nie miał, właściwie zawdzięczał de Luce władzę niepodzielną. Za to ten drugi, któremu przypadła najbrudniejsza część interesu w Europie – prostytucja, porwania, handel ludźmi i ludzkimi organami – najwidoczniej miał z de Luką niedokończone porachunki. Cojon. Bandzior bez imienia, bez nazwiska i bez twarzy. Kim on jest? Jaka jest jego przeszłość? Gdzie zaczynał? W którym kartelu? Kto go chroni, a komu urwał się ze smyczy?

– taka oto bezcenna wiedza mogła stanowić klucz do tego bandyty. Poszczuć na siebie dwie mafijne organizacje… Tak, to mogło się udać.

Weronika czekała w milczeniu na pierwsze słowa Raula. Jakże pragnęła, by było to uspokajające:

– Cojon nic do mnie nie ma. Zapomnij o nim.

Ale ona wiedziała, że Raul jej nie okłamie…

– Dostałem propozycję spotkania – odezwał się za to. Niby zupełnie bez związku. Owa propozycja była dołączona do zwłok Stanleya… – Zgodziłem się na rozmowę tutaj, w VillaRosie, właśnie z Cojonem.

Kobieta cofnęła się, jakby ją uderzył. Przez chwilę patrzyła na Raula jak na obłąkanego. W następnej błagała go spojrzeniem, by roześmiał się i powiedział, że to żart. Ale on pozostał poważny. Śmiertelnie – to dobre słowo w tej chwili – poważny.

– Żartujesz – wykrztusiła, czując łzy napływające do oczu. Pokręcił głową. – On jest niebezpieczny! To bandzior! Zwykłe, zwyrodniałe bydlę! Tak mówił mój informator!

– Wiem, Weroniko… – Pochwycił jej dłonie, zaciśnięte w pięści. – Mimo wszystko muszę się z nim spotkać.

– To się spotkaj! Otoczony przez żołnierzy Smitha spotkaj się z nim! Gdziekolwiek! Jest tyle pięknych miejsc… – w jej głosie zabrzmiała histeria.

Ona wiedziała, co to jest mafia, dwukrotnie miała z takimi jak Cojon do czynienia. Raz zamordowali jej syna, drugi raz wybili jej z głowy książkę na ich temat. Miała nadzieję, że już nigdy więcej ani ona nie wejdzie im w drogę, ani oni jej… Tymczasem… miała przed sobą kogoś, kto właśnie zaprosił do domu, jej domu, najgorszego z nich wszystkich.

– Dlaczego w VillaRosie?! – krzyknęła z rozpaczą i wściekłością zarazem.

Odpowiedział jej spokojnie. Tak spokojnie, że za ten spokój miała ochotę przypieprzyć mu w twarz:

– Bo tutaj, w VillaRosie, rozegram tę grę na moich warunkach. Nikt nie strzeli mi w łeb, dopóki na to nie pozwolę.

– Tak bardzo cenisz swoje życie, że gotów jesteś zaryzykować moim? A jeśli moje cenisz mniej, to życiem Tristana i Marie?! – Weronika pokręciła głową z niedowierzaniem, jej twarz wykrzywił grymas pogardy. Nie takiego Raula znała. Nie takiego zdążyła pokochać…

– Mylisz się, moja droga. Życie bez was nie ma dla mnie żadnej wartości…

– To dlaczego ściągasz do mojego domu bandytę?!

Oho, teraz się Weronika wkurzy – pomyślał i odrzekł:

– Jeśli już, to do **mojego** domu.

Rzeczywiście, zatkało ją. Mówił więc dalej:

– Rząd nie miał prawa sprzedawać tej posiadłości. Należała – i należy – do mnie, nie do gubernatora Kyrenii. Nikomu w spadku jej nie przekazałem, zresztą jak widzisz, żyję, więc…

– Więc pójdę się spakować – wpadła mu w słowo, z całych sił próbując się nie rozpłakać.

Kupiła VillaRosę, by choć tak, symbolicznie, zemścić się na Raulu de Luce, tymczasem ów Raul de Luca właśnie mścił się na niej! Tylko za co, na miłość boską?! Co jeszcze pieprzona mafia jej odbierze? Życie? Mogła powiedzieć to samo co on, podpisywała się pod każdym jego słowem: życie bez Raula nie ma dla niej żadnej wartości! A teraz Raul wyrzuca ją i z domu, i z życia właśnie!? Odwróciła się, by nie widział łez, które rozbłysły

w jej oczach. Zrobiła krok w kierunku drzwi, gdy chwycił ją za ramię i przemocą odwrócił do siebie.

– Nie chcę, żebyś odchodziła – wycedził przez zaciśnięte zęby. – Nie chcę cię stracić!

– To załatwiaj swoje sprawy gdzie indziej!

– Nie mogę.

Jak miał jej wytłumaczyć, że tutaj i tylko tutaj może spotkać się z tym, kto go ściga, mając szansę na usunięcie bandziora raz na zawsze? On, Raul, nie dbał o to, czy przeżyje, czy nie, ale los Marie i Tristana zależał właśnie od tego, kto ostatecznie będzie górą! Jeżeli Raula zdejmie w Paryżu czy Warszawie kula snajpera, martwy nikomu na nic się nie przyda, następny będzie jego syn albo córka Soni i Pawła. Lecz dopóki on żyje, stanowi jakąś wartość dla tego, kto go ściga. Może się więc targować: jego życie za spokój tamtej dwójki. Musi tutaj, do VillaRosy, zwabić zabójcę. Musi zakończyć grę raz na zawsze, ale na swoich własnych warunkach.

– Wyjedź w bezpieczne miejsce – odezwał się zupełnie innym tonem. Proszącym, niemal błagalnym. Dłonie na ramionach Weroniki zaciskał tak mocno, że nawet gdyby chciała teraz odejść, nie mogła. – Gdy będzie po wszystkim, oddam ci ten dom. Teraz wyjedź.

– Oddasz mi VillaRosę? – podniosła nań błyszczące od łez oczy. – Ot tak? – Zaśmiała się gorzko. – Jeśli chcesz się mnie pozbyć, odejdę. Nie musisz wciskać mi kitu.

– Nie chcę się ciebie pozbyć! – Potrząsnął nią z całej siły, a potem przytulił równie mocno. – I oddam ci ten dom, właśnie ot tak, bo bez ciebie będzie nieznośnie pusty – dodał cicho, całując jej włosy, pachnące rozgrzanym piaskiem i morską bryzą.

Uniosła ku niemu twarz.

– Chyba nigdy cię nie zrozumiem – wyszeptała.

Zamknął jej usta długim pocałunkiem. Całował, czując pod dłońmi, jak jej ciało ulega mu, jak Weronika przylega doń, mocno obejmując go ramionami, jak napiera na jego lędźwie biodrami, spragniona pieszczot, dotyku, pocałunków, wreszcie twardej, gorącej męskości głęboko w sobie. On też tego chciał. Właśnie teraz. Jeszcze nie nasycił się tą kobietą i ogniem w jej wnętrzu, którym tak chętnie, tak wielkodusznie się z nim dzieliła.

Wsparł ją plecami o ścianę, nie przestając całować. Puściła go, sięgając gorączkowo do jego rozporka, odsunął się odrobinę, by mogła go rozpiąć i w następnej chwili zacisnąć dłoń na twardym, gorącym prąciu. Westchnął tylko, gdy to uczyniła. Wdarł się językiem między jej wargi jeszcze bardziej zachłannie. Ona wypuściła go na chwilę, by zsunąć majteczki. Gdy to zrobiła podniósł ją i powoli, patrząc w jej szeroko otwarte źrenice, nadział na sterczące prącie. Zastygli na chwilę bez ruchu, oboje całym ciałem czując zapowiedź rozkoszy. Ale zaraz ona poruszyła się naglące, a jego nie trzeba było dwa razy prosić. Zagłębił się w niej powoli, ale mocno zarazem, tak jak uwielbiała. Ten głęboki suw wydarł z jej gardła jęk niedowierzania i prośbę o więcej. Uderzył więc ponownie. Wydobywając z niej drugi jęk. I jeszcze raz. Kolejny. Niesamowicie go to podniecało. Ją też. Zaczął taranować jej płeć raz po raz, ona jęczała coraz głośniej, coraz bardziej błagalnie. Och, jakież to było obłędne! Zatracili się w tym pędzie po spełnienie bez pamięci. Nikt nie mógł ich słyszeć, byli sami jedni w wielkim pustym domu, mogli pozwolić sobie na wszystko. Jęki rozbrzmiewały w całym domu, odgięła głowę do tyłu, zacisnęła powieki i błagała go co uderzenie:

– Bierz mnie, Raul, kochany… Bierz… Jestem twoja… Ooooch, głębiej, kochany mój… Mocniej, oooch tak, tak, właśnie tak, o mój Boże… Mocniej, Raul, mocniej, ooooch… Ooooch… – nie była już w stanie szeptać, tylko jęczała coraz głośniej, jakby zadawał jej nieznośny ból, a nie rozkosz. Wreszcie potężny spazm szarpnął jej ciałem. Raz, drugi, trzeci. Zacisnęła uda na jego lędźwiach i szarpiąc biodrami w przód i w tył, przeżywała ekstazę, krzycząc. On wbił się w nią głęboko jeszcze kilka razy i też doszedł, zaciskając zęby z całych sił, by nie wydać z siebie ani jednego dźwięku. Trzymał ją potem, zwisającą bezwładnie w jego ramionach, długą chwilę…

Wreszcie oderwali się od siebie. Zajrzeli sobie w oczy, jeszcze zamglone od niedawnego orgazmu. On zaśmiał się cicho, tym swoim niskim seksownym śmiechem.

– Gdybym miał wybierać między tobą a VillaRosą… – zaczął, powracając do ich rozmowy.

– Wybrałbyś VillaRosę, ty draniu – wpadła mu w słowo i trzepnęła go dłonią w ramię. – Patrz, co ze mną wyrabiasz. – Wskazała na pomiętą sukienkę.

– Wynagrodzę ci to – rozejrzał się za portfelem, ale Weronika trzepnęła go po raz drugi.

– Nie chcę twoich pieniędzy!

– A czego chcesz? – droczył się z nią, zaspokojony i syty.

– Ciebie – szepnęła, całując go prosto w usta.

Oddał pocałunek, leniwie, pewny jej uczuć do siebie. Bawił się chwilę jej wargami i językiem, przytrzymując pełną garścią jej włosy, tak jak uwielbiała, wreszcie rozwarł garść, zamiast tego ujmując jej twarz w gorące dłonie.

– Wyjdź za mnie – poprosił.

Weronika znieruchomiała. Jej oczy rozszerzyło niedowierzanie. Co on powiedział?!

– Wyjdź za mnie – powtórzył.

– T-to żart? – zająknęła się.

– Nie śmiałby w ten sposób z ciebie żartować. Przez niemal dwadzieścia lat marzyłem o kobiecie takiej jak ty. O tobie, Weroniko. Nie chcę cię stracić, więc proszę: zostań moją żoną. Ostrzegam jednocześnie – w tym momencie naparł na nią całym ciałem – że nie wypuszczę cię dotąd, aż się nie zgodzisz. Będę cię torturował dłonią, językiem i czymś jeszcze, zaraz się przekonasz, w jaki sposób, dopóki nie powiesz: tak.

Zsunął dłoń po jej piersi niżej, tam gdzie przed chwilą doznał spełnienia. Zagłębił palce w jej gorące, wilgotne wnętrze i zaczął poruszać nimi delikatnie w przód i w tył. Zareagowała natychmiast, znów go pragnąc. Zarzuciła mu ręce na szyję, wtuliła twarz w zagłębienie między jego szyją a obojczykiem i wyszeptała przez łzy, które nie wiedzieć kiedy napłynęły jej do oczu:

– Tak, Raul, tak, po trzykroć, po tysiąckroć tak! Kocham cię, ooooch… tylko proszę, nie rób mi tego znów! Oooch… no dobrze, rób…

# ROZDZIAŁ XVIII

Piękny, lśniący bielą jacht dalekomorski wpływał do przystani w VillaRosie, oczekiwany przez Raula i Weronikę i dyskretnie skanowany przez ludzi Johannesa Smitha, jak wszystko, co potencjalnie mogło zagrażać mieszkańcom posiadłości.

Ale na pokładzie Serenity byli przyjaciele, nie wrogowie!

Tristan stał na dziobie, trzymając Marie za rękę. Osłonił oczy od słońca i pożerał wzrokiem miejsce, o którym tyle słyszał, a jeszcze więcej sobie wyobrażał. Piękno domu, wznoszącego się na półwyspie, który tonął w kwiatach i zieleni, przeszło jednak jego wyobrażenia. Zapragnął przybić do przystani raz na zawsze i nigdzie się stąd nie ruszać. O ile będzie miał u boku Marie Solay, rzecz jasna.

Dziewczyna również patrzyła szeroko otwartymi oczami na wspaniały, zapierający dech w piersiach krajobraz.

Jacht przybił łagodnie do brzegu, Tristan zeskoczył na pomost, przywiązał cumę do uchwytu i… wpadł w objęcia ojca. Uścisnęli się serdeczniej niż zwykle, ale w następnej sekundzie cofnęli się o krok, obaj tak samo zmieszani swoją wylewnością.

– Cieszę się, że jesteś cały i zdrowy, synu – odezwał się Raul, mierząc chłopaka uważnym spojrzeniem. – Rana na ramieniu się zagoiła?

– Już prawie. Drobiazg. – Odwrócił się i pomógł zejść z pokładu spłonionej z niepokoju, jak zostanie tutaj przyjęta, dziewczynie. – Pozwól, że ci przedstawię Marie Solay. Marie, to mój ojciec, Raul de Luca.

Przez surową twarz mężczyzny przemknął uśmiech. Ona, Marie, była tak podobna do Soni, gdy ta po raz pierwszy zawitała w VillaRosie…! Gdyby zamknął oczy i przeniósł się w wyobraźni do tamtych dni, mógłby przyrzec, że to Sonię ma przed sobą… Tak samo piękna, szczupła twarz, oczy, które skradły barwę niebu, włosy błyszczące w słońcu niczym szczere złoto i uśmiech, nieśmiały, pytający… I jeszcze rzęsy, które rzuciły cień na policzki, gdy dziewczyna spuściła wzrok pod jego uważnym spojrzeniem.

– Witaj w domu, Marie – odezwał się łagodnie, z nieudawaną serdecznością.

Od razu poweselała.

– To naprawdę będzie mój dom? Jest taki piękny…!

– Rzeczywiście niczego sobie – odezwał się Ariel, który właśnie zszedł z trapu, wyciągając do Raula rękę. Raul uścisnął ją silnie, z wdzięcznością.

– Dzięki za ocalenie skóry tym dwojgu.

– Cała przyjemność po mojej stronie. Danka, to przyjaciel mojego przyjaciela, a twojego niesfornego brata, legendarny Raul de Luca – przedstawił go żonie.

Danka uśmiechnęła się do Raula z odrobiną rezerwy. „Co za facet…!” – westchnęła jednocześnie w duchu. Dobrze, że ona ma swojego Ariela, bo naprawdę byłoby trudno nie zakochać się w kimś tak czarującym i przystojnym jak Raul de Luca. Weronika, stojąca nieco z tyłu, musiała jednak dojrzeć mimowolny zachwyt w oczach nieznajomej, bo uśmiechnęła się do niej ze zrozumieniem. Nie była o Raula zazdrosna. To nie był typ faceta, który poleci na inną, gdy jest zakochany w niej, Weronice. A że był zakochany, dał temu dowód jeszcze chwilę przed wyjściem na przystań. Do teraz czuła palący dotyk jego dłoni **tam**. Zarumieniła się, spuściła wzrok

niczym pensjonarka. Danka poczuła, że już lubi tę uroczą, rudowłosą Anię z Zielonego Wzgórza…

– Macie ochotę na obiad czy coś lżejszego? – Raul, gdy wszyscy zostali sobie przedstawieni, zaprosił ich gestem dłoni do jeepów zaparkowanych przy przystani.

– Porządny obiad, stary – odparł Ariel. – Womituję zupkami z proszku!

– Ja ci dam zupki z proszku! – zbulwersowała się Danka. – Ilekroć przybijaliśmy do portu, wysyłałeś mnie na zakupy, a potem stałam pół dnia przy garach! Co za niewdzięcznik! I kłamca!

Ariel zaśmiał się, unikając ciosów drobnej pięści.

– Kocham cię, nawet jak się złościsz. – Posłał żonie buziaka.

Ta prychnęła jak rozzłoszczona kotka.

Weronika z Raulem nie mieli wątpliwości, że oboje będą uroczymi gośćmi…

Wieczorem, gdy Danka z Arielem, Marie i Tristan poszli do swoich sypialni, zmordowani dziesięciodniową podróżą, Weronika usiadła na tarasie przy Raulu.

– Nie przypuszczałam, że ten dom wyda mi się kiedyś za mały – zaczęła z rozbawieniem. – Tylu gości nie miałam tu nigdy. A ty? To przecież twój dom – poprawiła się.

– Twój, Weroniko. Powiedziałem, że ci go podaruję, gdy doprowadzę swoje sprawy do końca, i tak zrobię.

– A sam odejdziesz? Nie chcę. VillaRosa bez ciebie będzie tylko czterema ścianami, choć luksusowymi, muszę przyznać. Jednak żadnym luksusem nie zapełnię pustki, gdy znikniesz z mojego życia.

– Nie zamierzam znikać – obruszył się. – Nie po to zmusiłem cię tą oto dłonią do przyjęcia oświadczyn, by teraz znikać.

Ukryła twarz na jego piersi, zarumieniona na wspomnienie, jak ją zmuszał…

– Ale mi pozwolisz? – zapytała.

– Na co? Teraz ty chcesz mnie do czegoś zmusić? Również dłonią?

– Może… a może tym razem czym innym… – uniosła nań błyszczące w ciemności oczy. Pochylił się i pocałował jej prowokująco uśmiechnięte usta.

– Długo będę się bronił, żebyś długo musiała mnie zmuszać – wymruczał.

– Mogę zacząć już teraz – wyszeptała, pochylając się ku jego lędźwiom. – Nie chcesz wiedzieć, o co proszę?

– Nie. Zgadzam się na wszystko…

Piętnaście minut później już nie był tego taki pewien.

– To tylko dwa-trzy dni – powtórzyła, widząc grymas niechęci na jego twarzy. – Załatwię swoje sprawy – nie powiedziała mu, że to bardziej jego sprawy – i od razu wracam. Nie zdążysz za mną nawet zatęsknić!

Tęsknię, gdy znikasz mi na moment z oczu – przemknęło mu przez myśl, a na głos odpowiedział:

– Poza granicami VillaRosy nie jesteś tak bezpieczna jak tutaj.

– Nigdzie nie jesteśmy do końca bezpieczni – zauważyła łagodnie. – A to nie mnie ścigają, tylko Raula de Lukę. – Dźgnęła go palcem w mostek. – Na logikę biorąc, im dalej od ciebie, tym bezpieczniej.

Nie miał na to odpowiedzi. Zaraz po kolacji Ariel zadał mu podobne pytanie: skoro to Raul jest zwierzyną łowną dla człowieka pokroju Cojona, dlaczego ściąga do siebie syna i podopieczną? Czy nie rozsądniej byłoby ukryć gdzieś dzieciaki, dopóki Cojonowi nie przydarzy się śmiertelny wypadek?

Mimo wszystko Raul uważał, że w VillaRosie nic nikomu nie grozi. Wedrzeć się do willi można było tylko od strony morza. Albo wziąć posiadłość szturmem. Na to ostatnie nikt by się nie zdecydował, jeśli nie chciał zadzierać z siłami specjalnymi USA, a od strony morza, patrolowanego przez owe siły, nikt niezaproszony również się tu nie dostanie.

– Nie zatrzymam cię siłą, nie jesteś moim więźniem, ale na lotnisko odwiozę cię osobiście. I dopilnuję, byś weszła cała i zdrowa na pokład samolotu lecącego prosto do Warszawy.

Kiwnęła głową zadowolona. Miała wprawdzie swoje plany dotyczące tego wyjazdu, ale Raul nie musi ich znać! Wymknie się z domu jeszcze tej nocy, bo najbliższy samolot do Antalyi ma za parę godzin, w południe będzie w Warszawie i nim Raul zdąży się stęsknić, czy nie daj Boże zacząć rozglądać za inną kandydatką na żonę, ona, Weronika, już będzie z powrotem!

Zrobiła dokładnie to, co zaplanowała.

Może z wyjątkiem niezauważalnego wymknięcia się z VillaRosy. W momencie gdy jej srebrna, niewielka mazda przejechała przez bramę, Raul dostał meldunek:

– Pani Weronika wyjeżdża z VillaRosy, jakieś rozkazy?

– Owszem, eskortujcie ją dyskretnie tam, dokąd się udaje, prawdopodobnie na lotnisko, i przypilnujcie, by bezpiecznie wsiadła do samolotu. Mam nadzieję, że poleci prosto do Polski.

Gdy ekran interkomu zgasł, pokręcił głową i westchnął. Taka ucieczka w środku nocy coś mu przypomniała: Sonię i jej niepowstrzymywany pęd ku wolności. Na szczęście Weronika, jeśli już miała uciekać, to do niego, Raula, i do VillaRosy, a nie w przeciwnym kierunku.

Właściwie dobrze się stało, że ona będzie bezpieczna w Polsce, bo za trzy dni miała się tu, w VillaRosie, pojawić jadowita żmija. A Raul nie chciał bez potrzeby narażać na spotkanie z Cojonem nikogo więcej niż siebie. I Tristana. Bo syn, jego celne oko i pewna broń będą mu potrzebne.

Przez cały następny dzień Ariel z Danką i Marie wygrzewali się na plaży, wielbiąc nieomal stały ląd pod stopami, zaś Raul z Tristanem… oni nie mieli czasu do stracenia. Omówić plan A, omówić plan B i kolejne, sprawdzić broń, przestrzelać ją na strzelnicy w pobliżu przystani, porozstawiać ludzi, upewnić się, że obaj wiedzą, gdzie kto ma być… Może przesadzali z ostrożnością, ale lepiej przecenić wroga, niż go nie docenić. O tym Raul dobrze pamiętał, a jeśli kiedykolwiek by zapomniał, blizny po kulach, dwie w okolicach serca i trzecia nad wątrobą, które oglądał codziennie w lustrze, przed kąpielą i po niej, szybko by mu przypomniały, jak to jest właśnie zlekceważyć wroga…

Wieczorem wypili z gośćmi po kieliszku dobrego alkoholu i rozeszli się do swoich sypialni. Nieomal wszyscy. Bo w salonie na dole została Marie z Tristanem.

Przez długi kwadrans siedzieli z dala od siebie, udając przed każdym, kto nie spędził z nimi dziesięciu dni na niewielkiej mimo wszystko łodzi, że są dla siebie niczym więcej niż parą przyjaciół. Siostrą i bratem, jak sobie tego życzył Raul. Teraz zaś, gdy salon opustoszał, gdzieś z piętra dobiegał jeszcze szum prysznica, ale i on w końcu ucichł… teraz Marie mogła wreszcie poderwać się z kanapy, podbiec na palcach do Tristana, usiąść mu na kolanach i zacząć całować jego usta, tak samo spragnione jej. Nie przerywali, dopóki obojgu starczyło oddechu. Dopiero wtedy Tristan odsunął się odrobinę, ujął twarz dziewczyny w dłonie i zapatrzył się w jej oczy, w półmroku salonu ciemnoniebieskie i błyszczące niczym szafiry.

– Zróbmy to dzisiaj – wyszeptała gorączkowo. – Już nie jesteśmy na łodzi Ariela. Jesteśmy w twoim domu. Masz prawo… zaprosić mnie do swojej sypialni na całą noc, a nawet i na dłużej. Jestem pełnoletnia, sama zdecyduję, komu i kiedy się oddam…

Przerwał jej pocałunkiem.

Och, jak pragnął zrobić to, do czego go namawiała. Byłoby to takie proste: przemknąć do sypialni, zatrzasnąć drzwi na klucz i kochać się z nią, kochać przez całą noc, aż po świt, nie przestawać ani na chwilę, brać rozkosz i dawać rozkosz, właśnie tej dziewczynie, Marie Solay, jego miłości…

A jednak musiał odmówić. Gdy zostaną w domu sami, może wtedy, ale jeszcze nie dziś.

Pokręcił głową, spuszczając wzrok. Jak jej to wytłumaczyć, by nie poczuła się odrzucona?

Uniosła się nagle i usiadła mu na kolanach okrakiem. Sapnął tylko. Naparła lędźwiami na jego męskość, która od pierwszego pocałunku domagała się czegoś więcej, a gdy mimo to nie porwał jej w ramiona, nie złożył na kanapie, nie podwinął sukienki i po prostu jej, Marie, sobie nie wziął, zaczęła się poruszać, zmysłowo, uwodzicielsko, patrząc prosto w jego zogromniałe źrenice.

– Marie – wydusił. – To się może źle skończyć…

– Pokaż, jak chciałbyś zacząć… i skończyć… – wyszeptała i nacisnęła jeszcze mocniej. Niemal czuła go w sobie. Naraz i ją ta gra, która miała być tylko grą, zaczęła ponosić jak wtedy, na jachcie. Pochyliła się ku niemu, odnalazła jego usta. Zaczął ją całować w rytm jej ruchów, zachłannie, mocno, niemal z nienawiścią za to, co ona z nim robi. Był coraz bliżej,

ale… o nieee, Marie… nie możemy się kochać, jeszcze nie tak, jak oboje tego pragniemy, ale pokażę ci, jak ja potrafię kochać kobietę…

Poderwał się tak gwałtownie, że spadłaby, gdyby jednocześnie nie porwał jej na ręce. Chwilę później posadził ją na swoim miejscu, a sam ukląkł między jej kolanami. Wsunął dłonie pod jej majteczki. Jeszcze raz zapytał ją wzrokiem, czy naprawdę tego chce. Kiwnęła szybko, z determinacją głową i zamknęła oczy. Gdy jednym ruchem zdarł z niej wąski kawałek koronki, odruchowo próbowała zacisnąć uda, ale nie pozwolił na to, przytrzymując je dłońmi silnie, niemal bezwzględnie. Uległa. Przestała walczyć. Osunęła się na oparcie kanapy, poddając mu swoją intymność. Ciemnoróżową i dziewiczą. Pochylił się i musnął delikatne płatki językiem. Jęknęła cichutko, jeszcze nie wiedząc, czy bardziej się boi, czy bardziej pragnie. Zagłębił wargi w jej wilgotne ciepło, odnalazł nabrzmiałą łechtaczkę i zaczął ssać. Marie wplotła palce w jego włosy i przyciągnęła go jeszcze silniej, by robił to… dokładnie tak… och, tak… jeszcze mocniej… i szybciej… Jego język i wargi doprowadzały dziewczynę do obłędu. Musiał zatkać jej usta dłonią, bo zaczęła pojękiwać coraz głośniej, nie zdając sobie z tego sprawy. Język tańczył w jej wnętrzu, wargi ssały nieprzerwanie, zaczęła niekontrolowanie podrzucać biodrami w rytm tych pieszczot. Nagle wbiła zęby w jego dłoń, wygięła się w łuk, a jej ciałem wstrząsnął spazm rozkoszy. I jeszcze jeden. Trwała tak przez parę uderzeń serca, po czym opadła na kanapę, niemal tracąc przytomność od orgazmu, jakiego nie przeżyła jeszcze nigdy.

Tristan wpatrywał się w drgające powieki dziewczyny, w usta, ułożone w jego imię, w szczupłe, piękne ciało, któremu dał przed chwilą tyle rozkoszy, i… czuł taką miłość, że to aż bolało. Nawet nie fizyczną, choć owszem, sam pragnął spełnienia. Czuł, że kocha Marie całym sercem i całą

duszą. I był pewien jednego: to ta kobieta. To Marie została mu przeznaczona. Żadnej innej tak nie kochał i nie pokocha. Tylko tę.

Uniosła powoli powieki i wyszeptała:

– Kocham cię.

A po paru długich chwilach, gdy trzymał ją w ramionach, z powrotem ubraną, i gładził po włosach, dodała:

– Jeżeli zapytasz mnie jeszcze raz, odpowiem: tak.

Zaczęło świtać, a oni jeszcze się sobą nie nasycili. Kochał Marie tak jak poprzednio jeszcze kilka razy, dopóki ona nie poprosiła o litość, a potem siedzieli wtuleni w siebie, po prostu ciesząc się swoją bliskością.

– Chcę ci coś podarować na pamiątkę tej nocy – odezwał się nagle półgłosem.

Uniosła nań rozkochane spojrzenie.

– Dałeś mi wystarczająco wiele…

Wstał, podszedł do laptopa, na którym często pracował ojciec, odnalazł pewien plik i włączył głośniki. Przez salon popłynęły słodkie dźwięki melodii… Marie wyprostowała się nagle. Ta piosenka…! Tak znajoma… Wstała i podbiegła do Tristana.

– To ulubiona piosenka mojej mamy! Ale słuchała jej tylko wtedy, gdy taty nie było w domu. Skąd ją znasz?

– Mój ojciec też ją lubił. Słuchał jej często, gdy myślał, że jest sam.

Wtuleni w siebie zaczęli kołysać się w rytm melodii, słuchając pierwszych słów Harry’ego Nilssona, śpiewanych niskim, zmysłowym głosem:

*No, I can’t forget this evening*

*Or your face as you were leaving.*

– Tristan, co ty wyprawiasz?! – rozległ się nagle ostry głos Raula.

Odskoczyli od siebie odruchowo, ale już w następnej chwili Tristan objął Marie obronnym gestem, unosząc wyzywająco podbródek.

Raul stał na progu salonu, pobladły z furii. Nie wiedział, czy bardziej wkurzyło go to, że jego syn lepi się w środku nocy do Marie, czy to, że włączyli tę właśnie piosenkę. Gdy ją słyszał, widział siebie i Sonię! Ten utwór był poświęcony jej pamięci! Nikt nie miał do niego prawa! Był w jego domu zakazany!

Podszedł do laptopa i zatrzasnął go. Znów patrzył na syna pełnym gniewu wzrokiem.

– To twoja **siostr**a! Zapomniałeś?

Chłopak zrobił krok do przodu, mrużąc oczy z narastającej złości.

– Chyba ty o czymś zapomniałeś, ojcze – zaczął jeszcze w miarę spokojnie. – Marie **nie jest** moją siostrą.

– Umawialiśmy się – odparł Raul tonem, który brzmiał jak pomruk burzy. – Masz traktować Marie jak rodzoną siostrę. Tymczasem widzę, że nie potrafisz utrzymać łap przy sobie…

– Ja też nie – zauważyła dziewczyna nieśmiało, ale i trochę zadziornie. Zamierzała bronić Tristana! Właśnie tak!

– Z tobą, moja panno, porozmawiam innym razem. Nie zapomnę zapytać przy tym, co powiedzieliby twoi rodzice, gdyby zobaczyli ciebie tutaj, w pustym domu, w objęciach mojego syna, który przyrzekł cię chronić!

– I chronił! Gdyby nie Tristan, nie byłoby mnie teraz! Gwałciłby mnie zbir Cojona albo on sam! Ja o tym wiem i ty powinieneś o tym wiedzieć! Jestem winna Tristanowi wdzięczność…

– A on tę twoją wdzięczność w ten sposób wykorzystuje?

Tristan pobladł i zrobił kolejny krok do przodu. Jeszcze jedno słowo – ostrzegał Raula bezgłośnie – jeszcze jedno obraźliwe słowo i rzucę ci się do gardła, ojcze.

– Marie jest moją narzeczoną – odrzekł, nadal nad sobą panując. – Poprosiłem ją o rękę, a ona się zgodziła.

Raul oniemiał. Tego się nie spodziewał… Owszem, szczeniackie zauroczenie, owszem, wdzięczność ocalonej księżniczki dla księcia, który wyrwał ją z łap oprawcy, ale… narzeczeństwo? Ślub?! Chyba coś go ominęło…

Nie zdając sobie z tego sprawy, powtórzył te słowa na głos.

Tristan, wciąż gotując się z wściekłości, chciał je odpowiednio zripostować, ale Marie… roześmiała się nagle. Serdecznie, dźwięcznie, uroczo.

– Rzeczywiście sporo cię ominęło.

Jego spojrzenie złagodniało. Była tak podobna do Soni… Ale jednocześnie pozostała sobą, kimś zupełnie innym, Marie Solay.

– Mówisz serio czy próbujesz mydlić mi oczy? – zwrócił się surowym głosem do syna. – Rzeczywiście zamierzasz poślubić tę dziewczynę? Przecież Marie to jeszcze dziecko!

– Nie jestem dzieckiem! – zaprotestowała oburzona.

– Sonia była w jej wieku, kiedy tu przybyła, prawda? – zapytał niewinnie Tristan.

Raulowi nie pozostało nic innego, jak przytaknąć.

– Najpierw poprosiłeś ją o rękę, a potem zaciągnąłeś do łóżka czy odwrotnie?

– Tris!!!

– Tak tylko pytam – odparł chłopak, patrząc na ojca z kpiącym uśmiechem. – Ja uczciwie się Marie oświadczyłem i jeżeli chcesz wiedzieć, nadal jest dziewiczo czysta.

– Tris!!! – tym razem to ona krzyknęła, zasłaniając twarz dłońmi, zawstydzona do granic. – Błagam, skończmy to i rozejdźmy się do swoich sypialni.

– Głos rozsądku – mruknął Raul. – Mam nadzieję, że do ślubu potraficie powstrzymać się od…

– Mając taki przykład… – wpadł mu w słowo Tristan z tym samym kpiącym uśmieszkiem.

Raul odwrócił się na pięcie i ruszył do schodów na piętro, ale musiał mieć ostatnie zdanie:

– Z tobą, Tris, jeszcze na te tematy porozmawiam.

Chłopak parsknął śmiechem.

– O seksie wiem wszystko, tato.

Raul posłał mu wściekłe spojrzenie i… musiał się uśmiechnąć, chociaż do końca chciał zachować surową minę. Kochał tego chłopaka i wybaczyłby mu wiele, jeśli nie wszystko. Był jego pewien tak jak siebie: żaden z nich nie potrafiłby skrzywdzić kobiety, którą kocha. Nie oglądając się więcej na tych dwoje, zniknął na schodach.

# ROZDZIAŁ XIX

Wydarzenia ostatniej nocy poszły – chwilowo być może – w niepamięć. Przed nimi dwoma, Raulem i jego synem, stało poważne zadanie, któremu ramię w ramię musieli sprostać. Nie było mowy o głupich niesnaskach czy dąsach, skoro wchodziło w grę życie jednego z nich, a może ich obu. Zaraz po śniadaniu Raul zaproponował więc gościom całodniową wycieczkę do Kyrenii na nieograniczone żadną kwotą zakupy – rząd Stanów Zjednoczonych funduje – syna zaś zabrał na strzelnicę. I dopiero dał popis…

– Niezły jesteś, tato – mruknął Tristan, patrząc przez lornetkę na tarczę strzelniczą. – Cały magazynek w celu.

Raul opuścił rękę z sig sauerem i uśmiechnął się z nieukrywaną dumą. Strzelał równie dobrze co jego dwudziestodwuletni syn. Był równie szybki. Kondycją również Tristanowi nie ustępował. I nie miał tu na myśli jedynie biegów przełajowych. Taaak… mimo pięćdziesięciu paru lat Raul de Luca pozostał stuprocentowym mężczyzną. Ciało, trenowane bez litości przez wszystkie te lata, jeszcze długo go nie zawiedzie.

– Teraz ty pokaż, co potrafisz – podał pistolet synowi.

Ten ujął broń w obie dłonie i niemal nie mierząc, z jakąś nieuchwytną elegancją, a może była to nonszalancja młodego, pewnego siebie mężczyzny, oddał szybko, bardzo szybko, szesnaście strzałów.

Raul gwizdnął cicho. Wszystkie w celu. Tak jak u niego. Klepnął syna z uznaniem w ramię.

– Wracajmy do domu.

Ruszyli noga za nogą, nigdzie się nie spiesząc, w stronę VillaRosy, która stała skąpana w promieniach zachodzącego słońca, zachwycająca jak zawsze.

Jeszcze tego samego dnia, gdy Tristan pojawił się w VillaRosie, po raz pierwszy omówili z ojcem, jak równy z równym, plan wizyty Cojona. Chłopak nie spotkał tego typa twarzą w twarz, ale poznał na własnej skórze, do czego zdolni są jego siepacze. Dalszych informacji dostarczyła dziś nad ranem Weronika, przysyłając Raulowi plik z kilkoma zdaniami na temat Człowieka Bez Twarzy. Było tam parę cennych wskazówek: jaką bronią się posługuje, jakie kontakty ma w kraju i poza granicami, jak wygląda stan jego kont bankowych… Ale najważniejszego – kim jest – w dossier zabrakło. Nikt, nawet świetny podobno haker, nie potrafił wyrwać tej informacji z trzewi internetu. Zupełnie jakby Człowiek Bez Twarzy był jednocześnie człowiekiem bez przeszłości. A przecież każdy, bez wyjątku, jakąś posiada!

Nie podobało się to Raulowi, ale… będzie miał okazję, by o to zapytać. Cojon pojawi się w VillaRosie jeszcze dziś.

– Tris, nie muszę ci mówić, że moje życie jest w twoich rękach? – Raul spojrzał na syna z tak szczególnym wyrazem twarzy, że ten nie wiedział, czy ojciec z niego kpi, czy mówi poważnie. A może to własnej śmierci chciał raz jeszcze zaśmiać się w twarz?

– Nie musisz – odmruknął chłopak. – Doskonale zdaję sobie z tego sprawę. Ale czy ty również jesteś tego świadom? Bo zdajesz się tym wszystkim dobrze bawić…

– Bawi mnie ironia sytuacji. Uciekałem przed siepaczami mafii całe życie, by w końcu zaprosić ich do siebie. Do VillaRosy.

Tristan nic nie potrafił na to odpowiedzieć. Czuł narastającą grozę każdą komórką ciała. Zupełnie jakby nad VillaRosą zawisło tornado. Na zewnątrz kotłują się czarne chmury, w środku trwa cisza. Cisza przed apokaliptyczną nawałnicą. Wszyscy to czuli. Ariel, Danka, Marie, że o ochronie, która otoczyła posiadłość szczelnym, ale dyskretnym kordonem, nie wspomnieć. Cypryjskie niebo było jednak błękitne, bez jednej chmurki, słońce rozpieszczało mieszkańców posiadłości jak zwykle, od morza wiał przyjemny, chłodny wiatr, fale łasiły się do stóp obu mężczyzn, jakby nikomu nic tu nie zagrażało, a oni dwaj znajdowali się na miłej, popołudniowej przechadzce.

– Jesteś pewien, że to już dziś, w nocy? – odezwał się Tristan.

Raul pokręcił głową.

– Niczego nie jestem pewien. Ale… domyślam się, że Cojon może wpaść w odwiedziny właśnie dzisiaj.

Nagle Tristana olśniło.

– Rocznica! Dwudziesta rocznica twojej „śmierci” właśnie tutaj, w VillaRosie!

– Trudno wybrać lepszą datę na zemstę.

Przez chwilę szli w milczeniu, każdy zatopiony we własnych myślach.

– Powtórz jeszcze raz nasz plan – odezwał się Raul.

Tristan kiwną głową i zaczął:

– Ty wyciągniesz go na klify, zresztą, jeśli zna posiadłość, a musimy założyć, że przygotował się do tego spotkania, sam zaproponuje spotkanie właśnie tutaj…

Tak. Klify, odległe o ponad kilometr od domu i ogrodzenia posiadłości, miały tę zaletę, że teren był zupełnie płaski, a widoczność dochodziła do dwóch kilometrów. Z takiej zaś odległości snajper był bez szans, zaś ci, co

stali na skałach, mogli się czuć całkiem bezpiecznie. Nie było możliwości podsłuchania, o czym rozmawiają, nie było możliwości odstrzelenia któregoś z rozmówców, nie było również z klifów ucieczki… Do morza, wściekle tłukącego o kamienne ściany, najeżonego ostrymi skałami, nikt o zdrowych zmysłach by nie skakał. A jednak oni dwaj musieli znaleźć sposób, by zapewnić Raulowi ochronę. I znaleźli.

W VillaRosie było jedno jedyne miejsce, z którego strzelec wyborowy, naprawdę wyborowy, mógł oddać celny strzał: taras nad apartamentem Raula, który do niedawna zajmowała Weronika. To między innymi dlatego Raul nie nalegał, by ukochana kobieta została w domu – pod jej nieobecność mógł wejść do jej pokoju i skorzystać z tarasu bez zbędnych tłumaczeń. Weronika byłaby przerażona planowaną w tak makabrycznych szczegółach akcją.

– Dasz radę? – zapytał syna, patrząc z klifów w kierunku domu.

Taras zasłaniały pióropusze palm. Domu nie było stąd widać. Tristan musiałby uwierzyć ojcu na słowo, gdyby poprzedniej nocy osobiście nie sprawdził swojej pozycji strzeleckiej: ułożył się na tarasie, przełączył niezawodną berettę na termowizjer i… rzeczywiście, mimo zasłaniających co chwila widok palmowych liści miał klify jak na dłoni. Były daleko, może nawet półtora kilometra stąd, ale Tristan był świetnym snajperem. A jeśli dodać do tego życie ojca, które będzie zależeć od jego umiejętności, nie mógł chybić.

– Dam – uciął krótko.

Nie miał nastroju na przyjacielskie pogawędki. Ciało już teraz spinało się do trudnego zadania. Umysł analizował każdą możliwość. Wolałby spędzić resztę dnia i wieczór w samotności, niż rozpraszać się rozmowami z ojcem, nad wyraz wyluzowanym, jakby to nie on za kilka godzin miał

stanąć – właściwie bezbronny – twarzą w twarz z psychopatycznym mordercą.

– Może jest jeszcze czas, by się wycofać? – usłyszał ze zdziwieniem własny głos. Zdawało mu się, że tylko o tym pomyślał.

Raul przez chwilę patrzył na morski bezmiar.

– Zmęczyły mnie te ucieczki – odparł wreszcie.

Tak… Pragnął zostać tu, w najpiękniejszym miejscu na ziemi, z Weroniką. Nie oglądać się wciąż za siebie, nie podejrzewać każdego o zdradę, żyć jak normalny człowiek, mąż i ojciec, do końca swoich dni. Czy to zbyt wygórowane życzenia?

Jeżeli dziś w nocy usunie wroga, będzie miał tę szansę. Jeżeli nie… kolejna kobieta będzie go opłakiwać. Co za parszywy los…

– Nikt oprócz Cojona nie ma prawa przedostać się na teren posiadłości – odezwał się na głos.

Tristan przytaknął. To też już przerabiali. Ludzie Smitha dostali rozkazy. Nie przepuszczą nikogo. Tylko tamten dostał zgodę na spotkanie z Raulem. Nikt więcej. Świta bandziora przeszuka oczywiście cały teren w wyznaczonym czasie, otoczy pewnie posiadłość swoim własnym kordonem – bądź co bądź chronią *capo di tutti capi* francuskiego półświatka, ale do VillaRosy na spotkanie z Raulem Cojon wejdzie li tylko w towarzystwie jednego, nieuzbrojonego ochroniarza. Został o tym uprzedzony i zgodził się bez wahania. On chciał dorwać de Lukę, a z tym zarozumiałym skurwielem poradzi sobie własnymi rękami.

Nad VillaRosą powoli zapadał wieczór.

– Wracajmy – Raul skierował się ku ścieżce, prowadzącej do domu, ale Tristan zatrzymał go w pół kroku. Spojrzał na syna pytająco. Ten… po prostu objął ojca i uścisnął. Krótko, ale mocno.

Raul uniósł kącik ust w uśmiechu.

– Pamiętasz? Jutro rano jesteśmy umówieni na sparing. Nie zamierzam przepuścić okazji, by złoić ci skórę.

Tristan zaśmiał się tylko. I pokręcił głową:

– Ty, staruszku? Chcesz wygrać ze mną? Chyba tylko w warcaby…

– O ile się zakładasz? – Raul wyciągnął z kieszeni marynarki sto euro.

– Mam tylko pięć dych.

– Może być pięć dych.

Przybili zakład, by jeszcze raz poczuć silny, niezłomny uścisk ręki tego drugiego. Raul pomyślał, że nie mógłby sobie wymarzyć wspanialszego podarku od losu niż jego syn. Tristan.

– Powiedziałem ci kiedyś, że jestem z ciebie naprawdę dumny? – zapytał, idąc w kierunku domu.

– Nie. A jesteś?

Raul spojrzał nań przez ramię. Zaśmiali się obaj. Słońce zapadło łagodnie za linię horyzontu. Ostatnie promienie oświetlały plażę, malując ją wszystkimi barwami złota i szkarłatu. Chwilę później wyglądała jak skąpana we krwi. Tristan poczuł zimny dreszcz. Z ulgą wbiegł do domu po białych schodach.

Marie na widok chłopaka pisnęła z radości niczym mała dziewczynka, rzuciła się ku niemu i już miała zawisnąć Tristanowi na szyi, wtulając się weń całym ciałem, gdy zatrzymało ją surowe spojrzenie Raula. Pozwoliła więc sobie na pogładzenie ukochanego mężczyzny po ramieniu i zaprosiła wszystkich na kolację, którą z Danką przygotowały wcześniej.

– Będziemy mieć dziś w nocy gościa – odezwał się Raul między jednym kęsem pysznego, świeżego chleba z masłem a drugim.

– Naprawdę? Kto przyjeżdża? – ucieszyła się Marie, trochę znudzona leniwym życiem w odosobnieniu.

– My dwaj, ja i Tristan, będziemy mieć gościa – sprecyzował Raul takim tonem, że nagle wszyscy znieruchomieli, a dziewczyna zbladła.

– Kto? – zdołała wykrztusić, ale de Luca nie zamierzał jej straszyć.

– Ariel, mam prośbę – zwrócił się do mężczyzny, siedzącego po jego prawej stronie. – Zabierz Dankę i Marie… gdzieś. Byle daleko stąd. Jachtem, nie samochodem.

– Będzie gorąco?

– Prawdopodobnie. Mieliśmy to przed wami ukryć i wyprawić was stąd pod byle pretekstem, ale uznaliśmy z Tristanem, że należy się wam prawda. Ten, kto dziś w nocy nas odwiedzi, jest niebezpieczny. Śmiertelnie niebezpieczny.

– Cojon – wyszeptała Marie.

Raul zmrużył lekko swe czarne oczy i przytaknął.

– Cojon.

Nawet Ariel, który zbyt płochliwy nie był, poczuł nieprzyjemny skurcz w żołądku. Ten bandzior cieszył się najgorszą sławą w całej chyba Europie. Czy naprawdę Raul de Luca nie mógł znaleźć sobie innego „przyjaciela”?

– Kiedy mamy wypłynąć? – zadał jedyne słuszne w tej sytuacji pytanie.

– Po kolacji – padła spokojna odpowiedź.

– Ale… ja nie chcę – zaprotestowała cicho Marie, patrząc pociemniałymi z przerażenia oczami na Tristana.

Jeszcze czuła na swoich wargach ciepło i miękkość jego warg, jeszcze przeżywała rozkosz, którą jej dał dzisiejszej nocy. Za każdym razem, gdy go widziała, serce aż bolało od uczuć, dla których miała tylko jedno imię:

miłość. I teraz, ledwo poznała jej smak, musi się z Tristanem rozstać? A jeżeli… jeżeli coś mu się stanie?!

– Nigdzie się stąd nie ruszam! – odezwała się tak stanowczym tonem, że nawet Raul spojrzał na nią zaskoczony. Do tej pory była cicha, zamknięta w sobie i niemal niewidoczna. Czyżby znów coś przeoczył? Marie stawała się kobietą, to pewne, która broni swojej miłości. Odezwał się łagodnie:

– Tristana spotkasz jutro rano. To nie on jest celem.

– Nic mnie to nie obchodzi! – Marie aż uniosła się z krzesła, zaciśniętymi pięściami uderzając w stół. – Przyrzekaliśmy sobie, że nigdy się nie rozstaniemy! I nie zamierzam…

– Milcz! – syknął Raul takim tonem, że dziewczyna usiadła. – Tristan dostał zadanie. Nikt ani nic nie może go rozpraszać. A na pewno nie ukochana **siostra** kręcąca się w pobliżu.

– Zostanę w swoim pokoju… – próbowała jeszcze i aż się skuliła, gdy Raul wstał gwałtownie i rzekł ostro:

– Koniec kolacji. Ariel, zabierz panie na wycieczkę. Natychmiast.

I znów, jak parę tygodni temu, Ariel mógł się obruszyć, że jest Raula gościem, a nie podwładnym, ale rozumiał tego mężczyznę. Jeżeli ma się tu rozegrać jakiś dramat, a po Cojonie wszystkiego można się było spodziewać, kobiety, które oni kochają, muszą być bezpieczne.

– Co z Weroniką? Odezwała się? – zapytał, wstając od stołu.

– Przysłała esemesa, że wraca za kilka dni.

– Dasz znać, kiedy będzie po wszystkim? – Ariel stanął naprzeciw Raula, nie śmiąc uczynić nic więcej. Na przyjacielskie uściski czy poklepywania po plecach nie był to ani czas, ani miejsce, ani odpowiedni człowiek.

– Dam.

Raul wyciągnął doń rękę. Tak, takie pożegnanie, silne, męskie, było jak najbardziej na miejscu.

Ale Danka nic sobie ze srogich min gospodarza nie robiła. Po prostu ucałowała Raula w gładki policzek i szepnęła:

– Nie daj się zabić.

Uśmiechnął się tylko.

Marie stała po drugiej stronie stołu. Zbuntowana i zła. Nie miała zamiaru z nikim się żegnać! Przecież wrócą tu niedługo, prawda? W domu wszystko zostanie po staremu. Raul i Tristan, szczególnie Tristan, będą na nich czekać, no nie?

Nagle zerwała się do biegu, okrążyła stół i wpadła chłopakowi w ramiona. On przytulił ją mocno, wyszeptał kilka słów. Spojrzała nań oczami pełnymi łez i kiwnęła głową, a potem oswobodziła się z jego objęć i… stanęła przed Raulem.

Patrzył na jasnowłosą, tak podobną do Soni i Pawła dziewczynę z mieszaniną dwóch uczuć. Miłość i wściekłość, to właśnie czuł w tej chwili do Marie. Miłość, bo była córką tych, których kochał, a wściekłość, bo… pokochała Tristana, nieodrodnego syna de Luki, który nie raz będzie się z nią żegnał tak jak dzisiaj i kiedyś może nie wrócić…

Nagle, nie wiedzieć jak, znalazła się w objęciach Raula. Zaskoczona, ale szczęśliwa uniosła nań niebieskie jak niezapominajki oczy swej matki. Ucałował ją w czoło i wypuścił z objęć tak samo nagle, jak ją przytulił. Otarła wierzchem dłoni dwie łzy, nie pozwalając im spłynąć po policzkach, i odezwała się, trzymając fason:

– Gdy wrócimy, będziecie nam winni wycieczkę do Larnaki. Na jeszcze większe zakupy!

– Masz to jak w banku – odmruknął Raul.

Odprowadzili całą trójkę do przystani. Patrzyli, już tylko we dwóch, jak światła jachtu znikają w oddali.

Wreszcie, gdy dźwięk silnika ucichł, Raul z Tristanem spojrzeli na siebie.

– Gotów?

– Gotów.

– Masz kluczyki.

Chłopak złapał je w locie. Uśmiechnął się zwycięsko na potrzeby ewentualnego szpiega, który mógł ich z daleka obserwować, po czym przeszedł na koniec pomostu, gdzie cumował jacht wynajęty wczoraj przez Raula. Usiadł za sterem, odpalił oba potężne silniki, uniósł kciuk i podążył w ślad poprzedniej łodzi. Wszystko zgodnie z tym, co omówili po wielekroć.

Jednak ustalenia ustaleniami, a ktoś z wojennym doświadczeniem – taki Tristan Latimer na przykład – lubił mieć własne plany. Na wszystko. Na dzisiejszą noc również…

Raul wrócił do cichego, pustego domu.

Nie zaprzątał sobie głowy sprawdzaniem, czy ochrona pozostaje w gotowości. Byli żołnierzami. Dostali rozkazy. Musiał pokładać zaufanie w ludziach Smitha.

Zamiast więc miotać się od okna do okna i od kamery do kamery, usiadł w swoim dawnym apartamencie, nie włączając monitorów, nalał sobie szklaneczkę dobrej szkockiej i zapatrzył się w połyskujące ostatnimi barwami wieczoru morze. Dom był cichy i pusty. Niemal tak cichy i pusty jak w tamtą noc. Dwadzieścia lat temu. Piętro niżej, w swoim pokoju, kuliła

się ze strachu Sonia, a on tutaj, na tym samym tarasie czekał na tego, który był zdrajcą. Vincenta de Lukę. Brata.

Teraz czekał na kogoś, kto – Raul jeszcze o tym nie wiedział – przypomni mu tamtą noc i tamtą zdradę. Przypomni równie boleśnie…

# ROZDZIAŁ XX

Dokładnie o północy nad VillaRosą rozbrzmiał dźwięk nadlatującego śmigłowca. Maszyna zatoczyła nad posiadłością kilka okrążeń. Ktoś lustrował teren bardzo uważnie, zapewne przez termowizjer, nie spiesząc się specjalnie. Szczególnie pilnie przyglądał się klifom. Tylko tam można było zastawić pułapkę. Teren zdawał się jednak czysty. Nikogo innego na klifach nie było. Tylko Raul de Luca.

On stał bez strachu pośrodku płaskowyżu, oświetlonego silnymi reflektorami, nic sobie nie robiąc z wymierzonej w niego lufy karabinu. Cojonowi martwy już teraz na nic się nie przyda. On musi najpierw z de Luką pogadać. Dopiero potem posłać go do piekła, gdzie od dwudziestu lat było jego miejsce.

Zresztą gdyby tylko padł strzał, śmigłowiec zostałby zestrzelony w następnej chwili wraz z tymi, co na pokładzie. Jak Cojon chciał zabić Raula i opuścić VillaRosę żywy? Tego de Luca nie wiedział, dużo jednak słyszał o pomysłowości Człowieka Bez Twarzy…

Helikopter wylądował łagodnie. Pierwszy wysiadł ochroniarz w czarnym garniturze. Podbiegł do Raula.

– Muszę pana obszukać – odezwał się, przekrzykując ryk silników.

– Nie musisz – uciął de Luca. – Mam przy sobie sig sauera. Nic więcej.

– Nie dojdzie do spotkania, jeśli pana nie przeszukam.

Raul zacisnął szczęki, uniósł ramiona i rozstawił nogi. Tamten szybko, sprawnie obmacał go i skinął głową w stronę śmigłowca. Na ten znak z helikoptera wynurzyła się monstrualnej tuszy postać, spowita w ni to pelerynę, ni szatę obłąkanego maga, i zeszła na ziemię. Maszyna natychmiast uniosła się w powietrze i pochylając się do przodu, ruszyła ku otwartemu morzu.

Raul odprowadził ją spojrzeniem.

Co ty knujesz?

Za chwilę miał się dowiedzieć…

Powrócił wzrokiem do swojego „gościa”. Ta karykatura człowieka, z trudem kolebiąca się na grubych, wygiętych od ciężaru cielska nogach, zbliżyła się i zatrzymała ze dwa metry przed nim.

Cojon przez długą chwilę mierzył przeciwnika spojrzeniem. Spod kaptura nie widać było jego twarzy. Tylko oczy, błyszczące jak u wściekłego psa.

– Raul de Luca – odezwał się nieludzkim, generowanym przez laryngofon głosem. – Wiesz, po co się spotykamy?

– Na pewno zaraz mnie uświadomisz – odparł obojętnie.

– Chcę odebrać dług.

– Nie jestem niczego winien takim bandziorom jak ty.

Tamten zaśmiał się. Zgrzytliwie. Nieprzyjemnie. I warknął:

– A ty zawsze niepokorny. Zaraz cię jednak nauczę szacunku.

W tym momencie w słuchawce, którą Raul miał tuż przy uchu, odezwał się głos George’a Lloyda, szefa ochrony.

– Panie de Luca, od strony morza podchodzi do klifów niewielka łódź. Połączyli się z nami przez radio i mówią, że mają zakładnika.

Zakładnika? Raul poczuł zimny dreszcz. Niemożliwe, by dorwali Tristana czy Ariela, że o van der Welcie nie wspomnieć! Jedyne, co mu przychodziło do głowy, to pułkownik Smith.

– Kto to?

– Nie wiemy. Przeskanowaliśmy ich. Nie mają broni. Zatrzymać?

– Przepuścić – odparł de Luca, nie zdając sobie sprawy, jak wielki popełnia błąd.

Cojon, przysłuchujący się tej wymianie zdań, uśmiechnął się pod swoim kapturem szeroko. Dokładnie o to mu chodziło…

Z mroku wynurzyła się niewielka motorowa łódź. Podpłynęła do klifów i zatrzymała się na tyle daleko, by Raul nie widział, co się dzieje na pokładzie.

– Nie wiem, czego chcesz, ale życie Johannesa Smitha, o ile to jego dorwałeś, niewiele dla mnie znaczy.

– Dla mnie jeszcze mniej – odparł Człowiek Bez Twarzy i jednym ruchem zerwał z głowy kaptur.

Raul aż się cofnął.

Miał przed sobą… zamrugał z niedowierzaniem i zgrozą… właściwie nie wiedział, co przed sobą ma. Twarz Cojona była jedną wielką pobliźnioną oparzeliną. Oczy, ukryte wśród zgrubień i nadżerek, były ludzkie, owszem, ale ich wyraz przerażał. Płonęły w nich obłęd i nienawiść. Naga czaszka, gdzieniegdzie pokryta kępkami rzadkich włosów, świeciła nienaturalną bielą sztucznej skóry. Kto i po co ratował tego nieszczęśnika, zamiast pozwolić mu umrzeć?!

Wtem to monstrum zrobiło krok w przód i odezwało się:

– Nie poznajesz mnie… bracie?

Raul… nagle wszystko zrozumiał.

I aż się zachwiał od tego ciosu.

– Vini… – wyszeptał.

– Tak, to ja! – wykrzyknął Cojon. Mechaniczna radość w jego głosie brzmiała upiornie. – Co za spotkanie po latach! Ty żyjesz, ja żyję. Padniemy sobie w objęcia?

Rozpostarł ramiona. Raul, wciąż zszokowany, cofnął się o kolejny krok.

– Cóż to, nie przytulisz ukochanego braciszka, którego wysłałeś kilogramem semteksu w kosmos? – I nagle ten prześmiewczy głos zmienił się w syk, podnoszący włosy na głowie. – Brzydzisz się mną, przystojniaczku? Nie możesz patrzeć na bestię, która jest twoim dziełem? Twoim pierdolonym dziełem!? Przypatrz się, braciszku, bo za chwilę czeka cię jeszcze bardziej niemiła niespodzianka…

Raul otrząsnął się i wycedził:

– Bestią byłeś, Vini, już przedtem. W pięknym, seksownym ciele, a jednak podłą, bezmyślną, zdradziecką bestią. Teraz masz wreszcie opakowanie pasujące do wsadu.

Cojon ryknął.

Raul zmrużył tylko oczy.

Patrzyli teraz na siebie z taką samą nienawiścią.

– Nie było dnia, żebym nie chciał strzelić sobie w łeb – zaczął powoli Człowiek Bez Twarzy. – I nie było dnia, żebym nie marzył o zemście. Za to, co ze mnie uczyniłeś. Jestem odrażający, owszem, jestem bestią, jak mówisz o swym ukochanym, młodszym braciszku, zgadza się. A mimo to, wyobraź sobie, przypadłem do gustu… twojej pani! Twojej ślicznej, seksownej i nieodmawiającej żadnemu Weroniczce!

Raul zdrętwiał od stóp do głów. Co on mówi?! Co on sugeruje?! Przecież Weronika jest w Polsce! Bezpieczna! Zaraz po wylądowaniu

przysłała wiadomość, że… Rany boskie! Wiadomość! Przysyłała tylko wiadomości, nie odbierając połączeń! Musieli dorwać ją w Antalyi! Jeżeli to bydlę wyrządziło krzywdę Weronice… żadna śmierć nie będzie dla niego za łagodna…

– Gdzie ona jest? – wychrypiał przez zaciśnięte spazmatycznie gardło.

– Dochodzi do siebie po tym, jak zabawiałem się z nią przez dwa dni.

– Nie zrobiłeś tego. Nie tknąłeś Weroniki… – Raul musiał cedzić słowa, całą siłą woli panując nad chęcią rzucenia się tamtemu gołymi rękami do gardła.

– Ależ oczywiście, że spróbowałem brzoskwinki mojego brata! Prawdę mówiąc, przerżnąłem ją niemal na wylot. Potem oddałem ją moim chłopcom. Zabawiali się z twoją dziwką w dziesięciu, na przemian. Za chwilę sama ci o tym opowie…

Na jego znak łódź wpłynęła w krąg światła, rzucany przez reflektor. Raul patrzył, jak jeden z osiłków podrywa do góry Weronikę, stawia przed sobą i zaciska palce na jej krtani. Jego dłoń sama sięgnęła pod marynarkę.

– Jedna rada, Raul, nie wykonuj gwałtownych ruchów, które mogłyby się nie spodobać towarzyszom naszej słodkiej pani. Nie, ty możesz być spokojny, tobie jeszcze włos z głowy nie spadnie, ale jej mogą niechcący zmiażdżyć krtań. Odrzuć broń, Raul – powiedział już zupełnie innym tonem. – Rzuć broń albo rozpierdolę twoją dziwkę!

Raul musiał zacisnąć na chwilę powieki. To, co się działo, nie mogło być prawdą. Nie przewidział tego nawet w najkoszmarniejszych snach… Rozwarł palce zaciśnięte na rękojeści sig sauera pod marynarką, cisnął go w bok. Ochroniarz, który stał do tej pory nieruchomo tuż za Vincentem, na jego znak podniósł broń i wetknął za pasek.

Raul, bezbronny, znalazł się na łasce i niełasce brata. Ten przyglądał mu się przez chwilę, zastanawiając się, jak uderzyć, po czym rzucił:

– Oto mamy trójkącik w komplecie. Ja, mój braciszek i jego kurwa.

Raul zacisnął szczęki tak silnie, że aż chrupnęło.

Weronika nie zareagowała, choć musiała słyszeć jego słowa. Albo nafaszerowali ją narkotykiem, albo popadła w obłęd. Jedno z dwojga.

Przepraszam, przepraszam cię, najmilsza moja – tylko te błagalne słowa kołatały się w pustym umyśle Raula, gdy patrzył na ukochaną kobietę. – Boże jedyny, co on ci zrobił?!

– Czego chcesz? – odezwał się nieswoim głosem, odwracając głowę od łodzi.

– Chcę zadać ci taki ból, żebyś strzelił sobie w łeb na moich oczach – odparł po prostu Cojon. – W następnej chwili, co mi tam! może mnie sprzątnąć snajper ukryty na tarasie. Ha, myślałeś, że nie wiem, z którego miejsca można mnie posłać do diabła? Pamiętaj, że mieszkałem tutaj razem z tobą, braciszku!

Kolejny błąd… Raul, popełniłeś kolejny błąd! Ktoś zapłaci za to życiem!

A Cojon bawił się jego kosztem dalej:

– Skoro już tak sobie gawędzimy, wiesz równie dobrze jak ja, że łódź jest z domu niewidoczna. – Zaśmiał się, widząc rozpacz w oczach de Luki. – A moi ludzie dostali jasne rozkazy: spadnie mi włos z głowy, Weronice skręcą kark albo zmiażdżą krtań. Ani tego, ani tego nie przeżyje.

– Czego chcesz? – wycedził de Luca, doprowadzony do ostateczności.

Vincent wyciągnął z fałd swojej szaty pistolet i cisnął go Raulowi pod nogi.

Tristan, patrząc na to przez wizjer beretty, uniósł brew w niemym zdumieniu. Wiedział, kiedy ma strzelać: gdy ojciec złączy kciuk i palec wskazujący w znaku „okej”, albo gdy tamten wyceluje do niego z broni. Raul przewidział niemal wszystko! Oprócz tego, że Cojon weźmie zakładniczkę…

Raul powoli schylił się po pistolet, który tamten cisnął mu pod nogi…

Co robić?! Na miłość boską, co ja mam robić?! Strzelić sobie w łeb, tak jak chce tego to bydlę? Gdybym był pewien, że tym ocalę ci życie, Weroniko…

Powoli uniósł pistolet do skroni…

Tristan zdrętwiał.

– Co robisz, do jasnej cholery?! – wyszeptał zduszonym głosem, nakierował celownik na dłoń ojca, ściskającą rękojeść glocka, gotów mu tę dłoń odstrzelić, jeśli będzie trzeba. – Damy skurwielowi radę! Wstrzymaj się chwilę, tato!!!

– Nie tak od razu, braciszku. – Głos Cojona sprawił, że ręka z pistoletem zastygła w bezruchu. – Nie jest nabity. – Pomachał Raulowi przed nosem magazynkiem z nabojami i zarechotał. – Chyba nie myślisz, że pozwolę ci zdechnąć tak szybko? Obiecałem nam obu zabawę, na której widok strzelisz sobie w łeb. Ta zabawa jeszcze się nie zaczęła! Klękaj! Będziesz na to patrzył, a potem umierał na kolanach. Klękaj! – warknął, gdy Raul trwał nieruchomo.

Ten, który stał za Weroniką, odgiął jej głowę jeszcze bardziej w tył. Zaczęła pojękiwać z bólu. Raul opadł na kolana, nie patrząc w tamtą stronę. Przez umysł przelatywały setki myśli naraz, ale jedna powracała: Co robić? Jak uratować Weronikę?! Jeżeli skoczy na ochroniarza, wyrwie mu swojego

sig sauera i zacznie strzelać do tamtych, czy zdąży? Nie. Nie miał szans. Wiedział, że tamci w sekundę zdążą ją zabić…

Cojon przyglądał się bratu z uśmiechem szpecącym i tak ohydną twarz. Czekał na ten moment, na chwilę triumfu, prawie dwadzieścia lat. Od dnia, gdy Raul uczynił z niego potwora, tylko to trzymało go przy parszywym życiu, jakie wiódł: zemsta. Zemsta na bracie, chociaż ten nie żył. Osobiście go przecież Vincent zastrzelił, zanim wsiadł na ten cholerny jacht, wyleciał razem z nim w powietrze i ledwo uszedł z życiem, ciężko poparzony, poharatany przez odłamki łodzi…

Raula nie mógł już dosięgnąć, ale Sonię i Pawła, dwoje ludzi, których tamten naprawdę kochał, jak najbardziej. Polował na nich cierpliwie przez niemal dwadzieścia lat, aż któregoś dnia ta cierpliwość się opłaciła. Sonia popełniła błąd… Zaraz potem wypłynął na światło dzienne dokument, w który Cojon nie potrafił z początku uwierzyć: rachunek na Firmę podpisany przez Raula de Lukę. Ale musiał sprawdzić każdy trop. Udał się osobiście na cmentarz pod Paryżem, zdewastował dla zatarcia śladów kilka grobów tylko po to, by na koniec pobrać ze szczątków brata odrobinę materiału do badań i porównać go z DNA rodziców. Wyniki zszokowały go: w grobie leżał kto inny, a to znaczyło, że Raul de Luca żyje. Żyje! Co za niespodzianka!

Sonię i Pawła sprzątnął z podwójną satysfakcją. Jakże Raula musiała zaboleć ich śmierć! Dziewczynę puścił żywą, wiedząc, że na tę przynętę wywabi brata z kryjówki. Nie mylił się. Cojonowi Marie była najzupełniej obojętna. Liczył się tylko Raul. I… jeszcze ktoś. Kto był mu najwyraźniej tak bliski jak niegdyś Sonia: stojąca teraz na łodzi, w towarzystwie dwóch jego ludzi, Weronika Orvi. To ona będzie narzędziem, którym ostatecznie złamie de Lukę…

Prześwietlił przeszłość kobiety, cierpliwie i bez pośpiechu. Miała słaby punkt – każdy jakiś ma – zamordowanego przez mafię syna. Zastanawiał się, jak wywabić ją z VillaRosy, którą Raul zamienił w pieprzoną fortecę, gdy trzy dni przed spotkaniem – ależ fart! – jego informator dał cynk, że Weronika wylatuje do Polski. Z Cojonem i jego ludźmi nie miała żadnych szans. Nie zdążyła nawet wsiąść do samolotu. Dopadli ją na lotnisku w Antalyi. Ogłuszyli ciosem w potylicę, zawlekli do samochodu. Potem Cojon, w wynajętym domu, z dala od ludzkich siedzib, zabawiał się z nią osobiście dotąd, aż uczynił z niej narzędzie zemsty doskonałej. A Raul, jego pierdolony brat, będzie teraz na to patrzył.

Cojon mlasnął językiem. Co za rozkosz…

– Dalej, Junger! – krzyknął w stronę łodzi. – Bierz się za tę kurwę!

Raul nagle zrozumiał. Dłonie same zacisnęły się w pięści. Tamci będą się znęcać nad Weroniką dotąd, aż on strzeli sobie w łeb, tak jak tego chciał Cojon, ale nie wcześniej, niż ten mu na to pozwoli…

– Widzę, że dotarło? – Cojon śmiał się swoimi bezzębnymi ustami. Rechotał metalicznie niczym obłąkany robot.

Jeden z bandziorów zaczął rozpinać spodnie. Kobieta nagle ożyła.

– Nie… nie… nie… – zaczęła powtarzać błagalnie, ale nawet nie drgnęła. Zupełnie jakby…

Oni ci to już robili – załkał w duchu Raul. – Krzywdzili cię tak przez wszystkie te dni… Co ja zrobiłem…

Ten za jej plecami pchnął ją do przodu. Pochyliła się, nadal skowycząc swoje „nie… nie… nie…”.

I wtedy…

Dwa strzały zabrzmiały jak jeden. Ci na łodzi, jak zdmuchnięci, wpadli do wody.

Trzeci z czwartym strzałem również zlał się w jedno.

Ochroniarz padł na wznak.

Głowa Cojona eksplodowała. Cielsko trwało jeszcze przez chwilę w pionie, bryzgając krwią, po czym runęło – ohydne, rzucające się w ostatnich drgawkach – u stóp Raula.

Tristan odetchnął głęboko. Naprawdę niewiele brakowało…

– Dobra robota, Jimmy – szepnął do mikroskopijnego komunikatora przymocowanego do kołnierza kurtki. James Stuart, kumpel z wojska, był jego małym, sekretnym planem na wypadek… takich właśnie niespodzianek.

Parę dni przed akcją, gdy tylko ojciec powiedział mu, kto się wybiera się do nich w odwiedziny do VillaRosy i w jakim celu, Tristan zaszył się w swoim pokoju i przez parę godzin z niego nie wychodził, analizując punkt po punkcie cały plan. Był dobry, Raul na klifie nie pozostał bezbronny, jeśli miał snajpera zdolnego zdjąć z odległości dwóch kilometrów tego, kto przybędzie. Ale… plan miał słaby punkt. Morza tuż u podstawy klifów nie było widać z tarasu VillaRosy, a to znaczyło, że ktoś, kto przybędzie drogą morską, będzie stanowić zagrożenie. Wprawdzie posiadłość i od tej strony była patrolowana i nikt nie miał prawa podpłynąć bez zezwolenia Raula, jednak…

Tristan, żeby nie podważać autorytetu Raula, postarał się o zabezpieczenie i tego obszaru. Jego serdeczny druh, Jimmy, zwany „Setką”, bo tylu szuszwoli miał na koncie, dopóki chciało mu się liczyć, był równie dobry co Tristan. Jemu mógł ufać jak samemu sobie. Poprosił przyjaciela o drobną przysługę na dalekim, malowniczym Cyprze, a ten – młody zabijaka – z chęcią się zgodził.

Dwa dni temu spotkali się w kyreńskim porcie, bo dwóch dni potrzebował strzelec wyborowy, by niepostrzeżenie dla nikogo, ani dla ochrony VillaRosy, ani dla obserwatorów Cojona, przedostać się na klify i mieć na oku zarówno płaskowyż, jak i morze u podnóża skał.

Tej więc nocy obaj – Tristan i James – byli na swoich stanowiskach. Obaj mieli ze sobą łączność. Obaj wymieniali się informacjami. Tristan wiedział, że do klifów płynie łódź. Wiedział, że na pokładzie mają zakładniczkę, ale w przeciwieństwie do Raula był pewien, że poradzą sobie z tym problemem.

I poradzili.

Choć nie od razu.

– Biorę tego obok niej – szepnął do mikrofonu Tristan.

– Dobra. Ja drugiego, ale mam ją na linii ognia. Nie mogę teraz strzelać.

– Okej. Czekamy…

Obaj zastygli bez ruchu, jeden na klifach, drugi na tarasie, nie odrywając wzroku od celownika, a palca od spustu. Gdy kobieta, pchnięta przez bandytę stojącego za nią zaczęła się pochylać, obaj w tym samym momencie pociągnęli za spusty. Dwa strzały. Dwa trupy.

Błyskawiczne przełożenie i następny cel. Jedna kula dla ochroniarza, druga dla Cojona. Prosto w jego wraży łeb.

Było pozamiatane.

Raul tkwił jeszcze chwilę nad cielskiem Człowieka Bez Twarzy, teraz dosłownie bez twarzy, po czym otrząsnął się i ruszył biegiem ku skrajowi klifu. Łódź z Weroniką, która znów stała nieruchomo niczym bielejący w mroku posążek, odpływała powoli na pełne morze.

Nie wahał się ani chwili – pieprzyć skały! – skoczył do ciemnej wody i zaczął płynąć ku dryfującej łodzi. Gdy Tristan przybiegnie na klify go

szukać, może nie odpłyną daleko…

Nie wiedział, że jego syn jest doskonale zorientowany w sytuacji i w tej właśnie chwili biegnie ku przystani, by ruszyć ojcu na pomoc. Parę minut później powoli podpływał do łodzi, na której Raul tulił w ramionach swoją Weronikę.

– Jesteście cali? – rzucił Tristan pierwsze i najważniejsze pytanie.

Raul bez słowa wziął kobietę na ręce i przeniósł, wbrew jej słabym protestom, na motorówkę. Tristan ruszył, z każdą chwilą nabierając prędkości.

– Co z nią? – rzucił przez ramię. – Zdążyli się do niej dobrać?

– Zdążyli.

Zaklął. Gdyby spróbowali to zrobić Marie… Zabiłby każdego, który ją tknął tak, by ten czuł, że zdycha.

– Przewieziemy ją do Kyrenii – odezwał się, żeby tylko słyszeć głos ojca. Niech Raul mówi cokolwiek, niech odpowiada półsłówkami, byle nie pogrążał się w szaleństwie, bo tego właśnie Tristan zaczął się obawiać, widząc go w takim stanie. Już to, że Raul skoczył z klifów, nie widząc nawet morza w dole, było szaleństwem.

Jeszcze kilka minut i Weronika spoczęła na tylnym siedzeniu jeepa, który jak zwykle był zaparkowany przy pomoście. Raul usiadł obok niej. Tristan wskoczył za kierownicę i ruszył ku drodze wyjazdowej. Brama zaczęła się rozsuwać, zanim do niej dotarli. Żołnierz przebrany w mundur ochroniarza zasalutował całkiem przepisowo. Ale Raul nie zwracał uwagi na nic poza Weroniką, leżącą nieruchomo z szeroko otwartymi oczami.

– Nie chcę żyć, jeśli ona ma pozostać do śmierci w takim stanie – odezwał się nagle. – Co oni jej zrobili, że złamali tak silną, wspaniałą kobietę? – głos mu drżał, gdy wypowiadał te słowa.

– Wiesz, co skurwiele pokroju Cojona potrafią robić z kobietami. I nie tylko z kobietami – odparł cicho Tristan. Znów stanęła mu przed oczami delikatna twarzyczka Marie. Gdyby to ona leżała teraz na tylnym siedzeniu jeepa, gdyby to ją wieźli do szpitala, bez nadziei, że kiedyś powróci taka jak przed uprowadzeniem…

– On był moim bratem – wyszeptał z niedowierzaniem Raul.

– Co?!

– To był Vincent. Mój brat.

– Przecież zabiłeś go dwadzieścia lat temu! Żałowałeś tego przez cały ten czas! Nie mów, że on…

– Przeżył wybuch. Tak jak ja przeżyłem jego trzy kule.

– To musiał być niezły szok – mruknął Tristan. – Spotkanie z bratem, którego wysłało się w kosmos… – Szkoda, że nieskutecznie – dodał w duchu.

– Żałuję, że nie zastrzeliłem go tamtej nocy – rzekł cicho Raul, wiedząc, że Tristan myśli to samo. – Dwa razy w serce, raz w głowę. Żyłaby Sonia, żyłby Paweł. Weronika siedziałaby teraz ze mną na tarasie…

– Nie poznałbyś Weroniki – zauważył przytomnie Tristan. – I będzie jeszcze siedzieć z tobą na tarasie.

– Nie widziałeś jej na tej łódce – odrzekł cicho Raul. – Nie słyszałeś jej błagalnego „nie… nie… nie…”. Złamali ją. Mogę się tylko domyślać jak, ale Weronika nigdy już nie będzie sobą.

Syn rzucił mu zamyślone spojrzenie. On znał pewien sposób, by wymazać nawet najgorsze wspomnienia. Czy może jednak zaproponować to własnemu ojcu? Ten się dopiero nagada. Warto jednak znieść marudzenie starego, by pomóc skrzywdzonej kobiecie, no nie?

Sięgnął do kieszeni, nie odrywając wzroku od drogi, i wyciągnął niewielką paczuszkę, wypełnioną do połowy złotawo połyskującym proszkiem.

– Znasz to? – zapytał retorycznie.

O tak, kto jak kto, Raul znał się na narkotykach. I natychmiast się ożywił.

– Skąd u ciebie to świństwo?! – syknął. – Kiedyś rozmawialiśmy o prochach i przyrzekałeś, że nie ćpasz!

– Bo nie ćpam – odparł Tristan z naciskiem. – Ale bywały czasy, że musiałem wziąć coś na zresetowanie mózgu. Złoty Pył jest idealny…

– Uzależnia! Silnie uzależnia od pierwszej działki! Jesteś…

– Tato – przerwał mu takim tonem, że de Luca zamilkł – sporo nie wiesz o swoim jedynym dziecku, czyli o mnie. Nie wiesz, ilu ludzi i w jaki sposób zabiłem. Nie wiesz, jak musiałem sobie z tym radzić. Gdyby nie Złoty Pył, prawdopodobnie miałbyś w domu czubka, nie syna. I nie tylko ty. Wielu chłopaków przeszło przez piekło Libii tylko dzięki temu szajsowi. Wiesz, że Złota Pani, jak na to mówimy, zmieszana z pewnym specyfikiem, powoduje selektywną utratę pamięci? W zależności od dawki amnezja sięga od jednej nocy do tygodnia wstecz.

Raul milczał, patrząc przed siebie. Tylko zaciśnięte szczęki mówiły, że Tristan go nie przekonał. De Luca „robił” w narkotykach przez ładne dziesięć lat i dosyć się napatrzył, żeby znienawidzić to gówno na resztę życia…

– Ta mieszanka, łagodząca zresztą skutki uboczne Złotego Pyłu, jest oficjalnie dopuszczona do stosowania przez żołnierzy Stanów Zjednoczonych – mówił Tristan dalej, mimo wrogiego milczenia ze strony ojca. – W szpitalach leczą tym syndrom stresu pourazowego.

– Serio? – ta informacja już Raula zainteresowała.

Od kiedy skończył z mafijną działalnością, nie czytał niczego, co dotyczyło narkotyków, handlu bronią, przemytu ludzi, czyli tego, czym się przez lwią część swego życia zajmował. Być może znaleziono inne zastosowanie Złotego Pyłu… Ale z Tristanem jeszcze nie skończył.

– I ty, ze względu na syndrom stresu pourazowego, nosisz to świństwo przy sobie? – rzucił ironicznie.

Tristan wzruszył ramionami.

– Tak wyszło.

– Kiedy ostatnio brałeś?

– Litości… – Chłopak posłał mu zdegustowane spojrzenie. – Jakbyś nie zauważył, mam dwadzieścia dwa lata. Od jakiegoś czasu jestem pełnoletni. I jeżeli będę chciał, będę ćpał.

– To nie jest odpowiedź na moje pytanie – uciął ostro Raul.

Tristanowi mimo wszystko podobała się ta rozmowa. Ojciec rzadko wykazywał troskę o niego, uważając, że syn poradzi sobie sam.

– Kiedy?

– Brałem, gdy byłem na wojnie – odparł cicho. – Tylko wtedy.

Raul spojrzał na syna, który w momencie gdy zabił pierwszego człowieka, przestał być dzieckiem i stał się mężczyzną. Dlaczego myślał, że udział w krwawych walkach, gdzie Tristan jako snajper patrzył ofiarom prosto w oczy, a potem między te oczy strzelał, spłynie po chłopaku jak woda po kaczce? Tristan pod maską twardziela był wrażliwym człowiekiem, miał sumienie. Raul dobrze to znał. Był z syna dumny, o tak, ale nigdy nie zapytał, jak sobie z zabijaniem człowieka radzi. A on, Raul, powinien wiedzieć, że bywa to trudne…

– Przepraszam – odezwał się równie cicho.

Tristan skinął po prostu głową.

Zbliżali się do szpitala. Uliczki Kyrenii stawały się coraz bardziej kręte. Raul milczał, gładząc śpiącą Weronikę po włosach, ale… musiał jeszcze o to spytać:

– Skoro brałeś Złoty Pył trzy lata temu, skąd on dzisiaj w twojej kieszeni?

Tristan uniósł kącik ust w irytującym – i bardzo Raulowym – uśmieszku:

– Dla kumpla, który pomagał mi w dzisiejszej akcji. On jest uzależniony.

– Był ktoś jeszcze?

– Przeceniasz mnie, tato. Nawet twój nieprawdopodobnie szybki syn nie dałby rady w tej samej sekundzie zdjąć czterech facetów – to powiedziawszy, zahamował przed szpitalem, zgasił silnik i uśmiechnął się szeroko. Z satysfakcją. – Trzymaj – rzucił ojcu paczuszkę. Ten chwycił ją w locie. – Może się przydać. Lekarze wiedzą, co z tym zrobić.

Wyszli na podjazd obaj, Raul z Weroniką na rękach, i ruszyli spiesznym krokiem ku wejściu. Tam natychmiast podeszły do nich pielęgniarki. Razem z sanitariuszem położyły kobietę na łóżku, zasunęły zasłony. Jedna pobiegła po lekarza, druga zaczęła mierzyć parametry życiowe nieprzytomnej pacjentki. Raul stał obok Weroniki i gładził ją po bezwładnej dłoni.

Parę chwil później przyszedł młody człowiek w białym kitlu. Zwykle trochę trzeba poczekać, aż znajdą dla ciebie czas, nawet w prywatnej klinice, ale dla kogoś, kto rzuca na blat recepcji platynową kartę, obsługa musi być najwyższej jakości. Szybka, miła i dyskretna.

– Co naszej pacjentce dolega? – zaczął przymilnym tonem lekarz. David Zucker, głosiła plakietka.

Raul obrzucił go nieprzyjaznym spojrzeniem i warknął:

– Została po wielekroć brutalnie zgwałcona. I prawdopodobnie nafaszerowana narkotykami.

Lekarz zbladł lekko. Pielęgniarka posłała Raulowi spłoszone spojrzenie.

– Musimy zbadać pańską żonę – zaczął Zucker.

– Oczywiście, że musicie! I nie jest moją żoną.

Wkurzał Raula ten ulizany dupek. Ale jeszcze bardziej wkurzało go to, że jemu, Raulowi, czas się kończy, a chciałby doczekać chwili, gdy Weronika otworzy oczy i spojrzy na niego przytomnie, z uśmiechem, bez obłędu, jaki widział na jej twarzy jeszcze parę kwadransów temu.

– Chciałby pan pozostać przy badaniu czy…

Raul odwrócił się na pięcie, skinął na Tristana i wyszedł.

– Nie byłeś zbyt uprzejmy – zauważył chłopak, rzucając ojcu pełne przygany spojrzenie. Nagle jego wzrok się wyostrzył. – Co ci jest? – zaniepokoił się, bo Raul pobladł. W następnej chwili ugięły się pod nim nogi, chwycił syna jedną ręką za ramię, drugą wsunął pod marynarkę.

– Co ci jest?! – krzyknął Tristan przerażony.

– Oberwałem – odrzekł słabnącym głosem Raul. – Ochroniarz zdążył strzelić…

Wyjął rękę spod marynarki. Była czerwona od krwi.

Jeszcze zdążył usłyszeć krzyk syna: – Pomóżcie mi!!! On jest ranny!!! – i osunął się w czerń.

# ROZDZIAŁ XXI

Ty pieprzony bohaterze… – to było pierwsze, co usłyszał od syna, gdy odzyskał przytomność.

Tristan ściskał jego dłoń w swoich tak silnie, jakby już nigdy miał jej nie wypuścić.

– Dzięki, synu – wyszeptał, siląc się na żart, ale… był tak bardzo słaby… Spać. Zasnąć i się nie obudzić, tylko o tym marzył w tej chwili, ale ból w boku nie pozwalał uciec z powrotem w nieświadomość. A przecież nie będzie prosił o coś, co go złagodzi. Otworzył oczy. Napotkał pociemniałe ze zmartwienia spojrzenie Tristana.

– Kula utkwiła w ranie – odezwał się cicho młody mężczyzna. – Nie mogą cię wziąć na stół, bo straciłeś dużo krwi. Rany, tato, skoczyłeś z przestrzelonym bokiem do morza! W nocy, na oślep! Potem przez godzinę się wykrwawiałeś. Ganiałeś z Weroniką na rękach, nie pozwalając sobie pomóc! Co ty sobie myślisz, że jesteś niezniszczalny?! – jego głos załamał się lekko.

Raul spróbował się uśmiechnąć.

– Nic mi nie będzie. Co z Weroniką? – Usta z trudem układały się w pytanie, ale musiał wiedzieć.

– Śpi. Podali jej koktajl z narkotyku i tego dodatku, teraz odsypia ostatni tydzień.

– Bardzo… była poraniona?

Tristan odwrócił wzrok. Była. Bardzo. Tamci skurwiele znęcali się nad nią na wiele sposobów. Czego użyli do gwałtu, lekarz nie powiedział, ale… owszem. Była. Ojciec nie musi jednak o tym wiedzieć. On jest teraz ważniejszy od Weroniki.

– Wyjdzie z tego – odparł, pilnując, by w jego głosie zabrzmiała pewność. – Ty też. Słyszysz? Tato? Tato?! – Pulsoksymetr zaczął piszczeć alarmująco. – Tato, proszę cię!!!

Telefon Ariela, którego nie wypuszczał z ręki, rozdzwonił się nagle. „Tris” widniało na wyświetlaczu.

– Możecie wracać do domu, już po wszystkim – usłyszał głos chłopaka i odetchnął z głęboką ulgą.

Do zespołu Raula dołączyli – on i Danka – najpóźniej, ale nie sposób było oprzeć się charyzmie tego człowieka, on potrafił wzbudzać we współpracownikach głęboki szacunek. Ich traktował dodatkowo jak rodzinę, a nie podkomendnych, i Ariel od razu odkrył pod pozorem oschłości wielkie serce Raula i jego bezgraniczne poświęcenie dla tych, których obdarzył miłością czy sympatią. Był świetnym, twardym facetem. Ariel podziwiał go i szczerze lubił. Zaś Tristan… nieodrodny syn Raula, to był dopiero wspaniały chłopak! Słysząc jego zmęczony głos odetchnął z ulgą, chociaż… Spodziewał się telefonu od Raula.

– Jakie straty? – zapytał ostrożnie.

– Ojciec jest ciężko ranny. Stracił cholernie dużo krwi. Ale mam nadzieję, że z tego wyjdzie. Poprzednio zarobił trzy kule i dał radę, więc teraz… – Tristan urwał. Poprzednio Raul był dwadzieścia lat młodszy i dwadzieścia razy mądrzejszy! Nie ganiał z ciężkim postrzałem po klifach! Nie skakał z dziurą w brzuchu do morza! Co opętało tego idiotę?!

– Gdzie dostał?

– W okolice wątroby. Przed chwilą go reanimowali i od razu wzięli na stół. Będą go stabilizować podczas zabiegu, tak mi tłumaczył chirurg.

Ariel zaklął.

– To dobry szpital? Dadzą radę?

– Nie wiem. Ojciec kazał tu przywieźć Weronikę, więc chyba dobry…

– Weronikę?! A z nią co się stało?! Przecież miała siedzieć w Polsce!

Tristan potarł oczy zmęczonym gestem. Był na nogach od jakichś trzydziestu godzin. Marzył o odrobinie snu, ale wiedział, że dopóki z ojcem nie będzie wszystko w porządku, nie zmruży oka.

– Weronikę zgarnął z lotniska Cojon. Ostro się nad nią znęcał parę dni, po czym wziął ją na zakładniczkę. Miał zamiar przy pomocy swoich bandziorów gwałcić ją na oczach ojca, a potem dać mu broń, żeby ze sobą skończył. Udało się temu zapobiec. Odbiliśmy ją, jest teraz w śpiączce farmakologicznej. O życie ojca walczą lekarze. To wszystko.

– Podrzucę dziewczyny do VillaRosy i przyjeżdżam – zdecydował Ariel.

Tristan nigdy by się do tego nie przyznał, ale był na skraju wyczerpania. Od kiedy umarła jego matka, de Luca był całym jego światem. Podziwiał ojca, kochał, stawiał sobie za wzór. Nie mógł stracić i jego! Ale boleśnie zdawał sobie sprawę, że w tej chwili los Raula był w rękach lekarzy ze szpitalika w prowincjonalnej cypryjskiej mieścinie. On, Tristan, nie mógł uczynić już nic. Tylko się modlić.

Było coś jeszcze.

– Ariel, mam prośbę… W VillaRosie trzeba posprzątać. Nie zdążyłem się tym zająć, a nie wiem, czy ludzie Smitha dostali stosowne rozkazy. To żołnierze. Sami z siebie palcem nie kiwną.

– Nie zawracaj sobie tym głowy. Dopilnuję, by wszystko było na tip-top. Gdzie ten bałagan? W domu? – zapytał przyciszonym głosem. Nie chciał narażać Danki i Marie na mało przyjemny widok.

– Na klifach. Dwa trupy. W morzu też dwa.

Ariel gwizdnął cicho.

– Nieźle. Jakieś życzenia co do miejsca i czasu pochówku?

– Szybko i dyskretnie. Oprócz tego: żadnych.

– Załatwione. Ty siedź w szpitalu i pilnuj, by niczego Raulowi nie brakło…

– Nie musisz mi tego mówić.

– …ja przyjadę, gdy tylko uporam się ze sprzątaniem.

– Dzięki, bracie.

Rozłączył się, oparł głowę o dłonie, zaciśnięte na komórce i przez chwilę trwał bez ruchu, walcząc z niemęskimi łzami. Mając takich przyjaciół, przyjaciół na śmierć i życie, można podjąć walkę z całym światem. Teraz już wiedział, dlaczego Raul de Luca wygrał dwadzieścia lat temu i dlaczego musi wygrać teraz: właśnie dla nich. I dla niego, Tristana, też.

Musiał zasnąć na siedząco, może nawet z otwartymi oczami, bo jego umysł nie zarejestrował nadejścia Marie. Dopiero gdy położyła Tristanowi rękę na ramieniu i uścisnęła lekko, poderwał głowę i spojrzał na nią jak na ducha. Ariel miał ją i Dankę podrzucić do VillaRosy, tymczasem Marie klękała właśnie przed Tristanem, biorąc jego dłonie w swoje i zaglądając w poczerwieniałe od niewyspania oczy z troską. I miłością. To uczucie rozświetlało ją od środka. Tristanowi nigdy nie wydała się piękniejsza niż w tej chwili, gdy właśnie to – miłość Marie – było mu potrzebne.

Wstał, przyciągnął ją do siebie i przytulił z całych sił. Zanurzył twarz w jej włosy, pachnące morską bryzą, pod palcami czuł jej szczupłe, ciepłe ciało.

– Wszystko będzie dobrze, prawda? – zaszeptała, przytulając policzek do jego piersi.

Skinął głową, nie mogąc wydusić ani słowa przez zaciśnięte gardło.

Ale jeszcze przez kilka godzin nic nie chciało być dobrze. Dopiero koło południa z sali operacyjnej wyszedł starszy lekarz, pamiętający Raula sprzed lat, i powiedział, uśmiechając się do dwojga młodych ludzi:

– De Luca ma cholernego farta. Znów wywinął się śmierci. Który to już raz?

Gdyby miał przed sobą Raula, ten odparłby pewnie ze swoją zwykłą nonszalancją: „Nie wiem, nie liczyłem”. Tristan po prostu podszedł do doktora i podziękował mu uściskiem ręki.

– Kiedy mogę go zobaczyć?

– Jest jeszcze pod narkozą, na pooperacyjnej. Zwykli śmiertelnicy nie mają tam wstępu, ale ty możesz przy nim posiedzieć. VIP-ów nie obowiązują szpitalne regulaminy – to była subtelna aluzja do wysokości rachunku, jaki szpital wystawi Raulowi za królewskie traktowanie. Tristan zrozumiał ją, lecz obojętnie skinął głową. Za wszystko, co związane z akcją „Złoty Pył”, nadal płacił rząd Stanów Zjednoczonych. Uśmiech lekarza stał się jeszcze szerszy. Chciał przymilać się hojnym klientom dłużej, ale chłopak uciął jego zapędy:

– Proszę wskazać drogę.

Jak przez mgłę pamiętał pierwsze przebudzenie. Pochylona nad nim twarz syna, jego pociemniałe ze zmartwienia oczy i ciche, pełne miłości

słowa, z których nie zapamiętał ani jednego. Powieki same opadły, a on spadł z powrotem w otchłań bez dna.

Po raz drugi odzyskał przytomność chwilę później, przynajmniej jemu się tak wydawało, tymczasem Tristan czuwał przy nim już trzeci dzień, zmieniany czasem przez Ariela, Marie albo Dankę, by mógł się zdrzemnąć chociaż na parę chwil.

Tego popołudnia nie chciał jednak ojca opuścić. Wiedział, czuł całym sobą, że lada chwila nastąpi kryzys. I albo Raul go przeżyje, albo… Tristan wolał nie myśleć, co będzie, gdy osłabiony krwotokiem organizm się podda.

Tkwił więc przy jego łóżku, trzymając bezwładną dłoń ojca przyciśniętą do czoła i… modlił się bezgłośnie. Urwał, słysząc pukanie do drzwi. Podniósł przekrwione od niewyspania i niewypłakanych łez oczy. I aż krzyknął cicho z zaskoczenia i radości.

Do pokoju weszła, podtrzymując się leciutko ścian…

– Weronika!

Stanęła przy łóżku Raula i uśmiechnęła się do jego syna. Zeszczuplała i była bardzo blada, ale obłędu w oczach już nie miała.

– Jak się czujesz? – musiał zapytać. Musiał usłyszeć jej głos. Głos człowieka przytomnego i o zdrowych zmysłach.

– Dobrze – wyszeptała, mając gardło otarte od rurki intubacyjnej. – Miałam wypadek, tak powiedział lekarz, który się mną zajmował, ale… nic nie pamiętam. Czy ty coś wiesz? Czy… Raul był wtedy ze mną?

Wypadek? Musiała myśleć, że jechali z Raulem samochodem i wtedy zdarzył się ten wypadek. Nie wolno jej aż tak okłamywać. Należy – tego Tristan był pewien, znając podobne przypadki z wojska – powiedzieć prawdę, złagodzoną, niecałą, ale jednak prawdę.

– Uprowadzili cię bandyci – zaczął łagodnym głosem.

Weronika otworzyła szeroko oczy i powoli przytaknęła.

– Byłaś ich zakładniczką…

Tego już sobie nie przypominała. Tylko moment, gdy wysiadała na lotniskowym parkingu z samochodu, a ktoś chwycił ją pod ramię. Nic więcej.

– Ojciec cię uwolnił, ale sam oberwał…

Podeszła z drugiej strony łóżka, ujęła drugą dłoń Raula i przycisnęła ją do ust.

– Będzie żył, prawda? Musi żyć! Ma ciebie, ma mnie, ma VillaRosę…

Jej słowa musiały w jakiś sposób dotrzeć do pogrążonego w śpiączce umysłu Raula, bo oto powoli uniósł powieki, spojrzał na pochyloną ku niemu Weronikę, przeniósł wzrok na podnoszącego się z krzesła Tristana i… uśmiechnął się. Samymi oczami, bo na więcej nie miał siły, ale się uśmiechnął.

# ROZDZIAŁ XXII

Wypowiedział słowa przysięgi małżeńskiej, patrząc w piękne, złote, rozjaśnione szczęściem oczy Weroniki. Nigdy w życiu nie był niczego tak pewien jak dziś, w tej chwili, przysięgając jej miłość, dopóki śmierć ich nie rozłączy.

Boże jedyny, jak on ją kochał…! Widziała tę miłość w czarnych oczach Raula i promieniała szczęściem, jasna i śliczna w zwiewnej, białej sukni, z kwiatem hibiskusa w rozpuszczonych włosach.

Dzień nie mógł być piękniejszy i bardziej słoneczny, a niebo błękitniejsze. Zgromadzeni na plaży goście, nieliczni, ale jakże mile widziani – Tristan z Marie, Daniel z Anią, Ariel z Danką – rozkoszowali się łagodnym szumem fal, delikatną bryzą unoszącą welon panny młodej, zapachem kwiatów, a przede wszystkim spokojem tego miejsca. VillaRosa była po prostu rajem, choć tyle krwi wsiąkło w jej ziemię, i dziś, w tym szczęśliwym dniu, wszyscy pragnęli, by tym rajem dla Raula i Weroniki pozostała do końca ich dni.

Ale był ktoś, kto życzył sobie czego innego. I już niedługo upomni się o spłatę długu.

Ten ktoś pozwolił przeżyć Raulowi spotkanie z bratem i powrócić do zdrowia po ciężkim postrzale. Pozwolił nacieszyć się Raulowi Weroniką, Tristanem i Marie i spędzić z nimi w VillaRosie kilka beztroskich, letnich miesięcy. Dał mu ułudę spokoju i bezpieczeństwa, by cios był tym bardziej bolesny.

Zada go właśnie dziś, w dzień ślubu Raula z Weroniką.

Była późna noc, gdy po ceremonii ślubnej, a potem wspaniałym pełnym radości weselu, wrócili oboje do sypialni, zmęczeni, ale szczęśliwi. Pachniała różami. Ciemnoczerwonymi różami, których ogromny bukiet stał na toaletce.

Weronika podeszła do nich i zanurzyła twarz w przepięknych, aromatycznych kwiatach.

– Są takie śliczne. Dziękuję, kochany – odwróciła się do Raula, teraz już jej męża, patrząc nań błyszczącymi miłością i szczęściem oczami.

On przyglądał się kwiatom z dziwnym wyrazem twarzy. Nie były od niego – to po pierwsze. Stały tutaj, w ich sypialni, do której nikt nie miał dostępu – to po drugie. I wcale mu się to nie podobało – to po trzecie.

Podszedł, wziął w dwa palce małą kopertę, dołączoną do bukietu, wyjął z niej kartkę z życzeniami szczęścia na nowej drodze życia. Na jej odwrocie znalazł to, czego się spodziewał. Krótki liścik. Właściwie kilka słów: „Mamy do omówienia dawne sprawy. Zapraszam na Nowhere Island. I.W.”. Pociemniałymi nagle oczami spojrzał na wspaniały bukiet. Ostrzegał Raula jasno i wyraźnie: Spróbuj tylko odmówić!

Odwrócił się, by Weronika nie ujrzała uczuć, jakie nagle nim zawładnęły. Zmiął kartkę w dłoni.

Wiedział, kto zaprasza go do siebie: Ivan Woroncow, rosyjski mafioso kontrolujący niemal całą Azję i pół Europy. Wiedział również, że to zaproszenie nie wróży niczego dobrego, ale musi je przyjąć, bo jeśli on, Raul, nie spotka się z nadawcą listu na jego prywatnej wyspie, tamten pofatyguje się do VillaRosy z całą pieprzoną, najemną armią.

Już samo to, że ktoś od niego był tutaj, w VillaRosie, w ich sypialni, dzisiaj, w dniu ślubu, że mógł po prostu podejść do Weroniki i na oczach

Raula ją zastrzelić…

Mafia nie zapomina i nie wybacza, wiedziałeś o tym, de Luca, przystępując do gry.

– Muszę się przejść – rzucił do nieco zdziwionej Weroniki, wyszedł z domu i ruszył ku klifom.

Woroncow nie może przekroczyć progów jego, Raula, domu! VillaRosa ma pozostać ostoją bezpieczeństwa dla wszystkich jej mieszkańców! Nic nie może zaburzyć spokoju tego miejsca. Weronika, cokolwiek z Raulem by się nie stało, musi żyć tutaj, w miejscu, które pokochała i które dało jej pocieszenie po stracie syna, bez względu na wszystko. To Raul swojej ukochanej żonie był winien.

Zapatrzył się na morski bezmiar. Przeczytał dwa krótkie zdania raz jeszcze. Powoli podarł kartkę na małe skrawki, podszedł do krawędzi klifu i upuścił je do morza. Wziął głęboki oddech, czując tak wielką miłość do tego miejsca, do Weroniki, do syna, Tristana, i jego narzeczonej, a dla Raula przybranej córki, Marie, że aż zabolało.

Musi zostawić ich wszystkich i udać się na najważniejszą rozmowę w swym życiu. Podczas niej albo wszystko zyska, albo wszystko straci. Nie było niczego pomiędzy. Nie było żadnej innej opcji. Albo – albo.

Wrócił do domu. Zapukał do sypialni, znajdującej się na pierwszym piętrze, nie mając nadziei, że usłyszy „proszę”, był przecież środek nocy, a jednak…

Wszedł do środka, zatrzymując się w korytarzu. Daniel van der Welt, bo to on ze swoją żoną zajmował ten apartament, odwrócił się od biurka i uśmiechnął na widok Raula.

– Widzę, że ty też taki pracowity – zażartował.

Dopiero na ślub Raula i Weroniki udało się Danielowi i Ani wyrwać ze Stanów w odwiedziny do VillaRosy, a i tak van der Welt każdą wolną chwilę poświęcał pracy. Z więzienia wypuszczono go za obłędną kaucję, którą wpłacił de Luca, i pod pewnym warunkiem: zmieni pracodawcę. Przejdzie z CIA do FBI.

Danielowi było doprawdy wszystko jedno, na czyj rozkaz będzie się włamywał do baz danych i kradł z nich informacje. Zgodził się. Po odpowiednio długim wahaniu, by federalni nie myśleli, że przyleci do nich ot tak, na pstryknięcie, ale się zgodził. I dopiero wtedy mógł odetchnąć wolnością. Nie traktowano go w więzieniu źle, nie mógł narzekać, ale Ania była coraz bardziej nieszczęśliwa, a na niej i tylko na niej Danielowi zależało.

Od dwóch miesięcy włamywał się więc na te same serwery, co poprzednio, tylko skradzione z nich dane przekazywał komu innemu. Proste. Jedynie czasu dla siebie i żony miał o wiele mniej, bo federalni za karę zarzucali go robotą – może dlatego, by w wolnych chwilach nie strzeliło mu do głowy pomagać de Luce. Kto ich tam wie…

– Jeżeli znów chcesz mnie wplątać w coś, po czym wyląduję za kratami… – zaczął groźnie, choć w szarych oczach miał przyjazne błyski. Lubił Raula i nawet pobyt w więzieniu tego nie zmienił.

– Oczywiście, że chcę – odparł Raul lekkim głosem, ale mimo to Daniel musiał wyczuć coś pod tą lekkością, bo spoważniał.

– Zamieniam się w słuch.

– Dostałem dziś zaproszenie na prywatną grecką wyspę Nowhere od niejakiego Ivana Woroncowa.

– Szefa ruskiej mafii?!

– Dokładnie. Można powiedzieć, że dzięki mnie stał się tym, kim się stał, bo przed akcją „Złoty Pył” o nim nie słyszałem. Masz jakiś pomysł, czego po dwudziestu latach może ode mnie chcieć? Bo chyba nie dziękować mi za niezamierzoną, ale jednak pomoc…

– Jeżeli ty nie masz żadnego, to ja tym bardziej, ale ciekawe, co o Ivanie Woroncowie powie nasze lustereczko.

Wrócił do biurka, otworzył drugi laptop, bardziej niepozorny niż ten, na którym zwykle pracował. Jego palce zatańczyły na klawiaturze. Zmarszczył w skupieniu brwi.

– Gdzie się włamujesz? – Raul stanął za nim, przyglądając się rzędom cyfr przemykających po ekranie.

– Do archiwum GRU.

– Żartujesz?! – de Luca nie mógł powstrzymać okrzyku.

– Ciiicho, żonę mi obudzisz! A gdzie mam niby zdobyć zastrzeżone informacje, jak nie u źródła?

– Więc ot tak włamujesz się do centralnego urzędu bezpieczeństwa Federacji Rosyjskiej?!

– Może nie „ot tak”, bo złamanie ich zabezpieczeń zajęło mi swego czasu ładnych parę miesięcy, ale owszem, właśnie tam.

Raul popatrzył na przyjaciela z niekłamanym podziwem. Wiedział, że van der Welt jest zdolny, nieprawdopodobnie zdolny, ale nie przypuszczał, że jest również szalony. Rosja to nie Francja. Jeżeli Sowieci przyłapią go na włamaniu, więzieniem federalnym może się to nie skończyć…

– Spokojna głowa, nie zostawiam śladów.

Raul zaczął się jednak niepokoić, ale za chwilę miało się to okazać jego najmniejszym zmartwieniem, bo Daniel wyprostował się nagle, spojrzał mu

prosto w twarz z jakimś dziwnym, ostrym błyskiem w oczach, i rzekł powoli:

– Ivan Woroncow jest synem Siergieja Golinowa. Brzmi znajomo?

Raul pobladł.

Siergiej Golinow. Drugi z jego dawnych kontrahentów, który miał odkupić od kolumbijskiego kartelu „Złoty Pył” za – bagatela – cztery miliardy euro… Drugi, który strzelił sobie w łeb na wieść, że cały transport i cała forsa, nie tylko jego własna, ale i innych rodzin mafijnych, poszła na dno. Przez zdradę niejakiego Raula de Luki…

A Ivan Woroncow był jego synem. Żegnaj, Raul…

Aż się wzdrygnął, czując na ramieniu uścisk czyjejś dłoni. To Daniel. Patrzył nań ze zgrozą. On także był w to zamieszany. On też był tutaj, w VillaRosie!

– Słuchaj, bracie – zaczął gorączkowym szeptem – nie leć na tę jego zasraną wyspę. Zabieraj Weronikę, Tristana, Marie i spieprzaj jeszcze dziś, tej nocy, jak najdalej od Woroncowa i jego zaproszeń.

– Jego człowiek był tutaj dziś, w dniu ślubu. Mógł ją zastrzelić, Weronikę. Mógł zamordować Tristana albo Marie, albo wszystkich naraz. Nie, Daniel… – Raul pokręcił głową, mając w oczach rezygnację i śmiertelne zmęczenie. – Mam dosyć tej gry. Tej wiecznej ucieczki i strachu o najbliższych. Trzeba to zakończyć raz na zawsze. – Teraz on kładł rękę na ramieniu przyjaciela. – Zaopiekuj się Weroniką. Postaraj się, by zrozumiała, dlaczego musiałem… odejść.

Daniel zdobył się jedynie na potaknięcie. W gardle czuł bolesny ucisk. On, by chronić rodzinę, zrobiłby to samo. Ale…

– Odwiozę cię na lotnisko – odezwał się wreszcie, walcząc ze łzami.

Lecz Raul zatrzymał go gestem dłoni.

– Zostań tutaj. Chcę, żeby odwiózł mnie Tristan. Ty pilnuj dziewczyn. To nie potrwa długo. Jutro o tej porze będzie po wszystkim.

Daniel kiwnął głową. Tak ciężko było słuchać tych słów. Tak trudno będzie czekać na wiadomość…

– A jeżeli… – zaczął Raul i głos mu się załamał, musiał wziąć głęboki oddech, by mówić dalej. – Jeżeli nie uda mi się przehandlować mojego życia za życie najbliższych, jeśli ten skurwiel skrzywdzi tych, których kocham… dorwij go, bracie. Po prostu zrób to.

Daniel chciał coś powiedzieć, ale nie był w stanie.

Uścisnęli sobie dłonie. Mocno. Aż pobielały im knykcie. Żadne inne słowa nie znaczyłyby więcej niż te dwa ostatnie:

– Żegnaj, przyjacielu.

Teraz czekało go najtrudniejsze…

Z ciężkim sercem wszedł po schodach na najwyższe piętro. Cicho otworzył drzwi ich sypialni, mając nadzieję, że Weronika śpi, a on uklęknie przy łóżku ostrożnie, by jej nie zbudzić, i popatrzy na nią. Tylko tyle. Będzie chłonął piękno śpiącej żony, być może ostatni raz, żeby zachować w sercu i pamięci jej obraz, gdy nadejdzie koniec.

Ale Weronika czekała na niego.

Siedziała przed toaletką, szczotkując swe piękne, kasztanowe włosy. Gdy wszedł do pokoju, uśmiechnęła się doń poprzez odbicie w lustrze. Objął ją, pochylił się i zanurzył twarz w jej włosach, dotknął ustami aksamitnie gładkiej skóry na jej karku. Boże mój, jak on ją kochał… Jak bardzo nie chciał umierać… Jeszcze nie dziś…

– Posmutniałeś – odezwała się półgłosem, unosząc nań oczy, na których dnie płonęła czułość. Pochylił się i pocałował ją w miękkie, spragnione tego pocałunku usta. Muzyka, która grała cicho w tle, umilkła. I nagle…

popłynęły dźwięki tej jednej jedynej melodii, którą Raul trzymał w sercu dla swej miłości. Najpierw dla RoseMarie, potem dla Soni, teraz dla Weroniki. Jego serce roztrzaskało się na milion kawałków, gdy Harry Nilsson zaczął śpiewać *Without you*.

Raul uniósł dłoń Weroniki do ust, ucałował ją i zapytał łamiącym się głosem:

– Zatańczysz ze mną?

Ona wstała, zarzuciła mu ręce na szyję, ukryła twarz na jego piersi i zapomniała o całym świecie, będąc tylko tu i teraz, w tej magicznej, cudownej chwili ze wzruszającą do głębi piosenką i mężczyzną, który był całym jej życiem…

*No, I can't forget this evening*

*Or your face as you were leaving*

*But I guess that's just the way the story goes*

*You always smile but in your eyes your sorrow shows*

*Yes, it shows.*

*Nie mogę zapomnieć tego wieczoru*

*I twojej twarzy, gdy odchodziłaś*

*Lecz myślę, że ta historia tak właśnie miała się potoczyć*

*Uśmiechałaś się jak zawsze, lecz w twoich oczach był smutek.*

W oczach Weroniki rozbłysły łzy. Nie zniosłaby utraty Raula. Gdyby coś mu się stało… Tego ciosu już by nie udźwignęła.

Przytuliła się do niego jeszcze mocniej, jakby tym mogła powstrzymać zły los przed odebraniem jej miłości. Raul kołysał ją łagodnie w swych ramionach…

*No, I can't forget tomorrow*

*When I think of all my sorrow*

*When I had you there but then I let you go*

*And now it’s only fair that I should let you know*

*What you should know.*

*I can’t live if living is without you*

*I can’t live, I can’t give any more*

*Nie mogę myśleć o jutrze,*

*Gdy pomyślę z rozpaczą,*

*Że miałem cię i pozwoliłem ci odejść.*

*Teraz jest dla mnie jasne, że powinienem był wyznać ci to,*

*Co powinnaś wiedzieć.*

*Nie mogę żyć, jeśli to życie ma być bez ciebie.*

*Nie mogę żyć, nie potrafię ofiarować nic więcej.*

Ostatnie dźwięki ucichły. Raul bez słowa wziął Weronikę na ręce, podszedł do łóżka, złożył ją na śnieżnobiałej, pachnącej cypryjskim słońcem pościeli. A potem zaczął ją kochać, na początku czule i pięknie, jakby to był ich ostatni raz, ale z każdą chwilą coraz bardziej gwałtownie, z jakąś dziką determinacją, zupełnie się w niej zatracając. Ona przyjmowała go ulegle, z oddaniem… Nie mogła wiedzieć, co on naprawdę czuje w tej chwili, jak rozpaczliwie ją kocha i tak samo nienawidzi. Za to, że musi odejść zaraz po tym, jak ona, mdlejąc z rozkoszy, krzyknie: „Kocham cię, Raul, kocham cię, kocham!”. Za to, że musi ją okłamać i zostawić. Za to, że nie może się pożegnać tak, jak by chciał. I w końcu za to, że może już nigdy jej nie zobaczyć.

Po wszystkim tulił ją dotąd, dopóki nie zasnęła, spokojna i szczęśliwa. Wtedy dopiero wstał, pożegnał ją ostatnim kochającym spojrzeniem i wyszedł, cicho zamykając za sobą drzwi…

Obudził Tristana i poprosił o odwiezienie na lotnisko. Tristan bez zbędnych pytań – może dostanie jakieś wyjaśnienie po drodze – ubrał się, ochlapał twarz zimną wodą i parę minut później wsiadali do samochodu.

Teraz prowadził czarne audi ojca szybko i pewnie. Kilometry mijały, ostatnie ich wspólne minuty także. Ale on jeszcze o tym nie wiedział.

Ruch był znikomy. Noc ciepła i bezchmurna. Jakiś czas temu zostawili za sobą obwodnicę i z każdą chwilą zbliżali się do lotniska w Larnace. Raul milczał przez cały czas, zbierając siły na pożegnanie z synem, o czym on nie miał pojęcia. Z radia sączyła się cicha muzyka…

– Muszę ci się do czegoś przyznać. – Tristan oderwał na chwilę wzrok od ciemnej wstęgi szosy i spojrzał na ojca. – Gdy leżałeś w szpitalu i pobierali ci krew, zleciłem badania porównawcze DNA. Mojego i twojego…

– Tak? – Raul wydawał się mało zainteresowany tym tematem.

Tristan nacisnął nagle hamulce i zjechał na pobocze. To była zbyt ważna rozmowa, by przeprowadzić ją ot tak, niczym pogawędkę o pogodzie. Teraz mógł patrzeć ojcu prosto w twarz, gdy pytał:

– Od kiedy wiedziałeś…?

On uśmiechnął się lekko i rzekł:

– Od zawsze, Tris.

– Od zawsze wiedziałeś, że nie jestem twoim synem?!

Raul spojrzał nań z udanym zdumieniem:

– A nie jesteś? Bo ja uważam siebie za twojego ojca.

Tristan patrzył długą chwilę w czarne oczy człowieka, który – choć nie był jego biologicznym ojcem – przygarnął go i wychował. I kochał bardziej, niż sam by się do tego przyznał. Poczuł wzruszenie i… wstyd, że zwątpił w taką właśnie odpowiedź.

– Dzięki, tato – wydusił przez zaciśnięte gardło. Chciał dodać coś więcej niż tylko te dwa zdawkowe słowa, chciał powiedzieć, jaki jest z niego, Raula, dumny i jak bardzo go kocha, ale… nie potrafił. W ich domu na dalekiej prerii nie rozmawiało się o uczuciach. Poza tym ojciec o tym wie, prawda? Przekręcił kluczyk i z powrotem włączył się do ruchu.

Dojeżdżali do lotniska.

Tristan zaparkował na pustym parkingu, pogrążonym w mroku. Wysiedli obaj.

– Nie chcę, żebyś odprowadzał mnie dalej – odezwał się Raul, stając przed synem.

Nadszedł czas… Chciał, by Tristan zapamiętał go takim jak w tej chwili: spokojnego i zdecydowanego. Na sali odpraw, w jasnym świetle lamp, może dojrzeć w oczach Raula to, co on naprawdę teraz czuł: strach. Nie o siebie, a o nich. O Tristana, Marie i Weronikę.

Chłopak spojrzał nań uważniej.

– Dokąd ty się właściwie wymykasz? Chyłkiem? W noc poślubną? Weronika nie będzie zachwycona, gdy rano obudzi się w pustym łóżku…

Teraz weź głęboki oddech, de Luca, i odpowiedz na wszystkie pytania spokojnie, bez emocji. Tak, by twój syn był z ciebie dumny aż do końca.

– Dostałem zaproszenie od szefa rosyjskiej mafii, Ivana Woroncowa.

Tristan oniemiał.

– I mówisz o tym ot tak?! Czego ten bandzior od ciebie chce?! Dlaczego w ogóle zgodziłeś się z nim spotkać?!

– Nie dał mi wyboru – odparł cicho Raul, przypominając sobie bukiet róż w ich sypialni. Człowiek Woroncowa był tak blisko.

– Może powinniśmy pogadać z nim we dwóch? – Tristan gotów był tak, jak stoi, wsiąść do samolotu razem z ojcem i lecieć tam gdzie on.

– Nie ma mowy – uciął Raul.

– Jesteś pewien, że chodzi tylko o przyjacielską rozmowę? Masz pewność, że wrócisz?

– Mam pewność, że **nie wrócę**, Tris.

Tristanowi nagle zabrakło oddechu. Patrzył ogromniejącymi oczami w spokojną twarz ojca i… w jego piersiach narastał krzyk. Ale milczał. Raul mówił więc dalej:

– Woroncow jest synem Siergieja Golinowa, który strzelił sobie w łeb po tym, jak utopiłem jego cztery miliardy. Teraz rozumiesz, że muszę tam jechać i mam małe szanse na powrót?

Nie, Tristan nie rozumiał. Nie chciał zrozumieć!

– Uciekałeś przed takimi jak Woroncow całe życie. Dlaczego poddajesz się teraz? Jeżeli nie obchodzę cię ja i Marie, to masz Weronikę, ona tak bardzo cię kocha… – głos mu się załamał.

– Nigdy nie mów, ani nawet nie myśl, że mnie nie obchodzisz! – odparł z gniewem Raul. Tak ciężko było tłumaczyć jedynemu dziecku, dlaczego musi stawić się na żądanie Woroncowa… – On nie odpuści, nigdy. Teraz, gdy wie, że żyję i mam kogoś, dla kogo warto żyć, będzie mnie ścigał tym bardziej zajadle. Nie ma mowy, bym ryzykował waszym życiem. Ty, Tristan, powinieneś to rozumieć.

I rozumiał… Tristan naprawdę rozumiał… Ale nie potrafił się z tym pogodzić. Ojciec był dzisiaj taki szczęśliwy… Tak bardzo kochał swoją Weronikę… Dlaczego odbierają mu, i im wszystkim, to szczęście tak szybko?! Za co tak strasznie go karzą?! Był wspaniałym, szlachetnym człowiekiem, który zasługiwał na wszystko, co najlepsze, a na pewno na spokojne, pełne miłości życie u boku ukochanej kobiety. Gdzie jest

Johannes Smith, dlaczego rząd USA pozwala, by Raul leciał teraz w środku nocy na skinienie ruskiego bandziora, nie mając nadziei, że wróci?!

A ciebie ile razy dowódcy zostawiali w Libii na pastwę losu? – odpowiedział sobie z goryczą. – Gdyby nie kumple… gdyby nie Jimmy Stuart i inni… Pochylił głowę, by Raul nie dostrzegł w jego oczach łez, ale on sam z trudem nad łzami panował. Tak ciężko było się żegnać z synem… Ujął ramiona chłopaka i zmusił, by ten spojrzał mu prosto w oczy.

– Tristan, mam do ciebie dwie prośby – zaczął. – Przyrzeknij, że je spełnisz.

Chciał coś odpowiedzieć, chciał wykrzyczeć, żeby ojciec wsadził sobie te prośby gdzieś! skoro nie chce wysłuchać jego błagań, by nigdzie nie leciał, ale… kiwnął tylko głową.

– Nie mścij się na Woroncowie, to pierwsza…

– Nawet prawo do zemsty mi odbierzesz?! – krzyknął łamiącym się głosem.

– Druga: nie pozwól się wmanewrować rządowi w walkę z mafią. Nigdy. I jedno, i drugie jest tym samym, tylko inaczej się nazywa. Przyrzeknij, Tris, że będziesz dbał tylko o tych, których kochasz. O Marie, wasze dzieci, przyjaciół, moją Weronikę…

Tristan patrzył w pociemniałe oczy ojca i… nie mógł powstrzymać dłużej łez. Otarł je wierzchem dłoni.

– Wróć, tato – poprosił jak wtedy, gdy miał siedem lat, a ojciec po raz pierwszy zostawiał go w domu samego.

Raul tak jak wtedy przytulił Tristana mocno i odrzekł:

– Wrócę, synku.

Lecz dziś, gdy odchodził w mrok nocy, zostawiając syna pośrodku pustego parkingu, wiedział, że nie dotrzyma obietnicy.

*

Wyspa jawiła się jako raj na ziemi. Wynurzała się z błękitnozielonych wód Adriatyku, witała przybyłych złocistym piaskiem rozległej plaży, za którą – przez palmowy gaj – wiodła ścieżka do domu. Chociaż słowo „dom” nie było adekwatnym określeniem wspaniałej rezydencji, godnej mafijnego króla Eurazji, Ivana Woroncowa.

On sam nadchodził niespiesznie ścieżką z białego marmuru, prowadzącą spod rezydencji do przystani. Motorówka przycumowała na jej końcu. Raul, w śnieżnobiałej koszuli, czarnych spodniach i takiejż marynarce, wyszedł na molo i ruszył na spotkanie gospodarza.

Woroncow był muskularnym, wysportowanym facetem o szerokich barach i kwadratowej szczęce, przystojnym, owszem, ale nieco prostackim. U jego ramienia uwieszona była grecka piękność. Miała nie więcej niż piętnaście lat.

Zatrzymali się przed Raulem. Woroncow wyciągnął doń rękę. De Luca uścisnął ją bez wahania. To nie był czas na okazywanie prawdziwych uczuć. Na przykład głębokiej pogardy. W tej grze liczyły się także, a może przede wszystkim, pozory.

– Witaj w moich skromnym progach – zagaił Woroncow przyjacielskim tonem.

– Nie są takie skromne – mruknął Raul.

Tamten skinął głową, całkowicie się z nim zgadzając.

– Chcesz zwiedzić moją Nowhere czy od razu przejdziemy do rzeczy?

– Przejdźmy do rzeczy, rodzina na mnie czeka.

Woroncow ponownie przytaknął.

– Rodzina jest najważniejsza, choć ja mam jeszcze czas. – Klepnął Greczynkę w zgrabny pośladek. – Zmykaj do domu – rzucił.

Dziewczyna natychmiast wykonała polecenie. Na ramionach miała ślady po przypalaniu papierosem. Raul powrócił spojrzeniem do Woroncowa.

– Przejdźmy się – zaproponował tamten, choć była to propozycja z rodzaju tych nie do odrzucenia.

Ruszyli wzdłuż plaży, ścieżką wysypaną białym żwirem.

– Wiesz już zapewne, kim jestem, i wiesz, czego nie mogę ci wybaczyć, Raul.

De Luca przytaknął. Mógł się bronić, przypominać, że to dzięki niemu Woroncow jest dziś tym, kim jest, ale… jaki to miało sens? Ten bandzior nie wezwał go, by wysłuchiwać tłumaczeń, on czegoś chciał. Co to było, Raul mógł się jedynie domyślać…

– Zdradziłeś moją rodzinę, przez ciebie ojciec był zmuszony targnąć się na własne życie, a wiesz przecież, że my nie puszczamy zdrady płazem.

Znów przytaknięcie. Woroncow, nieco rozczarowany milczeniem de Luki, ciągnął dalej:

– Mimo to masz u mnie pewne zasługi… Cenię twoją inteligencję, znajomość branży, wreszcie zwykły spryt. Doprawdy, wykiwać dwa potężne kartele… Tylko ty byłeś do tego zdolny. Szanuję to.

– Dzięki – odmruknął Raul. Tylko szacunku bandziora było mu do szczęścia potrzeba.

– Jeśli przeszedłbyś na ciemną stronę mocy, mógłbym puścić w niepamięć to, co było. Organizacja Cojona pójdzie w rozsypkę po jego śmierci, a my nie lubimy tracić takich pieniędzy. Przejmij jego biznes, pracuj dla mnie, Raul, a nie pożałujesz.

Raul zatrzymał się. Spojrzał Ivanowi prosto w twarz. Ten wyciągnął doń rękę jak wtedy, na przystani, i zapytał:

– Co ty na to, bracie?

Nadszedł czas…

– Nigdy nie pójdę na współpracę z mafią – wycedził de Luca i odtrącił tę dłoń.

Stali naprzeciw siebie. Już nie przyjaciele, a śmiertelni wrogowie.

– Rozumiem – odezwał się Woroncow po długiej, długiej chwili, jaką mu zajęło opanowanie wściekłości. – Honor ponad wszystko… Wiesz, że mógłbym cię zmusić do posłuszeństwa, biorąc zakładników: twojego syna, Marie Solay, piękną Weronikę. Szczególnie ta ostatnia byłaby ozdobą Nowhere… – zawiesił głos, patrząc z satysfakcją, jak Raul blednie, jak w bezsilnym gniewie zaciska pięści, ale on opanował uczucia i odparł:

– Mam przyjaciół, którzy pomszczą i moją śmierć, i moich najbliższych.

– Tego się obawiam – westchnął Woroncow teatralnie. – Wypadałoby więc zakończyć tę wojnę raz na zawsze.

Nagle sięgnął do kabury na piersi, wyciągając glocka.

– Zrobisz to sam, czy mam ci pomóc? – zapytał już zupełnie innym tonem.

Przez twarz Raula przemknął cień.

– Zrobię to sam – odrzekł, pilnując, by głos mu nie zadrżał, ale tak naprawdę, w sercu, rozsypał się na kawałki. Jak ciężko będzie Weronice po jego śmierci. Jakżeż będzie cierpiała… A Tristan? Jest jeszcze taki młody… Stracił matkę, teraz straci ojca… Dobrze, że ma chociaż Marie. Ona przy nim będzie… To silna dziewczyna… Zrozumie jego ból…

Powoli ujął rękojeść glocka. Sprawdził magazynek. Był pełny. Wsunął go na miejsce. Przeładował.

– Może się jeszcze zastanowisz? Dam ci czas do namysłu… – spróbował Woroncow po raz ostatni. Szkoda było tracić takiego gracza jak de Luca. Gdyby miał go po swojej stronie, cały świat padłby im do stóp.

– A dasz mi czas, bym pożegnał się z rodziną? – odpowiedział pytaniem Raul.

Tamten pokręcił głową, tłumiąc wściekłość i rozczarowanie.

– Nic z tego, stary. Twoje „nie” znaczy nie. Rozliczamy się tu i teraz.

De Luca milczał chwilę, walcząc z rozpaczą.

– Nie krzywdź ich – odezwał się wreszcie. W jego głosie nie było jednak błagania, nie było żalu, właściwie nie było już nic.

– Jeżeli twój syn nie zacznie się mścić, włos im z głowy nie spadnie – zapewnił tamten. – I… nie bierz tego – wskazał pistolet w ręku Raula – osobiście. – Uśmiechnął się jak po usłyszeniu dobrego dowcipu. – Zdrada to zdrada. Gdybyś był moim bratem, postąpiłbym tak samo.

Raul zacisnął tylko zęby, patrząc na uśmiechniętą krzywo twarz tamtego. „Nie bierz tego osobiście”… Przez ułamek sekundy miał ochotę poderwać broń i wpakować temu skurwielowi cały magazynek w łeb. Wiedział jednak, że owszem, zdążyłby Woroncowa załatwić, ale w następnej sekundzie zginęliby – oprócz niego, Raula, co oczywiste – Tristan, Marie i Weronika.

Weronika… Żegnaj, moja kochana, moja śliczna, moja miła… Tak ciężko mi cię opuszczać… Wybacz…

Spojrzał po raz ostatni na błękitnozielony bezmiar wód, po raz ostatni spojrzał w niebo, czując jak do oczu napływają mu łzy.

To już czas. Nie wolno okazać słabości!

Boże jedyny, to takie trudne… zostawiać was samych…

Zacisnął szczęki, przyłożył lufę do skroni i pociągnął za spust.

Strzał spłoszył stadko kolorowych papug. Zaraz potem zapadła martwa cisza. Ciało osunęło się na kolana i upadło na miękki złoty piasek. Po policzku spłynęła samotna łza.

Woroncow podniósł pistolet.

– Sorry, Raul – mruknął i strzelił jeszcze dwukrotnie.

On nie popełniał błędów.

Nigdy.

Zadzwonił telefon. Tristan i Daniel, wpatrzeni w niego od wielu godzin, drgnęli. Tristan przez chwilę trwał w bezruchu, bojąc się odebrać. Wreszcie spojrzał na wyświetlacz – „R” – może ojcu się udało?! Podał komórkę Danielowi, bojąc się, że wypuści ją z rąk. Ten z taką samą nadzieją odebrał połączenie, ale na pierwsze słowa: – Mam wiadomość dla rodziny Raula de Luki – łzy napłynęły mu do oczu.

– Jestem jego przyjacielem. Jaka to wiadomość? – wydusił.

– Przykro mi to mówić, ale pański przyjaciel miał wypadek z bronią. Obawiam się, że śmiertelny wypadek.

Boże jedyny… – Danielowi zabrakło oddechu. – Jednak zrobili to! Zastrzelili Raula!

– Czy mam odesłać ciało do VillaRosy?

– Tak. Do VillaRosy – odparł, nacisnął czerwoną słuchawkę, nie mogąc ani chwili dłużej znieść tego drewnianego, obojętnego głosu i… spojrzał na Tristana.

Na Tristana, który zbladł i wyszeptał:

– Ojciec nie żyje.

A potem zaczął krzyczeć. Daniel objął go i przycisnął do siebie, nie mogąc patrzeć na jego rozpacz…

Zebrali się na niewielkim cmentarzu nieopodal VillaRosy. Tam, obok rodziców, chciał spocząć Raul de Luca. Weronika, obejmowana przez Anię i Dankę, ledwo trzymała się na nogach. W chwili, gdy usłyszała te trzy straszne słowa – Raul nie żyje – umarła także. Przez wszystkie te dni, w których czekała, aż jego morderca, Ivan Woroncow, odeśle ciało jej męża, i przez następne, gdy trwały przygotowania do pogrzebu, modliła się jedynie, aby dotrwać do końca ceremonii, a potem położyć się obok grobu Raula i umrzeć. Życie bez niego… nie potrafiła i nie chciała sobie tego nawet wyobrażać. Straciła jedynego syna, straciła jedyną miłość, po co dalej żyć? Dla kogo?

Tristan jakoś sobie radził. Marie Solay nie odstępowała go na krok, razem z nim przechodząc przez piekło rozpaczy, żalu i nienawiści. Ona, Weronika, była ze swym cierpieniem zupełnie sama…

Patrzyła teraz na trumnę z jasnego drewna stojącą przy głębokim dole. Jej oczy były dwiema czarnymi dziurami w bladej, wychudzonej twarzy.

Niech to się skończy… – błagała księdza, który bredził coś o Niebie, Piekle i wieczystej nagrodzie.

Niech to się skończy… – błagała nielicznych przyjaciół, którzy stawali nad złożoną do grobu trumną i upuszczali na nią garść ziemi. Ten odgłos, straszny dźwięk grud padających na drewno, będzie ją prześladował w snach. Wreszcie… ona sama musi podejść, rzucić w dół kwiat hibiskusa, bo tego, a nie garści ziemi, chciałby Raul i… z jej gardła wyrwało się ciche zawodzenie.

Ania natychmiast ją przytuliła, szepcząc przez łzy kojące słowa. Odeszły, żegnane pełnymi współczucia spojrzeniami żałobników. Tylko jeden z nich miał twarz zupełnie bez wyrazu. Ten, który przyjechał na cmentarz jako ostatni i stanął pod murem, nie zbliżając się do reszty. Teraz,

gdy niewielką grupką skierowali się w stronę VillaRosy, on ruszył ku dwojgu młodym ludziom idącym na samym końcu. Zastąpił im drogę i rzekł do chłopaka:

– Chciałbym złożyć ci szczere kondolencje…

Tristan spojrzał z niedowierzaniem na wyciągniętą ku sobie rękę, a potem przeniósł pociemniałe z nienawiści oczy na tego, kto przed nim stał. Ivan Woroncow. Morderca Raula de Luki wyciągał do niego, Tristana, dłoń, składając mu kondolencje.

– Przyjmij, proszę, wyrazy współczucia. Wiem, co czujesz w tej chwili. Ja mojego ojca prawie nie znałem, wychowywała mnie matka z dala od jego brudnych interesów, a jednak ta śmierć złamała mi serce.

Twój ojciec był bandytą! – chciał krzyczeć Tristan. – Był zwykłym bandziorem! Mój – wspaniałym, szlachetnym człowiekiem! Jak śmiesz go porównywać do tamtego zera! – Ale milczał. Ivan Woroncow nie pojawił się na pogrzebie Raula tylko po to, by współczuć jego rodzinie. Tristan zaciskał więc szczęki w bezsilnym gniewie i czekał.

– Nie wiem, czy to najlepsza chwila, ale następnej może nie być… – zaczął Woroncow powoli, z rozmysłem. – Ty masz rodzinę, ja mam rodzinę. Ja straciłem ojca, ty straciłeś ojca. Śmierć Raula de Luki zamyka pewien rozdział w naszym życiu.

I co, może zaproponujesz mi współpracę?!

– Daruj sobie zemstę, Tris, a ja daruję życie tobie, Marie Solay i Weronice Orvi. Oto moja propozycja. Uczciwa propozycja.

Nadal stał z wyciągniętą ręką, dając młodemu mężczyźnie czas na opanowanie emocji i przywołanie rozsądku.

Odejdź z nim na bok, zabierz go z oczu tłumu i skręć skurwielowi kark! – wyło coś w duszy Tristana, ale umysł ostrzegał: Za twój błąd zapłacą

Marie i Weronika. Nie rób tego. Przyjmij dłoń, wyciągniętą na zgodę, i zakończ to raz na zawsze. Przecież tego właśnie chciał twój ojciec.

W oczach Tristana rozbłysły łzy, gdy wyciągał rękę do mordercy Raula. Uścisk był krótki, ale silny, taki, jakim tydzień temu sam Raul pieczętował los swój i swoich najbliższych. Woroncow skinął Tristanowi głową, poważnie, z szacunkiem i odszedł powoli, krok za krokiem, zastanawiając się przelotnie, czy dostanie kulę w plecy, czy nie…

Tristan odprowadził go wzrokiem, pełnym nienawiści i rozpaczy.

Zemsta. To słowo nadal wwiercało mu się w mózg. Ale następne było już całkiem inne. Miłość. Za nią warto umierać, ale po stokroć bardziej warto dla niej żyć…

# DZIEWIĘĆ MIESIĘCY PÓŹNIEJ

A jednak Ivan Woroncow popełnił błąd.

Ten błąd przyszedł na świat przed dwiema godzinami, miał na imię Raul de Luca, czarne oczy swojego ojca i matkę, która świata poza nim nie widziała. Całą miłość, jaką Weronika darzyła swego męża, przelała na ten maleńki cud, jego synka. Pamiątkę ich ostatniej, najpiękniejszej nocy…

– Jest taki maleńki i taki śliczny – wyszeptała Marie, pochylając się nad noworodkiem. – I tak podobny do… – „Swojego taty” – chciała dokończyć, ale rozpłakała się tylko.

Tristan, stojący obok, nic nie powiedział, ale tylko dlatego, że przez zaciśnięte gardło nie mógł wydobyć ani słowa. Wyciągnął prosząco ręce.

Weronika podała mu zawiniątko, doskonale wiedząc, co młody mężczyzna czuje w tej chwili, bo ona czuła to samo: radość i smutek, wzruszenie i straszliwy żal, że to nie jego ojciec bierze nowo narodzonego synka w ramiona.

Tristan pochylił się i ucałował miękkie, czarne włoski maleństwa. On też już zdążył je pokochać. Całym sercem. To ono uratowało życie Weronice, wszyscy przyjaciele byli tego pewni. Gdyby nie ten cud, dziś spoczywałaby obok Raula.

Ale w kobietach rodziny de Luca drzemie potężna siła. Wystarczy im promyk nadziei, by podnosiły się z kolan i stawały do walki z losem, znów silne i nieugięte. Jeszcze wczoraj złamana rozpaczą, dziś Weronika de Luca

miała dla kogo żyć, miała o kogo walczyć. Wychowa synka na dzielnego człowieka, godnego imienia, które nosi – kapitana Raula de Luki – najwspanialszego mężczyzny, jakiego miała szczęście spotkać w swoim życiu.

Dlaczego jednak to dziecko, tak teraz maleńkie i bezbronne, okaże się błędem Ivana Woroncowa?

Tego dziś, gdy ledwie przyszło na świat, nikt jeszcze nie może wiedzieć, ale za jakiś czas, dokładnie za dwadzieścia siedem lat, ten właśnie Raul de Luca wypowie wojnę przestępczym kartelom całego świata.

I chociaż przegra wszystko, co dlań drogie i kochane, straci rodzinę i przyjaciół, pozostając zupełnie sam w tej nierównej walce, koniec końców tę wojnę wygra. Rozbije świat mafii i ciemnych interesów raz na zawsze.

W imię swojego ojca.

Warszawa, 11.01.2016

Copyright © by Katarzyna Michalak

Koncepcja okładki

Katarzyna Michalak

Fotografie na pierwszej stronie okładki Copyright © Ilina Simeonova / Trevillion Images Copyright © vladimirfloyd / Fotolia.com

ISBN 978-83-240-3618-9

Między Słowami

ul. Kościuszki 37, 30-105 Kraków

E-mail: promocja@miedzy.slowami.pl

Książki z dobrej strony: www.znak.com.pl

Dział sprzedaży: tel. 12 61 99 569, e-mail: czytelnicy@znak.com.pl

Wydanie I, Kraków 2016

Plik opracował i przygotował Woblink

woblink.com